



# MIRTAŁA

POWIEŚĆ

ELIZY ORZESZKOWEJ.

Z piętnastu ilustracyami Miłosza Kotarbińskiego.

WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala,

NOWY-SWIAT Nr. 41 (NOWY).

—  
1886.

АЛТЯМ

Дозволено Цензурою.

Варшава, 3 Сентября. 1886 г.



F. 2545

## I.

Pod niezmaconym szafirem nieba, w ulewie złotych swiateł slonecznych, zielony gaj Egeryi glębokie i nieruchome cienie siał na pola, z których cześć dla podwójnie świętego miejsca usunęła wszelkie ludzkie siedliska i wrzawy. Podwójnie świętém było dla Rzymian miejsce to; bo w cienistych jego glębiach, pod rozłożystemi gałęzmi odwiecznych buków, dębów i platanów, wznosił się śnieżny posąg jednego z najśłodszych bóztw wiecznego miasta i płynął strumień, szmerem swym opowiadający wiekom i pokoleniom o długich, samotnych rozmowach wielkiego Numy z uwielbianą i mądrą jego Nimfą. Niegdyś, przed ósmiu setkami lat, wielki król-prawodawca, trwożny o losy narodu-dziecka, przybywał w samotne miejsce to, i troskami skolataną pierś rzeźwiąc cieniem i ciszą, ku szafirów niebieskim podnosił wzrok, błagający o wróżby, natchnienia i rady. Wtedy z szafirów niebieskich spływała Egerya, olśniewająca, a przecież łaskawa, i długo potém, w gęstwinie buków, dębów i platanów, szemrały westchnienia miłości i tajemnicze szepty; piękna niebianka kładła dłoń swą na królewskim sercu i uciziała wrzące w niem burze, a z pocałunku jój ust nieśmiertelnych laly się w głowę jego wspaniałe myśli o wierzeniach tych i ustawach, które stać się miały podstawą przyszlęż wielkości rzymskiego ludu i wiecznej chwały pierwszego jego prawodawcy. Wszystko minęło. Imię Numy Pompiliusza czas zmienil w echo, coraz słabiej brzmiące w uszach i sercach odległych pokoleń; to, co stanowił on, skryło się w cieniu gmachów nowych; nieuczony już tylko gmin przechował wiarę w niebiańskość i nieśmiertelność Egeryi. Lecz gaj starożytny, strzeżony i pielęgnowany, trwał i w pamięci ludzi utrwał dwa piękne i rzadkie zjawiska ich dziejów, jakimi byli: niewiasta, zlewająca na męża dobroczynne natchnienia, i król, troszczący się o dobro poddanego mu ludu.



Ogromny Cesarski rzym huczał i wrzał w pobliżu, nie tak przecież blisko, aby na skrajach gaju i w jego głębinach uroczysta cisza panować nie mogła. Dość rzadko przerywały ją kroki pobożnych pielgrzymów, przybywających tu, aby pokorny hołd złożyć ołtarzowi bogini, albo zaczerpnąć wody ze świętego źródła. Świątynie Rzymu liczne były i z upływem czasu coraz liczniejsze; współbiegały się z nimi coraz liczniejsze też i wspanialsze miejsca zabaw i przechadzek. Dnie całe mijaly często, a żadna stopa ludzka nie dotknęła bujnych i ukwieconych traw świętego gaju, żaden głos modlitewny nie złączył się ze szmerem strumienia, wickuiście wijącego srebrną swą wstęgę u stóp śnieżnego posągu bogini.

Przecież u jednego ze skrajów gaju, tam, gdzie zbiegały się wiodące ku niemu, ozdobne, bukszpanami osadzone i bazaltem usłane, ścieżki, codziennie, od wczesnego poranku do późnego wieczora, przesiadywał człowiek, widocznie nad ścieżkami temi straż trzymający. Stróżowanie to ujawniało się w ruchomej zagrodzie, przezroczystej, złożonym bronzem zdobnej, a wejście do świętego gaju tamującej dopóty, dopóki pobożny pielgrzym nie włożył drobnego pieniążka w dłoń stróżującego tu człowieka, a on przed nim zapory tej nie usunął. Drobne pieniążki były podatkiem, płaconym państwu przez tych, którzy gaj święty nawiedzać pragnęli; człowiek zaś, u zbiegu ścieżek czuwający, poborcą skromnej tej i do uiszczenia łatwej daniny.

Rzymski poborca ten, ani z ubioru, ani z rysów twarzy, na Rzymianina nie wyglądał, i dość było jednego nań rzutu oka, aby w nim poznać przybysza ze Wschodu. Od szyi chudej, zwiędłej i żółtej, do stóp, których podszwy tylko i palce ukryte były w grubych i płytkich sandałach, cienką i przygarbioną postać jego przyoblekała luźna brunatna suknia, z grubiej szorstkiej materyi, w stanie ściśnięta żółtawym, od zużycia wystrzępionym, pasem. Na głowie miał on gruby, ciężki, żółtawej barwy zawój, którego twarde niby gżemsy ocieniały twarz pięćdziesięcioletnią, żółtą, zwiedłą, chudą, z długim, garbatym noseu i długą, od posiwienia popielatą, w twarde kędziory wijącą się, brodą. Z pod zawoju, wzdłuż policzków, spływały też długie, popielate kędziory włosów, a z obu stron garbatego nosa, pod czarnymi jeszcze, zjeżonemi brwiami, oczy wielkie, jak noc najgłębsza czarne, paliły się ognieni gorącym i patrzyły w przestrzeń z wiekuistym jakby, nieskończonym, przemującym smutkiem. Namiętne mu smutkowi oczu tych odpowiadał wyraz ust cienkich i bladoróżowych, które, w gęstwinie siwiejącego zarostu, nieustannie, nieustannie wily zadumane lub gorzkie uśmiechy, albo do pustego pola, do szafirów niebieskich, do nieruchomych buków i dębów, do kipiącej i echa kipienia swego tu przysylającej stolicy, przemawiały niedosłyszalnemi szeptami. Na poręczy złożonej balustrady siedząc, cieniem gaju od skwaru słońca okryty, z bosemi stopy swemi w płytkich sandałach, kołyszącymi się nad ziemią, w chudych, zezerniałych palcach przebierający strzępie swego pasa, z płomiennym wzrokiem swym i zgarbionym grzbietem, człowiek ten zdawał się być

żywym obrazem znękania ciała i wiecznej, na dnie piersi wrzącej, burzy ducha. Był to żyd.

Jakim sposobem cudzoziemiec ten stał się tu poborcą świętego podatku? Wszysey współcześni z łatwością odpowiedzieć-by na to mogli. Rzym roił się cudzoziemcami, a pośród nich znajdowała się ilość znaczna tak bogatych i pilnym przemysłem bogactwa swe zwiększających ludzi, jakim był Monobaz, żyd także, w którego banku, otwierającym się na Marsowe pole, świetna młodzież rzymska znaczne zaciągała pożyczki; w którego dłonie piękne ręce niejednej patrycyuszki składały, w zamian za garść sestereyi, drogocenne zastawy; który niemilosierzną lichwą gniółł pnący się ku świetnościom patrycyatu stan średni; któremu nakoniec panujący obecnie Cezar oddał w dzierżawę niejedną gałąź państwowych dochodów. Panującym obecnie Cezarem był Wespazyan, cheiwie zgromadzający i skrzętnie szczędzący grosz publiczny, zbrodniczo i marnie przez lat tyle trwoniony w szalonych orgiach Nerona i strasznych burzach wojen domowych. Stary żołdak, w mowie i obyczaju gruby, z sercem o dobro publiczne dbałem, nie wahał się podnosić pieniądz z najbrudniejszych źródeł, ani brać go z rąk najwątpliwszych. Nie czyniły mu też wstępu pieniądze, brane z lichwiarskich rąk Monobaza, które zresztą były białemi i w drogocenne pierścienie przybranemi rękoma. Białe te i drogocennie przystrojone ręce nie mogły same otrzymywać z rąk pielgrzymów podatku, należnego gajowi Egeryi. Zastępowały je w czynności tej, wychudłe, drżące, zczerniałe, palce Menochima. Dlaczego Menochim oddawał się czynności tej, przynoszącej mu w korzyści suchy chleb nędzarza, a nawet pilnie, w imię plemiennej wspólności, starał się o nią u Monobaza? Kto wie? Być może, iż w sposób inny na byt powszedni zarabiać nie dozwalały mu te przepaściste zadumy, które odbijały się w jego oczach, na ustach i w nawskróś zoraniej twarzy? Być może, iż nieustannym medytacyom jego dobrze było w tém miejscu bezludném i cichém? Być może, iż zielen gaju nieco spokoju wlewała mu w płonące źrenice, a świergot ptactwa i srebrne dzwonięcie strumienia ponure pieśni jego duszy przerywały niekiedy słodką nutą pociechy, nadziei.

Na złoconej balustradzie, zgarbiony, stopami ziemi nie dotykając, siedział on przez długie godziny i patrzył na miasto olbrzymie, kąpiące w słonecznym blasku niepokalaną białość swych marmurów, złote kopuły świątyń, wdzięczne łuki bram tryumfalnych, strzeliste szczyty pałaców swych i grobowców; patrzył i zdawało się, że widokowi temu nigdy napatrzeć się dosyć nie mógł. Nie uwielbienie przecież bogactw i piękności tyłu malowało się w oczach i uśmiechach jego. Malowało się w nich często osłupiałe jakby zdziwienie. Zaczynał z kimś bardzo cicho rozmawiać. Zapytywał: — Odsłoń powieki moje i okaż mi, dlaczego wiecznie cieszą się i tryumfują nieprawi, lecz silni? Otwórz rozum mój i naucz mię, jakimi są drogi Twoje, bo ich zrozumieć nie mogę. Czy sprawiedliwy żyje poto, aby cierpiał? czy sprawie-



dliwosci uczysz go dlatego, aby nieprawosc serce mu szarpala? Czy lud jeden nato zamieszkuje ziemie, aby miazdzily go stopy innego? I któz przed tobą prawy? Rabusiowiz-to, czy rabowanemu milosc swą okazujesz? Oto pierwszy w dziedzictwie swoim rozkoszy, bogactw i dlugiego zywota zażywa, a drugi pada na skrwawionej niwie, lub na ziemi wygnania tęskno pogląda w stronę, gdzie gruzy Syonu...

Z usianego iskrami powietrza żadna nie przybywała odpowiedź; tylko wrzawa wielkiego miasta, wzdymając się na chwilę, przesyłała tu echo radośnego, hucznego akordu, a złocone szczyty gmachów, rozgorzałe w słońcu, buchały ku niebu płomiennym hymnem siły i tryumfu. Spójrznie Menochima zmieniało kierunek i w innej stronie spotykało się z widokiem drogi Appijskiej, która, z pod pysznych łuków kapueńskiej bramy wybiegając, szeroka, prosta, w nieścignionej okiem dali przepadająca, zdawała się być ramieniem olbrzyma, wyciągającym się dla objęcia połowy świata. Przez dnie całe panował tam hałaśliwy natłok ludzi i zwierząt. Menochim z oddali dostrzegał sunące po wielkiej drodze wozy, ładowne towarami, przez osły i muly ciągnięte, i inne jeszcze, lekkie, ozdobne, unoszone przez bystre konie o chryżych nogach i rozwianych grzywach. Pomiędzy wozami widział on przewijające się postacie jeźdźców, z pysznymi rumakami zrosnione jakby we wdzięczną i dzielną całość, albo na ramionach niewolników niesione lektyki, połyskujące kosztownymi ozdobami, z których wnętrza wychylała się czasem utrefiona głowa kobieca, lub powiewała purpura, zdobiąca senatorską szatę. Czasem też drogę zalegał oddział pieszego lub konnego wojska, a wtedy w metalowych tarczach, pancerzach, szyszakach, słońce rozżarzało oślepiające pożary, tentent stóp ludzkich i zwierzęcych biegi po bazaltowych płytach przeciągłym grzmiotem, w powietrzu rozsypywały się miliony krótkich, metalicznych dźwięków, a towarzyszyły im ogromne, chóralne krzyki, tysiącem piersi śpiewane zwrotki rycerskiej i tryumfującej pieśni. Wszystko tam było ruchem, wrzawą, blaskiem, śpiewem, śmiechem, potęgą. Menochim kurezowo załamane i ściśnięte ręce swe podnosił ku niebu, a z piersi jego wydobywał się już tym razem nie szept, ale krzyk chrypliwy i krótki:

— A Jerozolima w gruzech leży!

Czasem na ramię jego opadała dłoń ciężka, a gruby głos, w pół-wesoło, w pół-szydersko, wołał:

— Czegós tak wpatrzył w niebo baranie ślepie swoje, ty, Judejezyku, brudasic, żebraku z końca świata? Czy nie widzisz, że chcemy wejść do świętego gaju? Dlaczegoż nie wyciągniesz cheiwěj lapy swěj, abyśmy w nią asy nasze złożyć mogli?

Menochim budził się z zamyślenia i spostrzegał dwu czy trzech ludzi, owiniętych w grube, brunatne togi, z twarzami osłoniętymi cieniem kapeluszy o szerokich brzegach. Z ubioru i zachowania się poznać można było, że ludzie ci nie należeli wcale do bogatych i potężnych. Byli to plebejusze,





STANEŁA PRZED NIM I UCHYLIWSZY Z TWARZY GAZOWĄ ZASŁONĘ,

MÓWIŁA ZCICHA.





rzemieślnicy może, albo pasożyci, żyjący z jałmużny, udzielanej im przez możnych, lub państwo. Nie to! przybysza, obdartusa, syna ziemi podbitej, której stolicę i świątynią przed dwoma zaledwie laty w gruzy obalił mężny i świetny Tytus, i oni nawet lżyć mieli prawo. Nie byliż zwycięzcami? I nie byłże to człowiek, różniący się od nich ubiorem, obyczajem, językiem, wiarą? Wracając z gaju, nagabywali go pytaniem:

— Możesz głodny? Mamy tu oto kawał pieczonej świni i chętnie przy-smakiem tym podzielimy się tobą.

Żyd mileżał, patrząc w ziemię.

Ktoś inny, wyglądający na jednego z trefnistów tych, których pełne były domy możnych, obległ go raz prośbami:

— Najmilszy! czy nie mógłbyś zaprowadzić mię kiedy do swój bożnicy i pokazać tę głowę osła, której wy, żydzi, nabożną cześć składacie? Radbym bardzo zobaczyć ją i opowiedzieć, com widział, dostojnemu Kryspinusowi; od dni bowiem kilku jest on w złym humorze i, jeśli go czém nie ubawię, go-tów mię od stołu swego usunąć.

Ten nie żartował, prosił na prawdę i nawet rzewnie, a dla poparcia prośby téj, pociągał Menochima za ucho tak, jak to w chwilach czulości czy-niła żona Kryspinusa z ulubionym swym pieskiem. Żyd nie zaprzeczał ni-czemu, mileżał jak grób, w ziemię patrzył i tylko drżącą ręką usuwał zwol-na dłoń, coraz mocniej cisnącą jego ucho.

Inni bywali gniewliwsi i srożsi.

— O! wy, przybysze—mówili—patrzć tylko, jak ze skór, zdartych z na-szych grzbietów, zaczniecie sobie wyrabiać pantofle! Gdybyś ty, psie prze-klęty, podatku tego z nas nie wyciskał, Cezar zniósłby go już pewnie i asy nasze pozostały-by w naszych sakiewkach.

Menochim głuchym głosem odpowiadał:

— Nie moje to są pieniądze, które od was biorę. Jestem sługą Mono-baza i wiernie oddaję mu wszystko, co mi tu dajecie.

— Niech bóstwa podziemne pochłoną pana twego, Monobaza, który z biednego synowca mego, Minucyusza, ostatnią już kroplę krwi wycisnął i kupił sobie za nią pierścieni z rubinami! Przy piérwszych igrzyskach, gło-śno w cyrku prosić będziemy Cezara, aby was wszystkich z Rzymu wypę-dzić rozkazał.

Raz wykwintna postać niewieścia, w towarzystwie dwóch służebnych, przemknęła ścieżką i, w milczeniu wsunawszy pieniądz w dłoń Menochima, zniknęła w głębiach gaju. Potém, cicho stąpając po gęstych trawach, wraca-ła; smutne jój oczy, stęsknione za czémś, po czémś splakane, ciekawie zatrzy-mały się na ciemnej, zoranéj twarzy żyda. Stanęła przed nim i, uchyliwszy z twarzy gazową zasłonę, mówiła z cicha:

— Ubogim jesteś. Bogatym cię uczynię, jeśli odkryjesz mi, w czém znaleźć mogę pociechę i spokój, których ani bogowie nasi, ani bogactwa do-



mu mego dać mi nie mogą. Wy, Azyaci, znacie wiele tajemnic i macie jakiegoś Boga, który podobno w najsroźszych smutkach pociechy wam zsyła.

— Czegoż chcesz? — zapytał Menochim.

Piękna Rzymianka ze smutnemi oczyma odpowiedziała:

— Sprzykrzyły mi się bogactwa i rozkosze wszelkie. Nie Kocham tego, który jest mężem moim i żadnego z młodzieńców rzymskich pokochać nie mogę. Pragnę doskonałości, enoty jakiejś, która-by płomieniem rozpałiła puste moje serce; bohaterstwa, które-by podobne było do bohaterstw przodków moich; Boga tego nieznanego, któremu Grecy budują ołtarze, a który innym być musi od bogów naszych, w których już — nie wierzę.

Żyd słuchał ze skupioną uwagą, a potem zapytał:

— Jeżeli nie wierzysz w bogów swoich, czemużeś nawiedzała gaj Egeryi?

— Spragnioną jestem ciszy i cienia... Zamieram w gwarze i blasku. Lubię tu myśleć o miłościach niebiańskich i wielkich ludzkich sercach. Teraz miłości niskie są i płocne, a serca tych, którzy mię otaczają, z żelaza lub błota!

Nad mówiącą w ten sposób kobietą Menochim pochylił się, i długo, długo, szeptał jój o czémś, z tajemniczymi gestami i drżącą siwą brodą. Widać było, że mówił jój, aby kędyś, w umówionéjporze przybyła, że coś jój obiecywał a coś przed nią wczęści odsłaniał. Rzymianka odeszła, a stary żyd złożył ręce na kolanach i tajemnicze uśmiechy przewijały się mu pomiędzy zmarszczkami twarzy. Dumal i szeptał:

— Droga niezbożnych ciemna, nie widzą gdzie upadną. Oto potkniesz się, Babyonio, o własne bogactwa i rozkosze swoje, bo przepojone niemi być zaczynają dusze twoich dzieci. Jako jeleń źródła leśnego, tak szukają one nowego światła!

Wczas jakiś potem usłyszał, jak dwaj niewolnicy, do gaju dążący, rozmawiali o wydarzeniu dziwném, w domu ich pana zaszłém. Pani ich, Flawia, uwierzyła w jakiegoś cudzoziemskiego boga, oblokła się w szaty surowe, do uctw zasiadać przestała, a nawiedzać zaczęła, z jedną tylko poufną służebną, tę obrzydliwą, cuchnącą dzielnicę miasta, w której mieszkają sami tylko Azyaci, Syryjczycy i Żydzi. Niewolnicy mówili o tém obojętnie i szydersko trochę, tak, jak zwyczajnie mawiają słudzy o postępkach i dziwnych kaprysach swych panów, ale zmarszczki na twarzy Menochima drgnęły radośnie, gdy usłyszał on słowa:

— Można Cestyusz, mąż Flawii, gniewa się i smuci, bo pośmiewisko ludzkie uwłacza powadze jego. Z Flawii śmieją się przyjaciółki jój, znajome, i podobno sam Cezar, niech długie będzie życie jego.

Dalszych słów rozmowy Menochim nie dosłyszał, lecz z tryumfującym wciąż uśmiechem pomiędzy zmarszczkami twarzy, szepnął:

— Tajemnemi są drogi Twoje! Oto nędzny robak, w pyle deptany, kroplę jadu wpuścił w pyszne serce książęce.

Uspokojony nieco, brał wielką księgę, którą przed wzrokiem przecho-

dniów pilnie ukrywał w wysokich trawach, i powoli przesuwając poczynął oczy po wierszach, napelniających żółte karty pergaminu. Wzrok jego posuwał się z prawej strony w lewą, a głoski, napelniające książkę, nie były ani łacińskie, ani greckie, lecz przedstawiały te kręte i zmieszane wzory, które znamionują pisma wschodnie. Niedługo przecież oddawał się czytaniu: bądź, że mistyczna natura jego nie była zdolną do długiego zespolania się z myślą cudzą, bądź, że czytane wyrazy rozżarzały mu w piersi płomień natchnienia, zsuwał się szybko ze szczytu złożonej baryery, drobnymi, spiesznymi krokami do buku przypadał, z nabożnym szacunkiem składał księgę na uprzedniem miejscu, a potem, zwieszony znowu na twardej i wysokim siedzeniu swym, wyjmował z pod sukni drewniane tabliczki i ostrym stylem pisać zaczynał na oblekającej je cienkiej warstwie wosku. Pisał prędko, gorączkowo, z lewa w prawo, tak jak i czytał. Policzki jego zachodziły przy tym zajęciu krwistym rumieńcem, krople potu spływały z pod zawoju i często łączyły się na twarzy z obfitemi łzami. Człowiek ten poetą być musiał, jednym z tych, których bezbrzeżna niedola ojczyzny na ognistym wozie cierpienia niosła ku szczytom mistycznych, namiętnych natchnień.

Raz, kiedy oddawał się on tym swoim pisarskim zajęciom, ścieżką pomiędzy bukszpanami zbliżał się ku niemu człowiek wysoki, młody jeszcze, owinięty płaszczem, którego kapiszon okrywał mu głowę od słonecznego skwaru. W cieniu kapiszona widać było twarz świątą i łagodną, a w rysach swych noszącą piętno pochodzenia wschodniego, niemniej wyraźne, jak to, które odznaczało twarz Menochima. Człowiek ten nie dążył snadź do świętego gaju, bo o parę kroków zatrzymał się i przyjaznym okiem wpatrywał się zaczął w piszącego poborec. Nie chciał mu może przerywać zajęcia, ale gdy końca jego doczekać się nie mógł, przystąpił bliżej jeszcze i półgłosem parę razy zawołał:

— Menochim! Menochim!

Z palców piszącego wypadł styl. Tabliczkę swą ruchem przestracza za suknię ukrył i na przybyłego podniósł oczy, ogniem zapalu błyszczące i nieco strwożone.

— Nie poznajesz mnie, Menochimie? — zaczął przybyły; — jestem Justus, sekretarz możnego Agryppy. Bywałem w domu twoim gościem częstym, gdy w nim przebywał jeszcze przybrany syn twój, Jonatan.

Menochim wstrząsnął głową z zadowoleniem widocznym.

— Wybacz mi, Justusie, że nie poznałem cię odrazu. Oczy moje starzeć zaczynają...

— Nie, — z uśmiechem odparł Justus, — ale zajmowała cię robota, której się oddawałeś. Piszesz...

— Ja! ja! — krzyknął prawie Menochim, — czyżbym mógł? czyż-bym potrafił? nie, to były tylko rachunki, które sporządzałem dla pana mego, Monobaza!



— Ukrywasz się... — zaśmiał się Justus, — bądź spokojnym; o tajemnice twe dopytywać się nie będę. Nie darmo od lat kilku zostaję przy boku Agryppy i królewskiej siostry jego, Bereniki. Tam tajemnicę tyle, co gwiazd na niebie. Nauczyłem się je szanować; alboż ja sam żadnej własnej tajemnicy w piersiach swych nie noszę? W czasach naszych, któż nie nosi w sobie tajemnic, swoich lub cudzych? Twarze inne, serca inne, myśl mo- wie zaprzecza. Nie pytam cię więc, Menochimie, ani co, ani dla czego czy- nisz. Przyszedłem do ciebie w interesie ważnym.

-- Słucham cię, — poważnie i uprzejmie odpowiedział Menochim. — Ju- stus mówić zaczął:

— Rzecz jest prosta, nie wiem tylko, czy taką wyda się tobie. Oto, przyjaciel pana mego, Agryppy, Józef Flawiusz... nie potrzebuję ci mówić kim on jest... pragnie wziąć do boku swego jednego więcej sekretarza, który- by pod kierunkiem jego pisał i przepisywał wielkie, rozpoczęte przezeń, dzieła. Wiiesz, że cokolwiek o Józefie powiedzianem być może, kocha on zawsze naród swój, i otoczenie jego liczne składa się tylko z braci naszych. Polecił mi on i teraz wyszukać izraelitę, umiejącego pisać po grecku. Zadanie to dość tru- dne. Pomyślałem o tobie. Czy chcesz zająć korzystną i zaszczytną posadę u boku uczonego rodaka naszego, przyjaciela Agryppy i Bereniki, ulubienca Cezara i syna jego Tytusa?

Menochim słuchał z uwagą, ze spuszczonej powiekami, i wtedy dopię- ro, gdy Justus umilkł, odpowiedział:

— Dziękuję ci, Justusie, za pamięć twą o mnie, ale przybocznym Józefa Flawiusza nie zostanę za nic.

Justus nie okazał zdziwienia i spokojnym głosem przemówił znowu:

— Płaca, do urzędu tego przywiązana, znaczną jest. Mieszkanie w pała- cu Agryppy, miejsce przy stole jego i dwadzieścia tysięcy sestereyi rocznie.. pomyśl.

— Za nic,—krótko i spokojnie powtórzył Menochim.

— Na miejscu tém zostając, tysiąc przysług oddawać mógł-byś biednym braciom naszym...

— Za nic, Justusie!

— Masz dziecię przybrane, Mirtalę... której młodości potrzeba śwież- szego, niż na Zatybrzańskim przedmieściu, powietrza...

— Za nic, Justusie!

— Starość, Menochimie, zbliża się ku tobie wielkimi krokami. Gdy niemoc przykuje cię do łoża boleści, gdy zmęczone ręce twe żadnej już pracy jąc się nie będą mogły, w Agryppie i Józefie znajdziesz hojnych dobroczyń- ców i opiekunów troskliwych...

— Za nic, Justusie!

Justus milczał chwilę, namyślał się, a potem tak cicho, jak gdyby lękał się, aby go nawet dęby i buki świętego gaju nie usłyszały, zapytał jeszcze:

— A jeśli... a jeśli Jonatan, to ukochane dziecko twoje, ten rycerz bohaterski, ten biedny wygnaniec, którego teraz palą zapewne afrykańskie skwary i tysiakkroć sroźsze od nich rozpaczę, jeśli on... wróci? Czém osłonisz go przed niebezpieczeństwą? Kogo wezwiesz dla niego na obronę? Agryppa i Flawiusz skutecznie bronić go mogą; jedno skinienie białego pała Bereniki usunie szyję jego z pod topora, albo ciało jego wydrze płomieniom stosu... Menochim zadrżał od stóp do głowy, wzniesione do góry jego ramiona zatrzepotały w powietrzu, jak skrzydła zranionego ptaka, a z piersi wydarł się krzyk przeciągły.

— Justusie, Justusie! po co mię kusisz? Jonatan mój... To prawda! Jego szyja skazana pod topór... a może jak Gorysza rzucą go w płomień stosu, i gawiedz rzymska szaléc będzie z radości, na widok mąk i śmierci jednego z ostatnich obrońców Syonu... O Justusie, coś ty mi powiedział! Zakląłeś mnie na szyję najmilszego dziecka mojej duszy, tego, którego niemożliwie wyrwałem, wykupiłem z niewoli Edomu! Tak, Justusie, Agryppa obronić go może, Flawiusz zasłonić go może, Berenika... o!

Nie siedział już na ostrzu baryery, lecz, rozciągnięty pod stopami buku, z dłońmi zalamanymi nad głową, czoło zanurzał w wysokiej trawie. Z piersi jego wychodziły wciąż zmieszane krzyki:

— Jonatan! Jonatan mój! rycerz bohaterski! Tułacz nieszczęsny.. czém ja go osłonię? Kogo wezwę dla niego na obronę! O, Ty! gdzież miło serdziej Twoje?

Justus, milcząc, ze współczuciem patrzył na paroxyzm rozpacz, wstrząsający ciałem i duszą starszego jego rodaka. Źrenice nawet jego zwilgotniały nieco i kształtne usta zacisnęły się z wyrazem niemego, do milczenia snadź przyzwyczajonego, bólu. Powoli Menochim uspokajać się zdawał. Z twarzą przyciśniętą do ziemi, myślał. Sporo czasu upłynęło, zanim z ciężkością powstał, i palające oczy swe z pod zawoju w twarzy Justusa utkwwszy, powtórzył znowu:

— Za nic!

Justus pochylił głowę.

— Spodziewałem się twojej odmowy, miałem jednak nadzieję, że przedstawienia moje...

— Jakież są one, Justusie? — drżącym jeszcze, lecz uspakajającym się głosem zapytał Menochim. — Ubóstwo? alboż nie najwłaściwszem jest ono synowi obalonego grodu? Mirtala? Alboż ję także nie wyrwałem, jak Jonatana, z edomskiej niewoli? Niech dzieli czarny chleb mój i wraz ze mną oddycha powietrzem nieszczęścia. Jonatan? On pierwszy, on najbardziej, odradzał-by mi dzielić bogactwa i rozkosze tych, którzy zaparli się, odstąpili sprawę ojczystej i świętej.

Ostatnie wyrazy wymówił z błyskiem nienawiści w oczach. Justus po chwili milczenia odparł.



— Zbyt surowym jesteś, Menochimie, i sądy twoje mają szybkość, którą nadaje im ogień twego serca. Ani Agryppa, ani Józef, ani nawet Berenika zaprzańcami nie są. Uroczyście i jawnie obchodzą oni wszystkie święta nasze, hojnie wspomagają pieniędzmi nieszczęśliwych braci...

— Ale serca ich, Justusie, serca, serca! — przerwał Menochim, i tysiąc wzdurliwych uśmiechów wstrząsnęło zmarszczkami jego twarzy. — Serca, Justusie, — powtarzał, — które przyłgnęły do grzechów i zbytków Edomu; dłonie ich, Justusie, które codziennie serdecznymi uściskami łączą się z dłońmi naszych wrogów! Józef Flawiusz przy stole Wespazjana! Berenika w objęciu Tytusa, tego samego Tytusa... o Ty! gdzie sprawiedliwość Twoja!... który żużel pożaru rzucił na naszą świątynię! Agryppa chodzi w szacie Senatora rzymskiego, z sześciu liktorami, którzy żebrzących braci jego, jak psy, spędzają mu z drogi! Cha! cha! cha! I ty, Justusie, mówić śmiesz, że oni zaprzańcami nie są! Święta nasze obchodzą! Sabaty święcą! „Miłości potrzebuje, nie ofiar!” mówił Pan ustami proroka. Ubogich braci datkami obdarzają! A w pałacu Agryppy złoto ze ścian kapie! A ileż kosztuje pierścień drogocenny, który na palec Bereniki włożył pogromcę jej ojczyzny? A jakaż jest cena podarków, które Józef Flawiusz otrzymał od Poppei, rozpustnej żony strasznego Nerona? Niech sami żrą i piją bogactwa, w ten sposób zdobyte! Moje usta ich nie dotkną...

Justus w pozornym spokoju wysłuchiwał namiętną tę mowę, lecz w cieniu kapiszona czoło jego zaszło rumieńcem.

— Cóż więc niemasz o mnie, Menochimie? — zapytał z cicha; — o mnie, który mieszkam w ich złoconych ścianach i jem przy ich wspaniałym stole?...

Menochim w zamyśleniu pochylił głowę; po chwili zaczął z cicha:

— Kocham cię, Justusie, boś był najlepszym przyjacielem Jonatana mego, bo znam duszę twoją i wiem, że mieszkają w niej: miłość i wierność. Głód wysuszał ci kości, schroniłeś się przed nim pod dach Agryppy. Łagodnym byłeś zawsze, zwolennikiem słodkiej nauki Hillela, która od nienawiści odwodzi i krwią się brzydzi... Ach! i jam kiedyś był Hillelistą! Serce miałem gołębie, a piłem tylko słodki miód przyjaźni i zgody. Ale, Justusie, żaden pieprz nie pali tak podniebienia i żadne wino taką burzą nie kipi w głowie, jak doznane krzywdy! I patrz, Justusie, oto są jeszcze szkody, które pogńbiciel sprawia pogńbionemu: twoja czysta dusza brudzić się musi w służbie u niezbożnych, moje słodkie serce zapłynęło jadem!

Długo milezeli obaj: Justus, po dłuższej chwili, bardzo cicho przemówił jeszcze.

— Czy nie masz nowych wieści o Jonatanie?

— Żyje, — krótko odpowiedział Menochim.

— Niech będzie Pan pochwalonym! On-to wydierał go dotąd z rąk prześladowców. Żegnam cię, Menochimie.

— Pokój niech będzie z tobą, Justusie.

Justus odszedł, lecz po kilku krokach wrócił.

— Jeżeli-by... — zaczął, — jeżeli-by Jonatan... do domu twego przybył, daj mi o tém wiedzieć. Może będę mógł stać się mu w czém użytecznym... pozwól, abym przynajmniej, w miarę możności, przyjaźń moją wam okazywał!

Menochim twierdząco skinął głową. Nie przyjął więc korzystnej posady u boku bogatego rodaka swego i, tak jak pierwój, przychodził tu codziennie o wschodzie słońca, aby aż do zmroku stróżować nad wejściem do świętego gaju. Miejsce, na którym siadywał, nie było wygodnem, a jednak znajdowali się tacy, którzy mu go zazdrościli. Jednym z zazdroszczących był Silas, Syryjczyk, w brudno-czerwonej tunice, skórzanym pasem przepasanój, z bosemi stopami, głową wpół łysą a wpół ryżą, i z chytrą, złośliwą, cyniczną twarzą. Był on z profesyi lektykaryuszem, czyli najemnikiem do noszenia lektyk. Ale, znaczną część życia spędziwszy w niewoli, świeżo przez testament pana swego wyzwolony, pragnął żyć na wolności beczynnice i hulaszczu. Noszenie lektyk było pracą zbyt ciężką dla ciała jego, wyniszczonego naprzód przez chłosty, których niegojące się nigdy ślady na plecach swych nosił, potem przez rozpustę, w którą, raz wyzwolony, rzucił się z pijaną radością. Wołał-by o wiele beczynnice przesiadywać dnie całe w rozkosznym cieniu gaju Egeryi. Nie siedział-by tak, jak Menochim, na twardej baryerze, ale rozciągał-by się miękko na chłodnem i bujnym podścielisku trawy. Nagie stopy jego wygrzewały-by się na słońcu, a zwinne ręce umiały-by część otrzymywanych tu asów do własnej wsuwać sakiewki; przyprowadzał-by tu z sobą parę towarzyszy i gwarzyli-by wesoło, grając w rzucanie monet w cetno i lieho, albo nawet w kości, i popijając trypolińskie wino, na które stać-by było poborcę świętego podatku, a które, choć cienkiem jest i pośledniem, błogo rozlewało-by się po gardłach bosych wyzwoleńców. Gdyby nie ten przeklęty żyd, co tu przed kilku laty i jakby na wieki zasiadł, za pośrednictwem jednego ze sług Monobaza, który mu był przyjaznym, dopiął-by niezawodnie celu swoich marzeń. To też Menochim, w chwilach, gdy najbardziej zanurzonym był w czytaniu lub pisaniu, wzdrygał się czasem nagle, zeskakiwał z baryery i z przestraczem oglądał się dokoła. Przyczyną przestraczu jego był krzyk lub świst przeraźliwy, nieludzki, do ryku zwierzęcia lub gwizdu drapieżnego ptaka podobny, który nagle rozlegał się nad samem jego uchem. Rozglądał się i nie spostrzegał nic, lecz zaledwie z przestraczu swego ochłonąć mógł i znowu do rozmyślań swoich lub natechnień powrócić, o nogę jego uderzał kamień, tak wprawna ciśnięty ręką, że dolegliwie raził mu stopę i płytki sandał na ziemię zrzucał. Jednocześnie spostrzegał giętką postać w brudno-czerwonej bluzie, która, rzucając w powietrzu bosemi stopy, kryła się pomiędzy drzewa, a z pomiędzy gałęzi drzew wychylała się ku niemu ciemnoskóra, małemi oczyma błyskająca, zjadliwym uśmiechem wykrzywiona, twarz Silasa. Innym razem, wśród ciszy najgłębszój, z za drzewa jakiegoś lub wypukłości gruntu, wyskakiwał Silas i, z dłońmi wspartemi na kłębach, z wyszczerzonymi zębami,



rozpoczynał przed nim dziwaczne skoki i płasy. W błękitném, pozłocconém powietrzu, na tle pustego pola i cichego gaju, zwinna, bosa, brudno odziana postać Syryjczyka, miotająca się w skokach i giestach cynicznych, miała w sobie coś piekielnego. Z wyszczerzonych ust jego leciał grad naigrawających się, albo bezwstydných, wyrazów. Menochim zamykał oczy, ale uszu zamknąć nie mógł. Cierpiał i milezał. Milezał też, gdy w fałdach swój sukni znajdował, niewiedziąc zkąd tam biorące się, kawaly wieprzowego mięsa, które ze wstrętem od siebie odrzucał. Nie mógł jednak mileżeć dłużej, gdy raz, o zmroku, wracając do domu i zbliżając się ku przedmieściu, spostrzegł kilku ludzi, goniących wąż i cłyżą dziewczynę. Dopędzana niemal, dziewczyna krzyknęła. Menochim poznał głos przybranęj córki swój, Mirtali. Jak wściekły, rzucił się na przód, ale dwóch nadehających poważnych mężów zastąpiło drogę ścigającym, którzy pierzchnęli. Pierzchającymi byli: Silas przyjaciele jego, Syryjczycy także, lektykarysze i tragarze.

— Czego chcesz ode mnie? jaką jest wina moja przed tobą? — zapytał nazajutrz Menochim Silasa, gdy ten, jak często bywało, ukazał się w pobliżu gaju Egeryi.

— Chcę, abyś mi miejsca tego ustąpił, — odpowiedział Silas; — a winą twoją jest to, że jesteś psem judejskim, któremu podobnych, rok temu, Syryjczycy w Antyochyi 20,000 wymordowali. Jeżeli tam wymordowano was tyłu, dlaczegóż-bym ja jednego zadusić nie mógł?

— Niech zlituje się nad tobą Pan, człowieku czarnych myśli i okrutnego serca! Pomyśl! Judea i Syrya, to dwie rodzone siostry. Jednym mówimy językiem, jednego czcimy Boga. Plemię nasze z jednego korzenia ród swój wiedzie.

— Bodaj-byś zgorzał w ognistém objęciu Molocha! Twoja jedność języka i plemienia, i Bóg twój, i Judea, i Syrya, tyle mię obchodzą, co podeszwa zdartego sandała. Pić chcę, a za pieniądze, które ci płaci Monobaz, napił-bym się do syta. Leżeć chcę, a ty zajmujesz miejsce to, na którym mógłbym wylegiwać się spokojnie. Dlatego postanowiłem, albo spędzić cię ztąd, albo wydrzeć ci z gardła twoję żydowską duszę.

— Skarżyć cię będę! — spokojnie, lecz stanowczo, rzekł Menochim.

— Wyj, psie! skrzecz żabo! sycz, podły gadzie! Zobaczymy, czy cię pan twój, Monobaz, ludożerca, na którego wielu szlachetnych Rzymian dawno już ostrzy zęby, od pazurów Silasa obronić potrafi!

Menochim poszedł do Monobaza, Silas skarconym został; przez całe dni dziesięć nie widać go było nigdzie. Ukazał się jednak znowu, ale Menochima dręczyć zaprzestał. Pilnie tylko szukał sposobności spotkania się z nim i, gdy tylko ją znalazł, w milezeniu podnosił ramię i wykonywał ręką niemy giest groźby. Raz tylko, oko w oko spotkawszy się z Menochimem w tłoku ludzi, napelniającym rynek, mijając go, ponurym głosem rzekł:





BODAJBYŚ ZGORZAŁ W OGNISTÉM OBJĘCIU MOLOCHA!





— Nienawiść tajona sroższą jest, niż jawna. Nadejdzie kiedyś godzina Silasa!

W południe, Menochim na baryerze swój siadając, jadł chleb, przysypiany cebulą, i popijał go wodą, zaprawioną octem; czytywał, pisał, dumał, w milezeniu znosił obelgi i żarty przechodniów, w milezeniu dźwigał ciężar nairawian się i groźb Syryjczyka. W zmieszonym chaosie ścian i dachów Rzymu, z łatwością rozpoznać mógł miejsce, gdzie wznosił się pałac Agryppy, będący zarazem mieszkaniem Józefa Flawiusza, który go do boku swego zapraszał. Nigdy, kierując się ku miejscu temu, oko jego nie zaszło żalem ni zazdrością. Często natomiast płonęło ono oburzeniem. Często także plecy jego garbiły się tak bardzo, jakby spoczywał na nich ciężar ogromny. Drżącymi ustami powtarzał wtedy imię Jonatana, rycerza, tułacza, skazańca...

Ale, na wszystkie te udręczenia swoje, posiadał on widać tajemniczy jakiś, kojący balsam. Codziennie, gdy ognista tarcza słoneczna kryła się za purpurowy skraj widnokregu, blaski wielkiego miasta gasły i gwary jego milkły, gdy z szafirów niebieskich sływały na ciche pola przezroczyste woale zmroku, a w głębi gaju coraz wyraźniej i srebrniej dzwoniły wody strumienia; Menochim opierał twarz na dloni i, ze wzrokiem błędzącym wysoko, z rytmicznie i powoli kolyszącą się postacią, zapadał w niemą, pogodną zadumę. Być może, iż wtedy zmartwychwstawał w nim Hillelista, człowiek z gołębiem sercem, brzydzącym się niezgodą, krwią i przekleństwami. Twarz jego uspakajała się, usta traciły zbolwały swój zarys, w żenicach gasła namiętność. Cicho, przeciągle śpiewał pieśń nadziei:

„Jako chmura przechodząca, minie niezbożnik; sprawiedliwy, jako fundament wieczny”...

„Ścieżka sprawiedliwych, jako pas światła, ściele się w górę, ku dniowi tryumfu”...

„Oczekiwanie... nieszczęśliwych wesele. Czekać, narodzie mój, dnia sprawiedliwości!”

Wyraz eichój radości twarz jego oblewał, gdy, patrząc w niebo, mówił:

— Ty, którego imienia nie umięją wymówić usta moje, dziękuję Ci, żeś i na mnie spuścił chlostę, którą braci moich dotknęłaś, bo stokroć i tysiąckroć lepiej jest cierpieć z pogębionymi, niżeli zażywać rozkoszy z pogębicielami...

Wstawał, księgę swą, wyjętą z ukrycia, starannie krył w fałdach sukni i ścieżką, uslaną bazaltem, a wysadzaną bukszpanami, spokojnie, z wyprostowanym grzbietem i nawet z jakąś niby dumą w podniesionej głowie, dążyć zaczynał ku dzielnicy miasta, noszącą nazwę: *Transtiberim*, czyli Zatybrze.

*Transtiberim* była to XIV-ta dzielnica Rzymu, zamykająca w sobie dwa wzgórza: Janikulskie i Watykańskie. Z przeciwległej strony Tybru, na siedmiu pierwotnych, kolebką jej niejako będących, pagórkach, zgromadzały się wszystkie świętości, blaski i potęgi wielkiej stolicy; tu znowu, rozległe publi-



eczne ogrody, noszące nazwy Cezara i Agryppiny, jako też otoczone ogrodami wille możnych, okrywały szczyty i stoki dwu wzgórz przedmiejskich gęstą zielenią, wśród której jaśniały tu i owdzie śnieżne, wspaniałe łuki i sklepienia bram, wiodących po-za obręb miasta. Tu także, u stóp Janikulu, na ciasnej przestrzeni, zamkniętej ścianą wzgórza i brzegiem rzeki, naprzeciw łuku Germanikusa, który bogatą jakby klamrą zamykał spuszczającą się z Awentynu Ostyjską ulicę, szarzała rojem niskich domków ta część zatybrzańskiej dzielnicy, którą wyłącznie zamieszkiwali Syryjczycy i Żydzi. Miejsce to różniło się od innych części miasta, nie tylko rozmiarem ulic swych i budynków, ale także odrębną całkiem architekturą tych ostatnich i nadewszystko fizyognomią zamieszkującej je ludności. I po przeciwległej stronie rzeki istniały miejsca ubogo i ciasno zabudowane. To np., które nosiło nazwę Subury, ulice miało wąskie, domy stłoczone i kruchością swą budzące przestrach przechodniów. Niemniej przecież były to domy wysokie, sześciu nieraz piętr dosięgające, przyozdobione kolumnadą, której cegły i gipsy słabo naśladowały marmury wspanialszych części miasta; wąskie nawet zaułki posiadały tam wysłanie z lawy, lśniące jak ciemne zwierciadło, a tu i owdzie ozdabiały się posągami, przedstawiającymi bóstwa niebieskie, lub uwielbianych ziemian. Tam także nikt słyszeć nie mógł mowy innej, nad łacińską lub grecką, a twarze ludności, grube i często wynędzniałe, nosiły jednak w rysach swych wyraźne dowody pochodzenia swego od starożytnych Kwiryków albo Hellenów, będących w Rzymie dawnymi już i poufałymi gośćmi. Na zatybrzańskim przedmieściu całkiem było inaczej. Setki może krótkich, wąskich, krętych uliczek wily się dokola domków jednopiętrowych, niskich, z dachami płaskimi, otoczonymi balustradą, a zwieńczonymi rodzajem trójkątnej budki, smutnie spoglądającej jedynym oknem bez szkła, które było zbytkiem, w tym miejscu nieznanym, a zastępowanym szybami z pęcherza, albo szmatami przepojonych woskiem materyi. Architektura taka Rzymianom była obcą, dopóki jej tu nie przywieźli z sobą wędrowcy z Judei. Trójkątna budka owa, nad płaskim dachem stercząca, zawieriała w sobie izdebkę, powiększającą szczyple na dole mieszkanie i noszącą nazwę *Aliga*; dach płaski, otoczony balustradą, rozszerzał ciasną i duszną przestrzeń, tworząc rodzaj tarasu, na którym jadano, modlono się i często spano. Domki te, uliczki i ciasne placyki zalegała ludność plei obu, w strojach, całkiem też różnych od tych, które noszono w innych częściach miasta. Nie było tu ani tog brązowych, szkarłatnych lub białych, ani tunik obcisłych, wytwornych, wzorzystych, ani kobiecych *stolli* z rzęsimi haftami, ani złotych zasłon, lekkich jak obłok, opływających kształty, uwydatnione lśnięciami od metalowych ozdób pasami. Mężczyźni nosili tutaj długie do ziemi, luźne, grubym welnianym zwojem ściśnięte w pasie suknie, *chithoneth* zwane, głowy zaś ich dźwigały ciężkie turbany, lamiące się w twarde załomy, a opuszczające na oczy i policzki cienie wysokich gżemsów. Same turbany te były dziełem zawikłanym, którego wykonania ani podjąć

się, ani zrozumieć-by nawet nie mógł, gologłowy najczęściej, a czasem lekkim kapeluszem lub kapiszonem płaszcza głowę swą okrywający, Rzymianin. Kobiety zato jaśniały sukniami swemi, jak różnobarwne kwiaty na łąkach. Zielono, błękitno, żółto robiło się w oczach przybyszowi, gdy patrzył na gromadę niewiast tutejszych, skoro zbiegły się one dla sprzedaży lub kupna na jeden z ciasnych placyków, albo długim szeregiem, w poufałej gawędzie, obsiadły ścianę jednego z domów. Złoto ani srebro nie świeciło na pasach, otaczających kibicie ich, ale były to lniane lub bawełniane wstęgi, mieniające się pysznemi wschodnimi wzory. Starsze głowy i czoła swe, na wzór mężczyzn, ukrywały w turbanach śnieżnych lub wzorzystych, młodsze spuszczały na plecy bogactwo kruczych albo ognistych warkoczy i nierzadko, idąc, pobrzękiwały chórem dzwoneczków, kołyszących się u wysokich sandałów ich, z czerwonej lub wzorzysto wyciskananej skóry. Wszystko to, mężczyźni, kobiety i dzieci, kędzierzawe, wpół nagie, mówiło językiem, całkiem w innych miejscach Rzymu nieznanym, będącym zlewem dwu mów wschodnich: syryjskiej i chaldejskiej. Język ten, przez mieszkających tu Syryjczyków także używany, mnóstwem zawartych w sobie brzmień gardłowych przyciszoną nawet rozmowę zmieniał w gwar głośny, a byle trochę ożywionym słowom nadawał pozór klótni. Nieustanny i głośny gwar, który tu panował, zwiększał się znacznie przez wielką ruchliwość ludności tej, przez blizkie sąsiedztwo portu i przez mnóstwo nagromadzonych tu fabryk. Ludność ta była ruchliwą. Wprawdzie mężowie w podeszłym wieku, zgarbieni i zadumani, przesuwali się często wśród tłumu wlokącym się krokiem nieszczęśliwych; młodzieńcy nawet miewali zmęczone i posępne twarze, a z pod turbanów, okrywających czoła niewieście, patrzyły oczy trwożne lub splakane; wprawdzie na całej ludności tej widocznym było piętno chorobliwego istnienia na ziemi obcej i pod obcym słońcem, niepokoju i trosk tułaczki, świeżych, nieprzeplakanych jeszcze, żalów i twardej walki z ubóstwem: niemniej jednak była ona ruchliwą; sprężyste, żwawe, z namiętami ruchami i zanoszącym się gwarem, krzątała się około zajęć mnóstwa. We wnętrzach domów słychać było furczenie wrzecion i skrzyp tkackich krosien; rozlegał się stuk narzędzi, uderzających w żelazo; widać było głów mnóstwo, schylonych nad misternym oprawieniem w bronz szkieł kolorowych, lub szlifowaniem i rzeźbieniem drogich kamieni; dławiące zapachy wonnych kor i korzeni zuamionowały dokonywające się wyroby perfumiarstwa. Gdzieindziej, na odkrytych, lecz ciasnych przestrzeniach, mnóstwo ludzi mieszało ze słomą ogromne masy gliny i pracowitem wydeptywaniem jej nogami przerabiała ją na piętrzące się stosy cegieł; tam znowu okręcały się z łoskotem koła i warczały kamienie garnarzy; owdzie gromady haftarzy, ze zgiętymi nad krośnami plecy, w podnoszących się wciąż i opadających rękach błyskały różnobarwnemi, złotemi i srebrnemi, niemi. Dalej nieco były garbarnie, nadające skórom różną cienkość i barwę; a dalej jeszcze, ciekące po ścianach i progach płyny, ze wstrętliwym pozorem i zapachem, świadczyły



o farbiarskich zajęciach. Kilka oberż, brudno i posepnie wyglądających, buchało na zewnątrz hałasem grubych głosów i wonią najpośledniejszych napojów, a dokoła nich zbierali się w krzykliwe gromady, idący po zarobek do miasta, lub z miasta powracający, lektykarze i tragarze. Tragarzy Syryjczyków i Żydów pełno bywało, szczególnie w tém miejscu, gdzie na żółtych falach Tybru przybyłe zatrzymywały się statki, ładowne towarem, przysyłanym tu z wielkiego nadmorskiego portu Ostyi. Statki przybywały nieustannie; nieustannie też u brzegu rzeki panował tłok ludności żeglarskiej, zmieszanej z tą, która, zdejmując ze statków towary, składała je u brzegu w spiętrzone stosy, albo na grzbietach mułów i osłów i na wozach, zaprzężonych mułami i osłami, uwoziła ku mostom, kilku klanrami spinającym brzegi rzeki. Stuk więc, skrzyp, gwizd i warezenie narzędzi rzemieślniczych i fabrycznych, przeciągłe wołania żeglarzy, przywodzących do portu towarowe statki, i chóralny, potężny plusk ich wiosel, turkot wozów, tentent stóp zwierzęcych, hałas oberż, łączące się z rozmowami i kłótniami męzkich głosów, z gwarą kupujących i sprzedających niewiast, z wesołemi lub płaczącymi krzykami mnóstwa dzieci, wytwarzały wrzawę ogłuszającą, jak nieustanny grzmot huczącą w ciężkiem, dławiaćcem, smrodliwem powietrzu. Olbrzymie ścieki i podziemne kanały, które od wieków już z nieporównaną doskonałością Rzym oczyszczały, téj jego dzielnicy oczyścić nie mogły. Wyraźniej jeszcze może, niż w ubiorach, mowie i rysach twarzy, Wschód ukazywał się tu w nagromadzonych wszędy śmieciach, w ciekających swobodnie mętnych i cuchnących wodach, w ostrych lub mdlawych zapachach, ulatujących z kuchen. Kuchenne zapachy cebuli i ryb nadgniłych mieszały się w powietrzu z gęstym dymem garbarni, z gryzącym smrodem farbiarni, z odurzającą wonią myrry, kasyi, aloesu, szafranu, cynamonu, aromatycznych kor i korzeni, unoszącą się z fabryk perfum. Wszystko to, złączone z wyziewami, jakie wydaje zazwyczaj ciężko uznojona i od wytworności daleka ludność, wytworzyło atmosferę którą-by żadna pierś, miejscu temu obca, bez szkody i cierpienia oddychać nie mogła. Przenigdy też nie ukazywał się tu nikt z wytwornego rzymskiego świata, i każdy z tych, którzy na Kapitolu, Awentynie lub cesarskiem Palatyńskiem wzgórz, przechadzali się po zwierciadlanym bruku z lawy, w świeżym i wonnym cieniu pałaców i portyków, spoglądał na mrowisko to, ścielące się po przeciwnéj stronie Tybru, wzgardliwie, niechętnie, co najmniej obco. Zejść tam, pomiędzy te niskie, płaskie dachy, w tę ludność, szwargocącą językiem niezrozumiałym i barbarzyńskim, w pył ten, dym, smród i wrzak, wstrętniejszém i straszniejszém dla każdego z nich było-by zadaniem, niż przepłynąć morze i wylądować u brzegów Afryki lub Brytanii.

Jeżeli jednak z góry ku dołowi nie zstępował nigdy nikt, z dołu ku górze wspinało się mnóstwo istot, codziennie od mrowiska tego odrywających się i niezmiennie do niego powracających. Codziennie mnóstwo Żydów, starych i młodych, nie przemieniając ojezystego stroju swego na żaden inny, opusz-

czalo *Transiberim*, przebywało jeden z mostów i szerokiemi, wspaniałemi ulicami wstępowało na zamieszkiwane przez {panów świata wzgórze. Byli to prawie powszechnie przekupnie, roznoszący po mieście towary, w dzielnicy ich wyrabiane, a które oryginalnością swą zaciekawiały i pociągały Rzymian. Jeden z przekupniów takich niósł na sprzedaż biżuterią tanią, lecz błyszczącą, bo wyrabianą ze szczątków naczyń z zabarwionego szkła i kryształu, w domach możnych stłuczonych, a skrętnie przez mieszkańców Zatybrza nabytych i zużytkowanych. Inny pociągał wzrok pękami ślicznych sandałów kobiecych, z czerwonej i wyciskananej skóry; inny jeszcze powiewał wstęgami pysznych pasów; albo rozwijał tkaniny, okryte wschodniemi wzorami; albo pobrzękiwał wyrobami z miedzi, bronzu i żelaza; albo jeszcze okazywał na pierścieniach i spinkach misternie rzniete kamienie, lub fantastycznych kształtów naczynia, pełne płynów i maści z wonią nieznaną. Na to obfite napływanie w ich miasto i w łono przemysłu ich tego obcego pierwiastku, wielu Rzymian, dla przyczyn rozlicznych, patrzyło niechętnie. Niechętnie patrzył na pokornego brudnego przybłędę dumny i wytworny patrycyusz, a szlachetny patryota dostrzegał w nim jeden z pierwiastków, osłabiających moc jego ojczyzny. Niechętniej jeszcze, wzgardliwiej, spoglądał na niego myśliciel, widzący w nim hołdownika przez niego już porzuconych wierzeń i przesądów. Najnienawistniczszym okiem pożerał go kupiec i fabrykant, którego arkadę mijano dla przyjrzenia się jego towarom. Plebs uliczny, gawiedz, spragniona wszelkich wrażeń i widoków nowych, ściagała ich ciekawością swą z hucznym śmiechem, drwiąc z niezrozumiałej ich mowy, z dziwactw ich stroju, z chudości nawet ciał ich i cierpliwego milczenia ust. Niejeden patrycyusz, filozof, ku piec, którzy-by z ulic Rzymu zdmuchnąć ich pragnęli, zapytywał siebie: zkąd wzięli się oni tutaj? po co przybyli? dlaczego nie pozostali tam, kędy były kolebki i groby ich ojców? A zapytując tak i odpowiedzi na pytania swe nie znajdując, zwycięzcy ci zapominali o tryumfalnych wojennych pochodach, które do stolicy ich wprowadzały tysiące jeńców judejskich; o tém, że na ziemi podbitej, stratowanej pożogą i mordem, głodno i straszno było pozostawać jęć dzieciom; że synowie jeńców, przywiedzionych przemocą, urodzili się już w mieście wygnania, a gromady tułaczy, których oni pozbawili ojczyzny, jak ptaki pozbawione gniazda, zakładały je w ich ojczyźnie. Zwycięzcy ci zapominali o tém, że niemłych im przybyszów przygnali tu krwawi bracia: podbój i gwałt; że, jeżeli pognębnego udziałem staje się niedola, ze szczęścia pognębicielea powoli lecz nieuchronnie wyrasta różga kary i pomsty.

W roju tym niby pszczoł, które, wylatując z brudnego, wrzaskliwego ula swego, rozlatywały się po rozległych przestrzeniach, znajdowała się często młoda dziewczyna, drobna, ładna, zgrabna, i w dziwny sposób przystrojona. Była to jedna z haftarek, roznoszących długie pasy wełnianych materii, okryte naszyciem o wzorach wschodnich, mieniających się fantastycznie polamanemi liniami i purpurą wszelkich odcieni, zmieszaną ze srebrem i złotem.





Rzymianki chciwie ubiegały się o wyroby te, któremi przyozdabiały brzegi swych sukien, sprzęty i okna swych mieszkań. Były one kosztowne i całkiem niepodobne do tych, które wyrabiały haftarnie rzymskie; zbytkowność ta więc i osobliwość ich tęp ponętniejszemi je czyniły. Młoda haftarka z *Transiberim*, ilekroć z towarem swym udać się miała na drugą stronę Tybru, o wczesnej bardzo porannej godzinie, wychodziła z jednego z najmniejszych i najuboższych domków przedmieścia i biegła raczej, niż szła, przez wązkie uliczki, wesoła, lekka, ziemi zda się niedotykająca, a wciąż przy świetle wschodzącego słońca lubująca się pięknnością niesionych przez się przedmiotów. Lubowanie się to objawiała ciąglem rozwijaniem pięknych szlaków materyi i przyglądaniem się im, któremu towarzyszyło zachwyczone kołysanie się w obie strony głowy jej maliej i niemniej od haftów jej oryginalnej. Była to głowa, okryta takim gąszczem ognisto-rudych kędziorów, że z dala, przy słońcu, można-by je wziąć za ciężki, złoty wieniec. Z bliska widać było, że kędziory te posiadały figlarność dziecinną i miękkość jedwabiu; a w cieniu zlocistej, miękkiej tej gęstwiny, olśniewającą białością rozkwitała twarz drobna, przychuda, z dwojgiem czarnych oczu, których płomiennność łagodził cień długiej rzęsy, i z drobnymi ustami, czerwonymi jak odłam koralu. Drobna i wątła jej kibić okrywała suknią uboga, spłowiała, przepasana w stanie kawalkiem też spłowiałej, lecz pysznie wyhaftowanej, materyi; szyję zaś, posiadającą rozkoszne, łabędzie zgięcia, otaczał błyszczący i pobrzękujący naszyjnik, z oprawnych w bronz, kolorowych szkielek.

Biegła, na szczupłych ramionach zawieszała haftowane szlaki, z lubością kołysząc głową, uśmiechała się do nich, a do niej uśmiechały się laskawie i pieścizotliwie, wysuwające się z okien i drzwi domków, tylko co ze snu zbudzone, głowy dojrzałych i starych niewiast. Niektóre z nich ślały jej głośne, żartobliwe pozdrowienia; odpowiadała na nie przyjaźnemi skinieniami głowy i rozradowanemi uśmiechami; cieszyła się okazywaną sobie łaską i przyjaźnią ludzką; najbardziej jednak radowały ją pozdrowienia Sary, niewiasty z twarzą pogodną i dobroduszną, a postawą pełną powagi, bogatej właścicielki jednej z największych haftarni Zatybrza. Jej-to własnością był towar, przez młode dziewczę na sprzedaż niesiony. Dziewczyna haftowała na materyach i niemi, które jej dawała Sara; Sara dość hojnie płaciła jej za to i jąto, nie zaś żadną inną, wysyłała z towarami do miasta, dlatego, że nikt inny tak dobrze uwagi ludzkiej na siebie zwrócić i tak roztropnie językiem Edomitów rozmawiać nie umiał. Językiem Edomitów mówić ją nauczył przybrany ojciec jej, Menochim; Sara, nauczyła ją haftować, ale dziewczyna prześcignęła wkrótce umiętność swjej mistrzyni. Zaledwie dorosła, dziwne i śliczne zaczęła miewać pomysły i natchnienia; ze wzgardliwem wyděciem ponsowych warg odrzucała cudze, dawane sobie wzory, a z pod drobnych dłoni jej wypływały, we własnej głowie jej powstające, szczególne, do żadnych innych niepodobne, szlaki, arabeski, kwiaty, zamknięte w rzeźbionych jakby ramach,

dziwaczne na pozór mieszaniny mnóstwa linii i kolorów, które przecież zlewały się zawsze w pełną wdzięku i fantazyi całość. W głowie dziewczęcia, pod gęstwiną ognistych włosów, błyskały płomyki twórczości. Kiedy otyła Sara po raz pierwszy zobaczyła samoistne roboty swojej uczennicy, plasnęła w pulchne dłonie i, z błogim uśmiechem na dobroduszych wargach, po razy kilka zawołała:

— *Hoscheb! Hoscheb!...*

Znaczyło to, że dziewczyna w sztuce haftarstwa za *improvizatorkę* uznaną została. Wtedy-to, w dniu mianowania jej tym tytułem, otrzymała ona w podarunku od Sary ów naszyjnik z kolorowych szkiełek i śliczne sandałki, bez dzwoneczków wprawdzie, które nie przystawały ubogiej dziewczynie, ale z ponsowej skóry i z podeszwą, głośno i wesoło uderzającą o bruk ulic i portyków rzymskich. W sandałki te i naszyjnik stroiła się wtedy tylko, gdy szła na drugą stronę Tybru.

Głośno i wesoło uderzając sandałkami o lawowe lub marmurowe płyty, coraz powolniej przecieź wspinała się na Awentyńskie wzgórze i o piękności zwieszonych na ramionach swych haftowanych pasów zapominała. Teraz otaczały ją piękności inne, znane jej oddawna, ale na które dosyć napatrzeć się nigdy nie mogła. Ukazujące się jej tu zewsząd rzeźby i malowania, mozaiki z różnobarwnych marmurów, kolumnady, posągi, świetne i kunsztowne ubiory mężczyzn i kobiet, budziły w niej zawsze ciekawość i zachwycenie. Wrzące tu życie, nie wrzaskliwe, brudne, ze zlorzeczeniami i łzami zmieszane, jak na rodzinnym przedmieściu jej, ale wykwintne, błyszczące, wesołe, wlewało w pierś jej w pół rozkoszne, w pół dręczące wrzenie. Z szeroko otwartych oczu jej, z warg drżących, z rumieńców, które wybijały się na policzki, poznać można było, że pragnęła-by nie iść, lecz lecieć, nie oddychać powietrzem tutejszemu, lecz pić je cheiwie i bez końca. Szła to powoli, to prędzej, uśmiechała się do wszystkiego, co wzrokiem napotykała, i machinalnie, bezwiednie, jakby chcąc dostroić się do piękności i blasku otoczenia, stroiła się w niesione przez się hafty, owijała je dokoła szyi, opuszczała na spłowiałą suknię, w malowniczych fałdach zwieszała je na ramionach. Wkrótce osypały ją całą złote i srebrne iskry, które w haftach jej rozniecało słońce, aż gasły w cieniach portyku, do którego wstępowała po kilku marmurowych schodach, i w którym u jednej z kolumn stawała, uważna, cicha, pilnie nabywców towaru swego wyglądająca.

Portyk to był, przez Cestyusza, jednego z najmoźniejszych panów rzymskich, na Awentyńskie zbudowany, i na miejsce przechadzki i ochłody ludowi rzymskiemu ofiarowany w darze. Składał się on z dwóch długich rzędów kolumn, złączonych w górze lekkim dachem, a w dole marmurową posadzką. Gzymsy dachu, głowice i podnóża kolumn ociekały bogatemi rzeźbami; sufit okrywały rzeźbione także kwadraty i medaliony; tu i ówdzie, pomiędzy kolumnami, wznosiły się potężne lub wdzięczne kształty posągów. Zazwyczaj,



mnóstwo ludzi, różnych płci i stanów, przechodziło tamtędy, i niejednen zatrzymał wzrok i uwagę na stojącej u kolumny żydowskiej haftarce. Nie jedna też Rzymianka zbliżała się do niej, oglądała hafty jej, lub je kupowała. Przemawiano do niej różnie: dumnie, łaskawie, lub obojętnie. Ona, oddawna już widując miejsca te i tych ludzi, nieśmiałą nie była. Na zwrócone ku sobie pytania odpowiadała krótko, lecz jasno, i rumieniec okrywał policzki jej, gdy widziała uśmiechy, wywoływane przez sposób, w jaki wymawiała słowa łacińskie lub greckie. Obu bowiem językami temi zagadywano do niej i obu umiała ona odpowiadać, lecz mieszała się i długie powieki swe na czarne źrenice opuszczała, ilekroć wzrok jej napotkał uśmiech wzgardliwy, albo szyderskie, niechętnie spojrzenie. Najwzgardliwszą i najsrozszą wydawała się jej twarz haftarza pewnego, którego tu widywała często. Z dosłyszanej rozmowy jakiejś dowiedziała się o tym, że był on, tak jak Sara, właścicielem haftarni, ale nie na *Transiberim*, tylko na Awentynie istniejącej, i że imię jego było Sylwiusz. Był to człowiek lat średnich, dostatnio w kraciatą tunikę, albo faldzistą togę ubrany, z długim, orlim nosem, nadającym twarzy jego dziobaty pozór ptasi, z białą, wypieszczoną i kosztownym pierścieniem błyszczącą ręką. Zbliżył się raz do niej i, hafty jej przerzucając, ostrym głosem zapytał:

— Z za Tybru?

— Tak, panie.

— Z fabryki Sary?

— Tak, panie.

— A tyż kim jesteś?

— Robotnicą Sary... improwizatorką...

Mniemała, że wymienienie tytułu, którym była dumna, złagodzi srogiego fabrykanta rzymskiego. Lecz on, w twarz jej zlekioną i zasmuconą cisnął piorunujące spojrzenie i przez zacięte zęby wymówił:

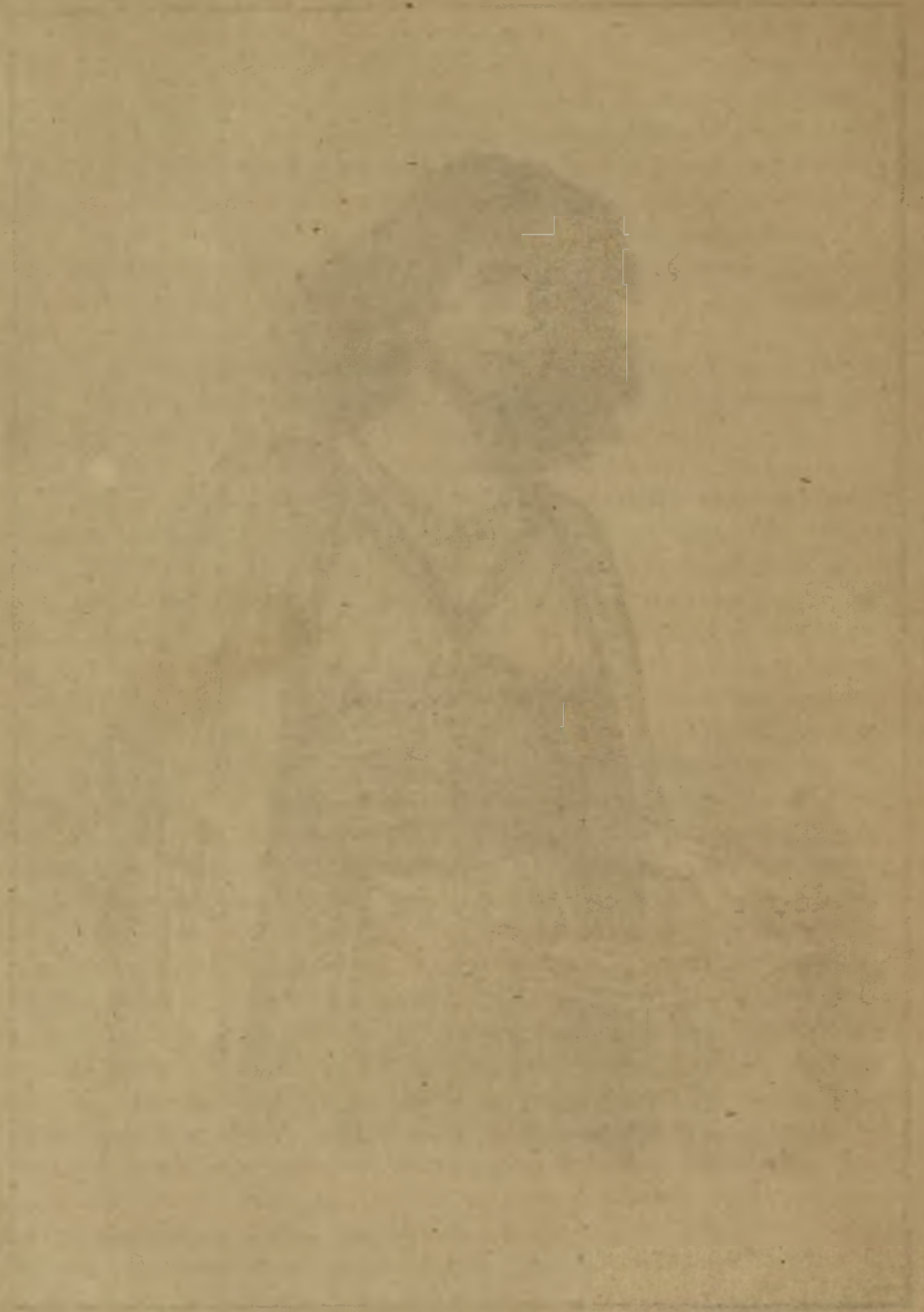
— Bodaj was wszystkich wzięły na swoich nadwornych haftarzy bóstwa piekielne!

Odszedł, lecz potem często przechodził tamtędy i na dziewczynę, obwie-szoną wschodnimi haftami, rzucał spojrzenia, pełne niechęci i wzgardy. Raz szedł w towarzystwie innego człowieka, który, niski i pulchny, z utrefionemi kunsztownie włosami i togą w zalotne faldy ułożoną, zionął mocnym i daleko rozchodzącym się zapachem perfum. Był to perfumiarz, imieniem Wentury. Obaj rozmawiali z sobą z ożywieniem wielkiem i z niezadowolonemi minami. Sylwiusz palcem wskazywał na żydowską haftarkę; Wentury, ruchem sklepowego eleganta, odwrócił się w stronę przeciwną i takim samym gniewnym i pogardliwym gestem ukazał starego, zgarbionego, łachmanami prawie okrytego żyda, który, na drugim końcu portyku u stóp kolumny przysiadłszy, wystawiał na widok publiczny flakony i pudełka z wonnemi płynami i maściami. Obaj ludzie, haftarz i perfumiarz, zmarszczyli niskie czoła.



MIRTALA.





— Wkrótce — zawołał jeden z nich — uczeiwi Rzymianie obsiada most żebraków, a cudzoziemcy rozpierać się będą w grodzie Romulusa. Rzecz to doprawdy dziwna, że Cezar — niech długie będzie życie jego! — nie wzbrowi tym psom azyatyckim wstępu do głównych przynajmniej ulic miasta.

— Nie teraz przynajmniej, nie teraz nastąpić to może — wpół z tajemniczą, wpół z gorzką miną odparł Wentury — kiedy Tytus, (oby na półbożka tego wiecznie łaskawymi byli bogowie!) duszę swą utopił w pięknych oczach żydówki Bereniki...

— Chciałbym, aby wspaniała Berenika i królewski brat jój, Agryppa, posiadli wieczną miłość bogów! Żydami są także, to prawda, ale cóż to szkodzi, skoro niedawno, gdy zapotrzebowali do pałacu swego stu haftowanych okryć na łoża i sofy, u mnie je zamówili. Wprawdzie głusi tylko i ślepi nie wiedzieć mogą o Sylwiuszu, najdoskonalszym w Rzymie haftarzu, albo nad jego wyroby przekładać łachmany tych azyatyckich barbarzyńców!

Oddalili się. Żydowska dziewczyna rozmowę ich słyszała, i długo potem dumiała nad czémś głęboko. Myślała o tém, czy być mogło, aby tak wielka sprzeczność zachodziła pomiędzy ludźmi samymi a ich dziełami? Tyle piękności stworzyć, a mieć serca twarde, chciwe, okrutne... jak to być mogło? Więc Rzymianie ci, którzy w jój wyobraźni przybierali niezrównaną piękność i potęgę, byli może istotnie takimi, za jakich miano ich na *Transtiberim*? Tam nazywali się oni okrutnikami, ciemiężcami, bluźniercami Boga i wrogami cnoty, tam złorzeczono im o każdej niemal minucie dnia i płakano na nich głośno, z jękami, w świątyni i ścianach domowych. A jednak, nie! Sylwiusz i Wentury oddalili się, i oddaliły się strojne panie, które, z chciwością rozpatrując i kupując towar jój, na nią patrzyły dumnie i szydersko; natomiast zaś, jakże szanownym i dobrym wydawał się podeszły mąż ten, co się często przechadzał pod cieniem portyku, otoczony gronem młodzieńców, do których przemawiał z powagą i dobrocią, a którzy słuchali go ciekawie i z uwielbieniem! Siwiejąca, długa broda spływała mu na ciemną, malowniczo fałdującą się, togę; wpół lyse otwarte czoło przerzynały zmarszczki przebytych trudów; w ognistych oczach płonął zapał niemal młodzieńczy, a na ustach znać było słodycz serca, które kochać umie. Towarzyszący mu młodzieńcy zgrabni byli i strojni, a jednak poważni i skromni; podeszły mąż przypominał jój dziwnie Menochima. Inne były ruchy i rysy, inne też postawa i ubiór, a jednak było pomiędzy nimi coś wspólnego. Może zapał, może cierpienie... Od rodaka, sprzedającego perfumy, dowiedziała się, że mąż ów był tém, co u Rzymian nosi nazwę filozofa, że nazywano go też Stoikiem, że imię jego było Muzoniusz Rufus, a towarzyszący mu młodzieńcy byli jego uczniami. Nie wiedziała wcale, co znaczyły nazwy: Filozof i Stoik, ani czego-by właściwie nauczać mógł Muzoniusz; ale zrodziła się w niej paląca ciekawość usłyszenia mowy jego, zdobycia nauki téj, której on młodym rodakom swym udzielał. Pilnie chwytiała dźwięki zalatującej ją rozmowy i parę



razy dosłyszała wymawiane przez Muzoniusza wyrazy: sprawiedliwość, cnota, czystość serca, litość, wierność. Co to znaczy? Tam, na *Transtiberim*, często wyrazy te wymawiano, i doprawdy, w ustach Rzymianina tego miały one toż samo brzmienie, z jakim wymawiał je Menochim. Czy i tego także, wraz z całym ludem jego, ogarniają przekleństwa, na *Transtiberim* brzmiące? A ona dziwny jakiś pociąg czuła ku grupie téj, zwolna przechadzającej się po portyku, z której, gdy spojrzenie jednego z młodzieńców, trafem na nią upadłszy, dłuższą chwilę zatrzymało się na włosach jéj i twarzy, czuła mącąca się w głowie myśl, i w zamęcie tym wołający wciąż jeden okrzyk: „jakże oni są piękni”.

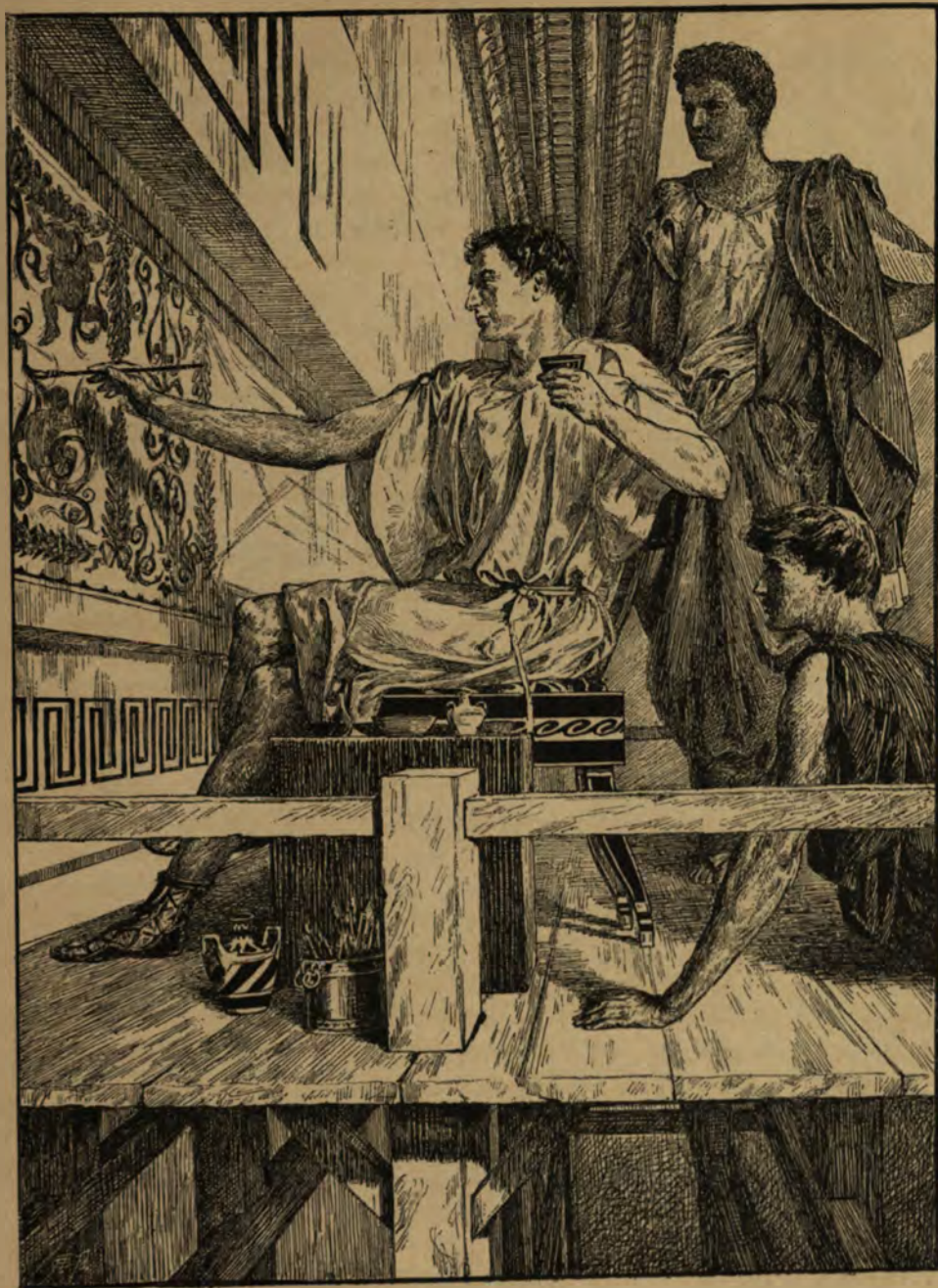
Jeden z nich, mijając ją z bliska, rzucił jéj dnia pewnego kilka wyrazów:

— Śliczniuchną jesteś, mała Judejko! i gdybym był malarzem, zaraz-bym głowę twoją na ścianie *triclinium* mego wymalował!

— Proś o to Artemidora! — zawołał inny i oddalili się.

W godzinę potém, młodą haftarkę mijala rodaczka jéj, znana jéj trochę mieszkanka Zatybrza, roznosząca po mieście wyroby ze stali. Dziewczyna poprosiła ją o stalowe lustro i, przyglądając się niby misternej ramie jego, patrzyła na odbicie własnej swéj twarzy. Była potém weselszą jeszcze, niż zwykle, i głośno, dziecinnie śmiała się, patrząc na zabawę małych chłopców, którzy w portyku giętkimi laskami popychali obręcze, zaopatrzone w dzwonki i brzękawki. Obręcze toczyły się i dzwoniły, chłopcy w krótkich tunikach, ze złotymi łańcuszkami, u których wisiały złote kule na szyjach, gonili je, śmiejąc się i w elastycznych poskokach. Młodzintka haftarka śmiała się także, całą siłą swych wielkich, rozradowanych oczu przyjmując udział w zabawie. O! jakże-by chciała poskoczyć, pochwycić jedną z lasek i wraz z dziećmi temi biegać w cienistym portyku, w pogoni za błyszczącą, dzwoniącą obręczą... Ale nie dla niéj były gry wesole, tak jak i mądre nauki. Uczuwała nagle, że nogi bolały ją od całodziennego stania i, osunawszy się na marmurową posadzkę, siadała u podnóża kolumny; a im więcej dzień zbliżał się ku końcowi, im większa cisza zapanowywała w portyku i na krzyżujących się dokoła niego ulicach, tém cichszą stawała się ona i smutniejszą. Drobna jéj postać malała jakby, kurczyła się, przybierając pozór pokory i zgnębienia. W cieniach, zaczynających napełniać portyk, gasły do szczętu iskry te, któremi poranne słońce osypywało ją, gdy tu przybywała. Znikały téż jéj wesole i zachwycone uśmiechy, martwiały żywe ruchy. Skurczona, z głową opartą o twarde podnóże kolumny, pokorna i smutna, była już tylko dzieckiem ubogim, mizernym, niewiedząc jak spadłem w ten świat blasku i wielkości, dzieckiem ludu, miejscem tym obcego, nieznanem tu przez nikogo, niezwiązanem tu żadną nicią sympatii, ani wspólności z nikim i z niczem. Wstawiała i, powoli, wcale inaczej niż z rana, stąpając, a wciąż oglądając się po-za siebie, opuszczała Awentyńską dzielnicę, przebywała most, pod którym głucho szumiały wody rzeki, i za rzeką znikala w grubéj téj, du-





CZEŚĆ SZLAKU BYŁA JUŻ WYKONANA.





sznej, cuchnącej mgie, która niby banią z brudnego szkła, obejmowała siedlisko wygnania, biedy, płaczu i przekleństwa.

Dnia pewnego, nie wiele potem, gdy Menochim odrzucił świetną propozycją Justusa, młoda haftarka, wstępując do Awentyńskiego portyku, ujrzała widok niezwykły. Było to w godzinach popołudniowych, w których Rzymianie zwykli byli napelniać łaźnie, sprawować sądy, słowem, oddawać się zajęciom i rozrywkom w chłodnych ścianach domowstw. Ulice były puste prawie, w portyku siedziało i stało kilku tylko przekupniów i rzadko bardzo kroki spieszącego przechodnia uderzały przez chwilę o marmur posadzki, poczem wszystko milkło. Haftarka przybywała tu w złą porę, ale zatrzymano ją długo w miejscu inném, gdzie téż kupiono znaczną część jej towaru. Przyszła więc późno, ale jakże szeroko i ciekawie otworzyła swoje wielkie oczy, i jak nieruchomo stanęła, aby mózż niepostrzeżenie przypatrzeć się temu, co się tu dziś robiło. Niedaleko wejścia do portyku wzniesione było rusztowanie wysokie, u którego szczytu, równoległego z gzemami dachu, siedziało i stało kilku ludzi. Jednego z nich haftarka spostrzegła najpierw. Młody, wysoki, w białej tunice, z obnażonemi ramionami, siedział on na najwyższym szczeblu rusztowania i pędem trzymanym w rękę napelniał malowaniem dość szeroką przestrzeń, znajdującą się pomiędzy sufitem a głowicami kolumny; część szlaku, który widocznie świetnym wieńcem otoczyć miał portyk dokoła, była już wykończoną. Składała się ona z kwiatów i kłosów, ujmowanych w ramy z zygzaków greckich i wdzięcznie mieszanych z mnóstwem postaci dziecięcych, skrzydlatych, figlarnych, roześmianych. Charakter roboty tej był tak wesołym i wykwintnym, jak twarz i ruchy samego malarza. Kilku innych ludzi, młodych także i zwinnych, pomagało mu w pracy i rozweselało ją przyjacielską, a jednak pełną uszanowania, rozmową. Podawali mu oni farby, zmieniali pędle; lekkimi rzutami rąk, uprzedzających jego rękę, rzucali na ścianę pierwsze kontury przyszłego mowidła; zbiegając o kilka stopni niżej, z dala przypatrywali się skończonemu już częściom roboty; wydawali okrzyki podziwu, albo czynili nieśmiałe uwagi. Mieli pozór uczniów jego i pomocników.

Był to więc malarz! A ona, tak całym sercem swém pragnęła kiedykolwiek ujrzeć z bliska jednego z tych, których dzieła widokiem swym napelniały ją dziwną rozkoszą i takimi myślami, od których głowa jej, w godzinie powrotu na rodzinne przedmieście, stawała się ciężką, smutną i pokorną. Patrzała téż teraz na malarza chciwie, z podniesionym wzrokiem, i chociaż religijne wierzenia Edomitów ze słyszenia tylko znane jej były, chociaż od niemowlęctwa czcić ją nauczano jedynego Boga, w głębokościach istoty swój, trwonić, lecz z uwielbieniem, nazwała go pół-bogiem. W ten sam sposób przypatrywała się mu przez wiele dni następnych. W czasach ostatnich robotnice Sary wiele wykończyły robót, a ona, w nagrodę za dokonany haft, piękniejszy i nowszy jeszcze nad inne, otrzymała od dobrej kobiety, która pieściła



ją nieco, zlecenie rozprzedawania towaru. Przychodziła więc i patrzała. On ani jej spostrzegał. Rankiem przybywał tu, wesół, rażny, w orszaku uczni swych i wielbicieli, szybko wbiegał ku szczytowi rusztowania i tam godzinami zostawał, zatopiony w swęj pięknej pracy, czasem tylko śmiejąc się dźwięcznie z zachwyków lub uwag swych wielbicieli, albo ponsowe usta odświeżając podawanym sobie przez nich soczystym owocem. Haftarka z za sukni swęj wyjmowała w południe kęs chleba i sera i, zjadłszy szybko, oddawała się znowu swęj, przez nikogo niedostrzeganej, kontemplacyi. Raz przecież, tuż prawie obok nięj zabrzmiał donośny głos, wołający:

— Artemidorze! Artemidorze!

W sposób ten wołał na malarza jeden z uczni jego, szczupły, zgrabny chłopak, który zbiegł był z rusztowania aż na dół portyku i teraz, z wyciągnięta ku górze ręką, wskazywał mistrzowi jedną z lili czy róż girlandy, która ztąd wydawać się mogła zbyt małą i nikłą. Artemidor odwrócił głowę i, wdzięcznie na wysokim siedzeniu swem przegięty, spojrział w dół na czyniącego mu uwagę młodego ucznia. Spojrzenie jego upadło zarazem na dziewczynę w spłowiałej sukni, okrytej szlakami pysznych haftów, z głową nastrożoną mnóstwem ognistych kędziorów, ze splecionemi, jak do modlitwy, rękoma, z wlepionym w niego wzrokiem czarnych oczu. Nieme to, pokorne uwielbienie zwróciło snadź na siebie przyjazną uwagę mistrza. Łagodnie, wesóło przez chwilę popatrzył na nią, lecz wnet odwrócił głowę i znowu pograżył się w pracy. Nie dziw. Pomiędzy żydowską dziewczyną tą, nędzarką prawie, a świetnym i przez Rzym cały uwielbianym malarzem Artemidorem, istnieć nie mogła wspólność żadna. Jednak nazajutrz, gdy pęzel swój oderwał od wykończonego już małego Fauna, spojrział znowu w dół i przez chwilę zatrzymał wzrok na wzniesionej ku niemu twarzy dziewczęcia. Ona przed wzrokiem tym nie spuściła oczu. Uśmiechnęli się do siebie. Wkrótce potem Artemidor przyszedł do portyku w towarzystwie jednego tylko ucznia. Długo malował, aż, zawieszając pęzel w powietrzu i niedbałym ruchem głowę w dół pochylając, zapytał:

— Kim jesteś, dziewczę?

Stłumionym głosem odpowiedziała:

— Żydówką jestem.

Artemidor zaśmiał się głośnie.

— Gdybyś mi była odpowiedziała inaczej, powiedział-bym ci, że kłamięsz. Słońce Azji rozpałiło włosy twe i oczy.

— Słońce Azji nie rozpałiło mi włosów, ani oczu. Urodziłam się w Rzymie.

— Doprawdy? I, na Jowisza! Rzymowi wstydu nie przynosisz. Zabawnie trochę latyńska mowa w ustach twych wygląda, ale czyni cię to tém osobliwszą, a osobliwości wszelkie są teraz namiętnością Rzymian. Jak ci na imię?

— Mirtala.

— I imię to osobliwem jest także. Gdzie mieszkasz?

— Na Transtiberim.

— Lituję się nad tobą. Stopa moja nie postąpiła tam nigdy...

Chwilę jeszcze popatrzył na nią i do pracy swojej powrócił. W czas jakiś potem, znowu w dół spojrzął, jakby chciał przekonać się, że nie odeszła. Stała wciąż na tém samém miejscu, kędyś daleko rozmarzonymi oczyma patrząca, ze skrzyżowanemi u piersi ramiony. Smuga słonecznych promieni, zakradłszy się pod gzęmsy portyku, we włosach jój i spływających z ramion haftach rozżarzała tysiące iskier. W oczach malarza ukazało się coś naksztalt zachwyty.

— Czy to są twoje roboty? — zapytał.

— Moje, — odpowiedziała, i z pewną dumą rozwinęła szeroko jeden ze szlaków.

— Śliczne wzory! — zawołał malarz, całą postacią już w dół przegięty.  
— Zkąd je bierzesz?

— Oddawna już układam je sama. Improvizatorką jestem...

— Arachne! muszę przyjrzyć się z bliska tobie i robotom twoim!

Wydawszy okrzyk ten, zerwał się z miejsca i, z żywemi, giętkimi ruchy, z pędem w rękę, zstępować począł z rusztowania. W téj saméj chwili w portyku ukazała się kobieta, wyniosłej postawy i w bogatym stroju, prowadząca za rękę dziesięcioletnie dziecko, chłopczyka, w szkarłatnej, krótkiej tunice, ponsowych sandałach i łańcuszku ze złotą kulą na szyi. Z kruczych warkoczy kobiety téj gazowa zasłona, jak lekki srebrzysty obłok, spływała na suknię jój białą, bogato srebrem haftowaną i na ramionach spiętą spinkami z rubinów. Za nią, w oddaleniu pewnym, postępował sługa, niosący różne przedmioty szkolne, jako to: podługowaty futerał, chroniący pergaminowe zwoje, tabliczki, *style*, gąbkę i kałamarz. Spostrzegłszy nadchodzącą, Artemidor pochylił głowę ukłonem, uszanowania pełnym. Ona powitała go z dala już przyjaznym uśmiechem, a dziecko, rękę swą z dłoni matki wysunąwszy, z krzykiem radości pobiegło na przód i, swawolnie obejmując artystę drobnemi ramiony, poufale do niego szczebiotać zaczęło. Chłopak to był żywy, hoży, z elastycznymi ruchy i oczyma iskrzącemi się życiem i pojętnością. Szczebiotał, że wraca ze szkoły, do której matka jego przybyła sama, aby odprowadzić go do domu, a w której dziś właśnie mistrz Kwintilian opowiadał śliczną historią o Manliuszu, co to wspomagał biednych, bronił uciśnionych i zginął taką straszną, okropną śmiercią...

— Cicho bądź, Helwidyszu! Szczebiot twój nie dozwala mi powitać przyjaciela naszego, Artemidora!

Wyniosła i strojna kobieta wymówiła słowa te z pieścizotliwem, ku dziecku zwróconem, spojrzeniem, które surowe nieco jój rysy rozjaśniło wyrazem dobroci i spokojnej wesołości.

Mirtala.

4



— Dzielu twemu, Artemidorze, przypatrywałam się już nieraz, gdy przechodziła tędy w czasie nieobecności twojej. Niemiły ten Cestysz podwójnie teraz dumnym czuć się będzie z portyku swego, gdy przyozdobi go ręką twoją. A wielce mu teraz pociechy potrzeba. Od klęski wojennej, którą poniósł w Judei, spochmurniał bardzo i mniej dobrze bawi się, niż za czasów Nerona, którego był ulubieńcem i niecnym pochlebcą.

— Cały Rzym mówi o nieporozumieniach jego z żoną; — odparł Artemidor. — I doprawdy, niepodobna dziwić się ślicznej Flawii, jeżeli związek z nim zadowolnić jej nie mógł.

— I że zadowolenia tego szuka podobno w dziwacznych jakichś, azyatyckich wierzeniach i zabobonach... — Wzgardliwie nieco uśmiechnęła się kobieta. Czarne brwi młodego malarza drgnęły.

— Azya ogarnia nas zewsząd, dostojna Fanio! — odparł posępnie — i bliżkim może jest czas, w którym, jak Azyaci, padać będziemy czołami do stóp naszych władców, przed którymi, jak przed królami Partów, zbiry nosić będą ogień, symbol świętości ich i grozy. Niewolnicze poddaństwo i zabobony, oto podarki, które nam podbity przez nas Wschód przynosi...

— Podbity! za jaką cenę! — z goryczą szepnęła Fania.

Ale Artemidor długo posępnym myśлом oddawać się nie mógł. Natura to snadź była młodzieńcza, świeża, w której smutek i gorycz topiły się szybko w swobodnych uśmiechach.

— Azya ta przecież — zawołał wesoło, — przysyła nam też czasem ciekawe i wdzięczne zjawiska. W chwili właśnie, gdy nadchodziłaś, dostojna Fanio, rozmawiałem z jakimś żydowskiem dziewczęciem, które, doprawdy, ma najpiękniejsze włosy i oczy, jakie w życiu mojem widziałem. W dodatku jest ona...

Spojrzenie jego szukało Mirtali, która, usunawszy się nieco od rozmawiających, ciekawie jednak słowa rozmowy ich chwytała.

— Jesteś tu jeszcze! — zawołał; — popatrz, Domina, na nią i na jej roboty!

— Dziewczkę tę, — odparła Fania, — widuję tu oddawna i nieraz już nawet kupowałam u niej hafty, które sprzedaje. Nie widziałam jednak...

— Popatrz, Domina, popatrz tylko uważnie, — wołał Artemidor, który w obu rękach swych rozwijał pas śnieżnej, welnianej materii, cały okryty liśćmi i kwiatami takich barw i kształtów, jakie tylko wyśnić się mogły gorącej i bujnej fantazy. — Arachne, która w sztuce tkackiej była rywalką Minerwy, pozazdrościć-by mogła tym drobnym rączkom... Kto cię uczył rysować?

— Symeon, mąż Sary...

— Mistrzem więc jej był żyd jakiś, nieuczony zapewne i, jak oni wszyscy, sztuce naszej obcy! Jakże-bym pragnął mieć cię uczennicą moją!

Od zdumienia osłupiała, drżąca z radości, Mirtala stała w płomieniu

rumieńca, ze spływającym na policzki cieniem długich rzęs, z rozkosznym współśmiejem na trochę rozwartych ustach. Nagle usłyszała wyrazy, kobiecym przyjaznym głosem wymówione.

— Chodź do domu mego; pokażę cię matce mojej i przyjacielom naszym, i musisz mi opowiedzieć historią swoją...

— Mówiłem ci, Mirtalo, że osobliwości wszelkie są dziś namiętnością Rzymian, a ty osobliwością jesteś!... — Ze śmiechem zawołał Artemidor.

I zwracając się do Fanii, dodał:

— Czy pozwolisz, Domina, abym dziś był gościem twoim?

— Nie możesz wątpić o mojej dla ciebie przyjaźni, a mąż mój, który wkrótce z Bazyliki powróci, i Muzoniusz, który dziś właśnie odwiedzić nas przyrzekł, zobaczą cię z radością.

Mały chłopak bawił się nieopodal z malutkim, ładnym pieskiem, towarzyszącym kobiecie jakiejś, która, zatrzymawszy się w portyku, kupowała perfumy od starego przekupnia żyda. Fania przywołała syna i, zwracając się znowu do Mirtali, powtórzyła:

— Pójdź za mną...

Mirtala podniosła powieki i spotkała się z oczyma Fanii, których głęboką czarność łagodnił wyraz spojrzenia. Łagodnie i łaskawie, nadewszystko jednak ciekawie, patrzyła ona na żydowską dziewczynę, która pobladła nagle i nawet cofnęła się o kroków parę. Wejść do wnętrza jednego z domów tych, na które tyle razy z zachwytem patrzyła, o których mieszkańcach śniła zawsze mnóstwo cudownych rzeczy, było-by dla niej radością niezmierną. Przypomniała sobie, że będzie tam Muzoniusz... zobaczy więc i usłyszy z bliska męża tego... Ale wszakże to był dom Edomitów! Przystąpić próg domu tych, którym złorzeczyli jej bracia, czy wolno jej było? Cóż-by powiedział na to Menochim? co-by powiedziała Sara, której syn najstarszy zginął niedawno na wojnie, z Edomitami wiedzionej? Co-by powiedział mąż Sary, ponury Symeon, którego brwi najeżone, twarde, zbiegały się nienawistnie na samo imię Rzymianina? Co-by powiedział na to Jonatan... gdyby powrócił i dowiedział się, że narzeczona jego nawiedza domy tych, z którymi on tak krwawo w murach oblężonej Jerozolimy walezył, od których mściwej dłoni uciekając, tułał się teraz po Afrykańskich pustyniach, jak zwierzę tropione? Błada, wahająca się, przez dwa sprzeczne uczucia rozdzierana, podniosła oczy pełne łez i już wymówić miała: „Nie pójdę za tobą, pani!"; gdy Artemidor dotknął z lekka jej ręki i w pół wesoło, w pół poważnie rzekł:

— Chodź! nie lękaj się! Ludźmi jesteśmy i życzliwymi dla wszystkiego, co ludzkie, z każdego pochodzi.

Zapomniała o wszystkiem. Transtiberim, Menochim, Sara, Symeon, Jonatan, przestali istnieć dla niej. Nietylko posłuszna, ale rozpromieniona, odzyskując żywe i zgrabne swe ruchy, poszła za Fanią i Artemidorem. Z rozmowy ich dowiedziała się wkrótce, że znaleźć się ma w domu Pretora



Rzymu, Helwidyusza Prisca, wysokiego dostojnika, którego imię ze zgrozą wspominała często ludność Zatybrzańskiego przedmieścia. Zgroza ta pochodziła zapewne stąd, że był on pomiędzy Edomitami dostojnikiem wysokim i możnym, bo o żadnym jego czynie złym i okrutnym nie słyszała nigdy. Więc z obawy Pretora Rzymu? Jak on wygląda? Pozór jego musi być strasznym, spojrzenie piorunującym, dłoń żelazną i okrytą plamami krwi, a może... podobiejszym jest on do lwa krwiożerczego, lub do drapieżnego, potężnego orła, niż do człowieka? Drżąc znowu, wchodziła do przedsionka domu, nad którego czworokątą kolumnadą wznosiło się odkryte niebo, a na posadzce z szarego marmuru jaśniał z purpurowych liter ułożony, gościnny i wesoly napis: „Witajcie!”

---

### III.

Jakkolwiek Helwidysz Priscus był dostojnikiem wysokim, a Fania pochodziła z senatorskiego możnego rodu, dom ich nie należał do najbogatszych i najwspanialszych w Rzymie. W przeszłości ich rodów, jako téż we własnej ich od przodków nieodrodnosci, spoczywały przyczyny tego, że ściany nie ociekały tu złotem, czary i misy nie świeciły dyamentami, sprzętów nie okrywały, równie jak złoto i dyamenty drogie, tkaniny z jedwabiu. Nie było tu téż tłumu niewolników najrozlicniejszych plemion i stopni, ani nieustannego gwaru uczt, oblewanych strumieniami wina, rozweselanych brzękiem rzucanych kości, huczną muzyką, lubieżnymi tańcami Hiszpanek i Egipcyanek, przedstawieniami dowcipnych albo bezwstydných pantomin. Uciech tych bez hamulca i zbytków bez miary, które napełniały pałace ludzi, z panującym porządkiem publicznych spraw pogodzonych i z niego właśnie ciągnących ogromne, najrozmaitsze korzyści, w domu pretora i żony jego nie było. Niemniej, w miejscu tém i w tej epoce, mierne nawet bogactwa bywały wielkimi, a perystyl, zdołbiący tylną część domu Helwidysza i Fanii, z mnóstwem kolumn swych, z żółtego, numidyjskiego marmuru, z za których przeglądała zieleń ogrodu, z ujętym w wyrzeźbione ramy dachu szafirowym stropem nieba, z mocnymi woniami roślin, kwitnących w śnieżnych wazonach, miejscem był wykwiśniętym, świeżym i wesołym. Było to miejsce, w którym, w porach od zajęć wolnych, najchętniej zgromadzała się rodzina, i w którym przyjmowano najpoufalszych i najmilszych gości. Pośrodku, na układanych z różnobarwnych marmurów arabeskach i szlakach posadzki, wesoło igrały, w miliony iskier i kólek rozsypujące się, promienie słońca; w cieniu, rzucanym przez nagłówek kolumny i rozłożyste krzewy róż i krokusów, na brązowych, w kość słoniową zdobnych, stołkach i krzesłach, zasiadało szczupłe grono ludzi. Dokoła stołu, w spar-



tego na lwich łapach a dźwigającego srebrną, rzeźbioną czaszę, pełną owoców, i czary napelnione winem, rozcieńczonem wodą i osłodzonem wonnym attyckim miodem, ludzie ci skupiali się w ciasne, poufne, przyjacielskie koło. Najpoważniejsze i najwygodniejsze siedzenie, bo krzesło poręczowe, *katedrą* zwane, z purpurowem obiciem, z poręczą misternie rzeźbioną, i wysokim, miękkim podnóżkiem, zajmowała matka Fanii, Arya, kobieta stara już, małomówna, z twarzą delikatną i białą, jak listek lili, w mnóstwo zmarszczek zmiętą, a osłonią cieniem długiej zasłony, której lekkie, czarne zwoje owijały jej faldzistą suknią. Była to postać surowa, zamknięta w sobie, i nietylko żalobne jej suknie, lecz blade, milczące wargi i wyraz oczu, głęboko zapadłych pod brwią jeszcze czarną, przywodziły koniecznie na myśl jakieś bolesne tragedye, których ona jedną z aktorek być musiała.

I nie mylił-by się ten, kto-by domysł ten stworzył. Od dnia, w którym pod Filipiami ostatnie republikańskie zastępy uległy przed geniuszem i szczęściem następcy pierwszego Cezara, nieprzerwane pasmo spisków, buntów, krwi i żaloby przerzynało panowanie dziewięciu następnych jedynowładzców. Zwyczaj nie dla wszystkich dusz ludzkich fakt spełniony niezłomnym rozkazem być może. Są takie, które, dla przyczyn różnych z nim pogodzone, czynią z niego sobie skarbnicę uciech, potęgi i bezpieczeństwa, i takie, które, wbrew konieczności żelaznej i bezsilności własnej, powściągnąć nie mogą, a często i nie chcą, przejmujących je dreszczów gniewu i oporu. Tak bywać musiało od pierwszego zarania ludzkiej myśli; tak było przez ciąg całego stulecia i w Rzymie Cesarskim, wzniesionym na gruzach staro-rzymskiej, burzliwej i wybujałej, lecz twórczej, potężnej i długowiekowej wolności.

Do tych opornych, niepohamowanemi czołami w straszny niezłomnością swą fakt dziejowy uderzających, należał ojciec Aryi, Petus Sesina, i mąż jej, Tracenz. Pierwszy, na rozkaz Cezara Klaudynusza, drugi z woli Nerona, przedwczesną i okropną śmiercią zginęli. Należała też do nich i matka jej, imieniem także Arya, która, małżonka swego przeżyć nie chcąc, dobrowolną śmiercią swą męczeński zgon jego uprzędiła. Należeli do nich liczni krewni i przyjaciele jej i jej rodu, mężowie i niewiasty o najprzedniejszych w Rzymie umysłach i charakterach, a którzy teraz, jak widma skrwawione i dumne, błądzili już tylko w krainie jej wspomnień.

Cóż więc dziwnego, że kobieta, z której losów dziejopisarze układali posępne obrazy, a wieszczce czerpali wrzące i bohaterskie natchnienia, wyglądała tak, jakby sama wypadkiem tylko z krainy cieniów pośród śmiertelnych wyrzuconą została.

U stóp jej, o kolana jej wsparty, rumianą twarz swą ku niej podnosząc, siadywał mały Helwidysz, a szczebiot jego, którym opowiadał babce przeróżne dziecięce swe przygody i wrażenia, mieszał się z ożywionemi głosami Fanii i Muzoniusza.

Z za krzesła i białej sukni Fanii wysuwała się młodzianka dziewczęca

głowa z ognistemi kędziory, i czarne oczy spoglądały na wszystko i wszystkich z ciekawością i uwagą nieczmierną, z tysiącem przelatujących w źrenicach uśmiechów i płomieni. Mirtala, często przychodząc do domu tego, gdzie kupowano znaczną część jej towaru i gdzie parę godzin zlatywało jej, jak jedna rozkoszna minuta, oddawna już opowiedziała tu krótką swą przeszłość. Za pierwszej jej bytności, Fania obchodziła się z nią z łaskawością, wyniosła nieco i połączoną z tém lekceważącym trochę zaciekawieniem, które w Rymianach obudzały plemiona, obce cywilizacyi ich, szczególnie zaś wschodnie. Przypatrując się zgrabnej kibici i pojętnym oczom dziewczyny, pytała:

— Czy nie jesteś, dziewczeczko, potrosze Greczynką? z ojca może, lub z matki? Imię twoje brzmi z grecka...

Ze spuszczeniem powiekami, Mirtala odpowiedziała:

— Galilea, dziedzictwo synów Izraela, była rodzinném miejscem ojca i matki mojej. Ojciec mój był rybakim, spokojnie rzucającym sieci swe na wody błękitnych jezior, lecz pod rządami Rzymianina Felixa, wmieszany w bunt Zelatorów, został przez Felixa oddanym w niewolę pewnemu greckiemu panu, do którego domu dobrowolnie za mężem swym udała się matka moja, Rebeka. Dobrą robotnicę, umiejącą tkać cienkie materye i cudnie haftować, grecki pan przyjął z ochotą. W domu tym urodzonej, dano mi imię: Mirtala.

Urodziła się więc w niewoli. Jakim sposobem wolną mieszkanką Trai-stiberim została? Ożywiając się coraz, opowiedziała, że z niewoli, małym, nagle osieroconém dziecięciem, wykupił ją Menochim. Zaraza dotknęła Rzym i zabiła jej ojca. Dusza matki jej, która oddawna tęskniła za wolnością i swém rodzinném, błękitnym jeziorem, wkrótce też rozwiódła się z ciałem. Wtedy-to Menochim, mnóstwem zabiegów i starań, wykupił ją z niewoli Greka. I nie tylko ją jedną. Menochim poświęcił cały majątek swój na wykupowanie z niewoli Edomskiej judejskich dzieci. Był on kiedyś bogatym. Ojca jego potężny wódz rzymski, Pompejusz, który z wojskami swemi pierwszy naszedł Judeę, jako wojennego jeńca do Rzymu przywiódł. Tu został w służbie bogatego i hojnego pana, który, wyzwalając go, zapisał mu w testamencie mienie znaczne. Menochim mienie to odziedziczył, (dom na ulicy Subury i wiele tysięcy sestereyi), ale nie użył go ani na prowadzenie korzystnego handlu, ani na uczyty i piękne suknie, ani na gody weselne. Nie pojął nigdy żony i własnych dzieci nie miał. W Rzymie, w Efezie, Antyochii i Koryncie, wyszukiwał drobne dziatki judejskie, których rodzice odumarli w niewoli, i z panami ich długie o nie zaprowadzał targi. Wielu w ten sposób dziewczętom i chłopcom wolność przywrócił. Teraz wszyscy już oni są dorosłymi. Jedni w odległych stronach prowadzą handel, inni w Judei osiedlili się na roli; dwoje tylko przy Menochimie pozostało, bo umiłował on je najwięcej... ona i Jonatan...

Wymówiwszy imię to, umilkła nagle. Wiedziała dobrze, dlaczego przed



obcymi wymawiać go nie można, i przełknięta tém, co uczyniła, zaczęła prędko, prędko, znowu o przybranym ojcu swoim mówić. Dawniej zdrowym on był, silnym, i często nawet wesołym. Oczy jego świeciły pogodą i pobłażliwością, a mowa była łagodną i żartobliwą. Ale teraz wcale już jest inaczej. Biedny Menochim wychudł i zgarbił się, policzki jego żółkły i okryły się zmarszczkami, głos ma czasem jękliwy, a czasem surowy, i takie smutne, ponure spójrzenie. Zmienił się bardzo, czarnych myśli pełną stała się głowa jego i gniew w sercu mu osiadł. Gniewa się teraz często, wyrzeka, złorzeczy...

I jęj oczy także zaszyły łzami. Zgromadzone w perystylu kółko ludzi z uwagą słuchało dziejów Menochima, opowiadanych przez przybrane dziecko jego. Ogarniające głowę żydówki, spójrzenie Fanii, mniej wyniosłem a bardziej życzliwem się stało; z ponsowych ust Artemidora znikał wesoły uśmiech, Arya nawet podnosiła żółkłe, ciężkie powieki, i pod czarnymi brwiami surowe jęj źrenice zapalały się błyskiem niemego współzucia; Muzoniusz zaś zapytywał:

— Czy nie odgaduję przyczyny, która ugięła zdrowie ciała i goryczą zaprawiła duszę Judejczyka tego? Wszakże, dziewczeczko, zmienił się on w ten sposób po tęg straszliwęg wojnie, w której zburzono stolicę i świątynię waszę?

— Tak, panie! — z cicha odpowiedziała Mirtala, i twarz ukrywszy w dłonie, rzewnie płakać zaczęła. Płacząc, po kilka razy podnosiła się z podnóżka, który jęj za siedzenie służył, jakby poskoczyć, odejść, uciec ztąd pragnęła. Nie odchodziła jednak, nie uciekała. W piersi jęj pół-dziecięcęj toczyła się walka. Opowiadając o Menochimie, przypominała sobie wszystko, wszystko, i to także, że tu być nie powinna. A jednak przykuwała ją tu paląca ciekawość pojętneę jęj umysłu, przykuwał czarem niezmoęonym dźwięczny głos Artemidora, który, do Muzoniusza zwrócony, z głębszém i smutniejszém, niż zwykle, spójrzeniem, zapytywał:

— Mistrzu! jakże się to dzieć może, że zawsze i wiecznie radość i tryumf jednych boleścią jest i unięzeniem innych? Drobném jeszcze dziecięcęciem będąc, slyszalem Senekę, gdy mówił: „Człowiek dla człowieka winien być rzeczą świętą”. Nie są-ż ludźmi Judejczycy ci, którym wodzowie nasi spustoszyli i odebrali ojczyznę? Nie jest-że człowiekiem Menochim ten, którego dusza napelniła się goryczą od naszej radości?

— Powiedziales, Artemidorze! — z większém, niż zwykle, ożywieniem potwierdziła Fania. — Judejczyk ten jest człowiekiem cnotliwym.

Nagle blade i zawsze milczące wargi Aryi otworzyly się, i głos głęboki, stłumiony, wychodzący widocznie z piersi, o którą straszne uderzały ciosy, wymówił:

— Oddawna, oddawna ten sam gniew i ta sama boleść są w sercach naszych!...

Słowa te, tajemnicze dla każdego obcego ucha, zrozumianemi tu jednak

zostały, a w siwych źrenicach Muzoniusza zapalił się blask, niemal młodzieńczy.

— Tak, najdostojniejsza, i ta sama walka, którą toczą szlachetni i dumni...

— Padając wśród niej na połowie swój drogi, jak kłosa podcięte i zrąbane dęby... — dokończyła Fania.

O kim mówili, kogo pobladła nagle żona pretora porównywała do przedwcześnie podciętych kłosów i zrąbanych dębów? — Mirtala nie wiedziała, lecz rozumiała dobrze, że ciężkie smutki i krwawe straty zaprawiały przeszłość, kto wie, może i terażniejszość tego domu, w którym, pomimo bogactw, spokoju i częstej wesołości, czuć było czasem zawieszoną w powietrzu lżę nieprzeplakanego żalu, albo westchnienie niezaspokojonych, wysokich pragnień.

Bez cienia obawy przestępowała teraz próg domu pretora. Znała już rzymskiego dostojnika tego i wiedziała dobrze, jak on wygląda. Zadrżała i zbladła, gdy po raz pierwszy, wbiegający do perystylu, młody służący, oznajmił obecnym przybycie pana domu. Jednocześnie przez otwarte na oścież kolumnady, nad którymi, dla wpuszczenia we wnętrze domu letniego ciepła i woni kwitnących w perystylu roślin, popodnoszono barwiste opony, ujrzała wysokiego, młodego jeszcze człowieka, o silnej postaci i kruczonych włosach, szybkim krokiem przebywającego dwie obszerne sale. Z dala już spostrzegła, że ruchy jego były żywe, rysy piękne i że nad spuszczone w zamyśleniu powiekami czarne brwi zsuwały się surowo i groźnie. Zaledwie jednak przestąpił próg perystylu i, podniosłszy powieki, rzucił spójrzenie na zgromadzone tam osoby; uśmiech przyjazny roztopił twardość jego rysów, mężczy, donośny głos, w którym czuć było przyzwyczajenie do głoszenia rozkazów i wyroków wśród rozległych przestrzeni bazylik i rynków, wymówił pozdrowienie serdeczne, i — o dziwo! ręka z pod fałd płaszcza wyjęła — zabawkę dziecinną. Była to piłka misternej i artystycznej roboty, złożona z giętkich złotych obręczy. Mały Helwidysz poskoczył ku ojcu, który na chwilę podniósł go wysoko w silnych ramionach, a potem, śmiejąc się, złotą piłkę rzucił z taką siłą, że, w elastycznych poskokach i z metalicznym brzęczeniem przebywszy perystyl, zniknęła w gęstej zieleni ścielącego się u stóp kolumn trawnika.

Dziecię, krzycząc z radości, pogoniło za piłką, a Helwidysz Priscus, płaszcz z ramion spuściwszy, zasiadł w domowym kole swém, przy stole, pełnym owoców i wina. Nie miał on na sobie wspaniałej sukni Pretora, bo przybywał nie wprost z Bazyliki, gdzie sprawował najwyższy urząd sądowy, lecz z łazien, do których przed powrotem do domu zwykł był wstępować. Ztamtąd-to zapewne wychodząc, zanim umieścił się w lektyce swój, przez kilku barczystych Kapadoków niesionej i otoczonej tłumem przyjaciół i klientów, wysoki dostojnik ten i surowy sędzia, w jednym ze sklepów, otaczających łącznie, kupił i z tajemnym uśmiechem pod fałdą płaszcza ukrył zabawkę, którą powitać miał jedynaka swego. Teraz, w tunice białej, ozdobionej szkarłatne-



mi senatorskimi szlakami i uwydatniającej w pełni silne i harmonijne kształty jego ciała, przykładał on do ust czarę z chłodzącym napojem i zupełnie już wypogodzonym wzrokiem wodził po twarzach tych, których kochał. Wkrótce jednak zasepił się znowu i brwi ściągnął groźnie, gdy, na pytanie Muzoniusza odpowiadając, mówić zaczął o słynnym procesie Herasa. Cóż uczynił mąż ten, Stoik, oddawna trzymający się z dala od zgiełku i blasku stolicy i dworu, a którego głowa przed niewielu tygodniami spadła pod ostrzem topora, na placu publicznym, będącym miejscem tracenja złooczyńców? Heras złooczyńca! Nie, był to najenotliwszy z ludzi, i tylko filozofia Stoików, którą wyznawał, powściągnąć nie mogła porywezości jego, a oddalenie od świata zmieniło ją w prawdomówność, nieznaną granic. Uniósł się. Publicznie, w cyrku, patrząc na Berenikę, jak, okryta drogiemi klejnoty, miękko spuszczała głowę na ramię Tytusa, zawołał do syna Cezara, że lud Rzymski szanuje jeszcze cnoty rodzinne i że widok miłostek jego duszę mu zaraża.

Słowom jego odpowiedziały w wielu miejscach cyrku huczne oklaski, ale niebawem głowa Herasa rozłączyła się z jego ciałem, a mienie jego Wespazyan oddał pod zarząd *Procuratora a rationibus*, czyli ministra skarbu.

— Sam doradziłem dzieciom Herasa, — mówił Helwidysz, — aby wytoczyły proces o pójceowską spuściznę, a zanim strony przed senatem staną, Pretor rozstrzyga. Wczoraj mówili ze mną posłowie Wespazyana, którego łakomstwo lęka się zdobyć tę utracić... Dziś w Bazylice, Marek Regulus, ten zauszniak i rzecznik Nerona, przez trzy obroty wodnego zegara jadowitą ślinę swą spluwał na pamięć Herasa, a Pliniusz Secundus, młodzieniec, godny wielkiego stryja swego, stawał w obronie jego dzieci...

Umilkł na chwilę Helwidysz i otarł kroplę potu, która spływała mu po śniadém czole.

— Mów dalej, — szepnęła Fania.

— Mów prędzej, — zawołał Muzoniusz.

— Dzieciom Herasa słuszość przyznałem, — dokończył Pretor.

Fania zbladła, niemniej przecież głowę podniosła.

— Dobrześ uczynił! — zawołała. — Ale — dodała ciszéj, — jedna to więcej kropla, dolana do czary uraz Wespazyana.

Ogniste oko Muzoniusza zaszło wilgocią, a ściśnięte wargi Aryi drgnęły i wyszeptaly:

— Zawsze to samo! zawsze to samo!

Innym razem, wnet po przybyciu Pretora, do perystylu wbiegła kobieta, niezbyt młoda już, wystrojona, z przyprawionemi rudemi włosy, z twarzą wysmarowaną maściami, z suknią ozdobioną różami sztucznymi, lecz które wybornie naśladowały prawdziwe, nietylko barwą, ale i wonią. Była to Caja Marcya, krewna Fanii, jedna z tych kobiet, jakich mnóstwo znajdowało się w Rzymie, a które, po przejściu burzliwej i miłostkami zajętej młodości, sta-

rość swą cieszyły odmladzającymi strojami, upojeniami uczt i widowisk, najbardziej przecież zgromadzeniem i rozsiewaniem przeróżnych wiadomości o wszystkich i wszystkiem. Od wczesnego poranku do późnego zmroku przebywając na ulicach i placach publicznych, w portykach i ogrodach, w świątyniach i łaźniach, w przedsionkach i salach jadalnych, od prostego rzemieślnika i niewolnika, pełniącego służbę we wnętrzu możnego domu, do najwyższych dostojników i najwybredniejszych wykwintnisiów, wszystkich znając i ze wszystkimi rozmawiając chętnie, wiedziały one o wszystkiem wprzód, niż ktokolwiek inny, a to, co wiedziały, roznosiły po ogromném mieście z większym pośpiechem, niż cesarscy gońcy, ewalujący na bystrych koniach po przerywających państwo drogach publicznych. Woniejąca różami, lekko, na skrzydłach jakby niesiona, do piersi tuląc malutkiego pieska, którego kosmaty pyszczek tylko wyglądał z pośród róż i pstrych materyi ubrania, Caja Mareya wbiegała do perystylu, wołając:

— Pozdrawiam was, dostojni! Witaj, Pretorze! Przechodząc, ujrzałam cię wysiadającego z lekytki! Wróciłeś więc już z Bazyliki, w której pewno nie dowiedziałeś się jeszcze o najważniejszej nowinie dzisiejszej! Dzisiejszej nocy Domicya Longina zniknęła z domu męża swego, Eliusza Lamii! Uprowadził ją i w swoim pałacu zatrzymał Domicyan, młodszy syn Cezara, którego niech bogowie nieśmiertelnym uczynić raczą! Cóż ty na to, Pretorze? Biedny Lamia! Nie żałuję jednak ślepeca tego. Ostrzegałam go sama, a on mi odpowiedział tylko ze śmiechem: „W każdej kobiecie młodej i pięknej widzisz, Mareyo, samę siebie; ale wiedz o tém, że Domicya moja wcale do ciebie podobną nie jest!” Jego Domicya! — Otóż nie do niego już, ale do młodego Cezara należy ona! Co on teraz uczyni, ten zakochany ślepiec? Z Domicyanem walczyć nie radzila-bym mu; przed kaprysami łysiejącego młodzieńca tego, stary Wespazyan nawet i piękny Tytus ustępować muszą; napiera się teraz podobno, aby wysłano go na wojnę z Allanami. Bo będziemy mieli wojnę. Niedarmo przecież w Sycylii spadł deszcz czerwony, a w Wejach urodziło się prosię z jastrzębiami szponami! Nieszczęścia wiszą nad Rzymem. A ty, Pretorze, miej się na baczności. Słyszałam, żeś srodze obraził bóstwa wyrokiem swym, wydanym w sprawie dzieci Herasa. Dwa dni temu, przy stole Wespazyana, ktoś nagle zapytał: dlaczego piękna Fania nie ukazuje się nigdy na dworskich zebraniach? Przepowiadają edykt cesarski, który filozofów skaże na wygnanie z Rzymu. Cestysz rozwódzi się z żoną swoją, Flawią, którą podobno Judejczycy nauczyli ezcic oślą czy kozłą głowę. Czy słyszeliście o drogocennym pierścieniu, który Tytus dla Bereniki ze Wschodu sprowadził? Żadna Rzymianka nie miała nigdy tak kosztownych klejnotów, jak te, któremi Tytus przyozdabia judejską kochankę swoją.

Mówiąc to wszystko, wielkimi haustami wypróżniała czary wina i, serdecznemi słowy osypawszy rodzinę Pretora, wiecznie jednako ruchliwa i weso-



ła, do ruchu przy tём pobudzana skomleniem pieska swego, dom Helwidysza opuściła. Nie widziała wcale, że pozostawia za sobą twarz, pobladłe od smutku i gniewu.

— Na mściwego Jowisza! Nie Lamia to tylko obraził Domicyan, plamiąc i gwałcąc domowe ognisko jednego z obywateli rzymskich! Czy nikt już w swych ścianach domowych bezpiecznym być nie może od kaprysów i napaści syna Cezara! Teraz to dopiero cenzorowie, ci starodawni stróże rzymskiej enoty, nie próżnowali-by na swym urzędzie, gdyby... gdyby urząd ten istniał jeszcze! Lecz cóż naprawdę trwa jeszcze w Rzymie z tego, co niegdyś istniało? Gdzie jest powaga i władza konsulów, będących już teraz marnym cieniem czegoś, co było? Gdzie samodzielność i duma senatu, który niekiedy już tylko odważa się być słabem echem swój przeszłości? Gdzie trybunowie gminni, których rozum i wymowa, broniąc praw ludu, dźwigały go zarazem nad podłość służalstwa i nad zwierzęce zasklepienie się w interesach brzucha, którego żywić już nie chcą rozpróżniane ręce? Wszystkie te rękojnie obrony i dostojęstwa Rzymu skupiły się w jednej dłoni, spoczęły na jednej głowic...

— Nieszczęsny, znieważony Lamia!

— Domicya Longina wiernie dotąd i szczerze kochała małżonka swego.

— Tak! — z szyderstwem, zawołał Helwidysz, — lecz jakaż miłość i jaka enota oprzeć się mogą w Rzymie ponętom, zięjącym z Pałatyńskiego wzgórza?

— Którego fundamentem jest gawiedź, psuta hojnie sypaną jej jałmużną i szaleństwem igrzysk, a murem obronnym miecze i dzidy żołdactwa,— wyrzekł Muzoniusz.

Mówiono potem o podstępny procesie, wytoczonym przez przyjaciela Domicyana, Metiusa Hara, w celu wydarcia połowy mienia Polii Argentaryi, wdowie po pocię Lucyanie, przez Nerona na śmierć skazanym. Domicyan poprzysiągł, że przyjaciel jego tryumf i bogate łupy odniesie ze sprawy tej, która niebawem wytoczoną będzie przed trybunałem Pretora.

— Znowu Helwidysz... — zawołała Fania i umilkła nagle.

Stara Arya, nieruchoma w swém poręczowém krześle, wyprostowana i surowa w żałobnych sukniach swych i zasłonach, poruszała zwolna zwiędłymi wargami i, jakby zmęczoną pamięcią swą coraz nową paciorkę niżąc na długi sznur wspomnień, szeptała:

— Zawsze to samo! zawsze to samo!

W rozmowy te, w których głucho zdawały się wrzeć powściągane gniewy i namiętności, mieszały się przylatujące z ogrodu wybuchy i gamy dziecięcego śmiechu. Mały Helwidysz bawił się piłką, która, w powietrzu z brzękiem zwijając swe obręcze, w postaci złotego półksiężyca na trawę spadała.

Mirtala nie kryła się już za krzesłem Fanii, ale, u stóp perystylu, na trawie przysiadłszy, błyszczącymi oczyma ścigała wesołą grę dziecka.





I WESOŁO DOM HELWIDYUSZA OPUŚCIŁA.





— Pójdź! — zawołał raz na nią mały Helwidysz, — pokażę ci, jak trzeba toczyć *trochus* po ścieżkach ogrodu i rzucać onyxowe kule po planach pochyłych!

Brała odtąd udział w zabawach tych, którym przez dni tyle, w awentyńskim portyku, przypatrywała się z dala z zazdrością i zachwyceniem. Na wyścigi z gibkim, swawolnym chłopcem biegła za mosiężnym kołem, z przeźrliwym brzęczeniem dzwonek toczącym się po źwirze wysypanych ścieżkach, lub pośród trawnika, z podniesioną twarzą, wyciągała dłonie po spuszczający się ku ziemi złoty półksiężyc. Świeże, wonne powietrze ogrodu, tak niepodobne do tego, jakim na Transtiberim oddychała, rozszerzało szczupłą jej pierś i białość twarzy zapalało płomieniem rumieńca. Usta jej śmiały się, oczy błyszczały szczęściem; wydawała się dzieckiem, potrzebującym szerokiego oddechu swobody i radości, ptakiem, wypuszczonym z klatki i którego skrzydła drżały do lotu. Helwidysz i Fania, stojąc wśród żółtych kolumn perystylu, które w lunie słonecznej i na tle zieleni palily się, jak ogniste słupy, z uśmiechem patrzali na głośną zabawę jedynaka z tą obcą, lecz wdzięczną dziewczeczką. Oczyma malarza patrzył też na nią Artemidor, i wkrótce potem, trzymając w dłoni swą rękę Mirtali, oprowadzał ją po domu Pretora, ukazując i tłómacząc znajdujące się w nim dzieła sztuki. W *triclinium*, czyli w sali jadalnej, stawali przed okrywającym ścianę wielkim obrazem, pośród którego, na tle świeżego jak wiosna krajobrazu, nad brzegiem wody, w zieleni gaju, z rozwianym płowym włosiem, igrała z towarzyszkami swemi wdzięczna i poetyczna Nauzika. Artemidor słowami Homera powtarzał dzieje królewskiej tej córki, a Mirtala z rozżarzonym wzrokiem słuchała dźwięków *epopei* greckiej, melancholijnie i słodko brzmiącej w ponsowych ustach malarza.

— Tyś do niej podobna, — mówił. — Czy wiesz, kto obraz ten malował? Kobieta. Jaja z Kryzykosu, sławna malarka, którą w czasach Augusta czeili jak bóstwo cały świat grecki i rzymski. Ty także mogła-byś kiedyś tworzyć arcydzieła takie. — Rysy haftarki okrywały się wyrazem dojmującego żalu.

— Nigdy! — odrzekła, — religia ojców moich wzbrania pędzlem, czy dłutem, naśladować postacie ludzkie!

— Jakto! więc w domach swoich nie macie posągów?

Przecząco wstrząsnęła głową.

— Ani obrazów?

— Nie!

— I wzbrania wam tego religia wasza? Cóż za barbarzyństwo! Jaki bezmyślny i gruby zabobon!

Śmiał się. Grek z pochodzenia, urodzony i wychowany w Rzymie, którego ulice i place zdobiło trzydzieści tysięcy dzieł rzeźbiarskiej sztuki, wykonanych z marmuru, brązu, złota i kości słoniowej, którego świątynie, teatru, domy, roiły się fantastyczną ludnością tą, przez pracę wielu stuleci i ge-



niesz dwóch ludów z kamienia i metalu wywołaną, dziecię cywilizacji wykwintnej i sięgającej już najwyższych swych szczytów, wychowaniec filozofii, wyzwalającej rozum ludzki, artysta mistrzowsko malujący kwiaty, ptaki, dzieci, młodzieńcze twarze i wszystko, co na ziemi wiosną było, świeżością, rozkwitem i śmiechem, — długo, dźwięcznie, wzgardliwie i razem serdecznie śmiał się z ponurego ludu, za występki poczytującego to, co dla niego było skrzydłem myśli, iskrą serca, najpyszniejszą ozdobą i rozkoszą życia. Nagle przestał śmiać się:

— Czegoś ty taka smutna, Mirtalo?

Teraz dopiero spostrzegł zmianę, która w niej zaszła od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył ją w portyku. Rumieńce zdrowia i blaski wezbranego życia, oblewające ją w ogrodzie, wśród wesołej zabawy i na tle powietrza różowionego lunami słońca, pogasły i znikły. Teraz stali pośrodku obszernej sali, do której światło dzienne wlewało się tylko przez czworokątny otwór dachu, na kilku kolumnach wsparty i kawałkiem błękitnego nieba świecący prostopadłe, nad okutą w marmur szybą kryształowej wody. W wodzie pływały złote i ponsowe rybki, dokoła niej rosły w rzeźbionych wazonach szerokoliste rośliny, a kilka brązowych amorków, wychylając się z zieleni, zdawało się igrać złotymi piłkami. Smuga zachodzącego słońca, wnikając przez otwór w dachu, stała w powietrzu ognistym słupem, za którym, nieśmiało, w głęboki cień kolumny kryło się dziewczę w spłowiałej sukni, przewiązanej barwistym, haftowanym pasem, ze znieruchomiałą drobną kibicią i opuszczonej bezwładnie, szczupłemi ramiony. Przychudłe już i wprzódki policzki jej stały się jeszcze chudsze, twarz całą okrywał wyraz cierpiącego marzenia, a w zapadłych nieco, szeroko rozwartych oczach mieszać się zdawał cały smutek ludu, który, jak występku, wyrzekał się najpiękniejszych uroków życia, i tam, na brudnym, cuchnącym przedmieściu, wiódł ponury i zlorzeczący żywot zwyciężonych.

Jak z portyku, do którego przybywała zawsze wesola i żwawa, tak z domu Pretora, który rajem ziemskim był dla niej, Mirtala wracała na rodzinne przedmieście swe powoli, z piersią pełną tłumionych westchnień, z głową ciężką od dziwnych myśli i marzeń. Jak w sennym marzeniu, przed oczyma jej przesuwaly się nieustannie twarze i obrazy, które pozostawiała za sobą, nie wiedząc, czy kiedykolwiek jeszcze je ujrzy; niby iskry, migotały w zmroku rubiny, zdobiące srebrzystą zasłonę i krucze włosy Fanii; powoli unosiła się kędyś wysoko tragiczna twarz Aryi; lekka Nauzika biegła nad brzegiem morza; chóry skrzydlatych amorków igrały złotymi piłkami; uśmiechniona Wenus uczyła służyć lwa potężnego; rzędy żółtych kolumn paliły się w słońcu, jak ogniste słupy; wśród bieli marmurów, kwieciste zasłony opadały miękkimi fałdy; aloesy przeglądały się w kryształowej szybie wody, usianej złotymi i szkarłatnymi rybkami...

— Czegoś ty taka smutna, Mirtalo?

Pytanie to szło za nią i wraz z niemi szły ponsowe usta, które je wymówiły, i czarne, ogniste oczy, które w twarzy jej utonęły z przyjaznym współczuciem. Za nią, przed nią, w powietrzu, na niebie i ziemi, szła wysoka, gibka postać mężka, w białej tunice, z obnażonym ramieniem, trzymającym pęzel, niby berło. O, królu!... Pęzel opadał wciąż na paletę i, podnosząc się ku lśniącemu szlakowi marmuru, prędko, cudem niby, wywoływał nań nieskończoną, zda się, grę życia, wiosny, młodości, radości. Róże i lilie spletały się tam i pachniały, szczebiotały ptaki, z za greckich zygzaków, wesołych, figlarnych, wyglądały dzieci skrzydlate o ciałach rumianych... O, promieniu!...

Królem w krainie piękna, promieniem słońca w mroku jej młodości, wydawał się jej obcy młodzieniec ten, którego imię... U końca mostu stanęła i, oczy wznosząc ku niebu, na którego ciemnym tle błyszczała już jedna wielka gwiazda, wymówiła:

— Artemidor!

Był on tak daleko od niej i tak nad nią wysoko, jak gwiazda.

Nagle wzdygnęła się i przyśpieszyła kroku. Z marzeń wyrwała ją głośnie i grubijańska wrzawa. Przebywała jeden ze szczyptych i brudnych rynków *Transtiberin*, przy którym największa z oberż przedmieścia, *Taberna meritoria* zwana, wrzała zmieszaniem krzykami i śmiechami mężczyzn i kobiet, łączącemi się z huczącym odgłosem *sumbuki*, syryjskiego muzycznego instrumentu, piskliwemi tonami fletów i przyciszonym dzwonieniem *sisto*, metalowych kastaniet, wstrząsanych podniesionemi rękoma syryjskich tancerek. *Taberna meritoria* była jednem z najlubiejszych miejsc zabaw gawiedzi, złożonej z ulicznych próżniaków, opitych lektykarzy i tragarzy, niewolników, wynykających się o zmroku z domu swych panów, i z tamtej strony rzeki śpiesznie ku niej przybywających. Tu najliczniej schodzili się kuglarze, pokazujący za drobną zapłatę sztuki akrobatyczne, psy uczone, kury wróżące, wależące przepiórki i koguty; tu, przy dźwiękach *sumbuki* i fletu, tańczyły kobiety o żółtych twarzach, w srebrnych pierścieniach na palcach nóg bosych; tu, nad ogniem fajerek, smażył się nieustannie najpożądańszy przysmak rzymskiej gawiedzi: kielbasy z wieprzowego mięsa; tanie wina lały się z amfor w kubki z czerwonej gliny; tu nakoniec zjawiał się niekiedy i tłumy ku sobie pociągał cud zadziwiający i ponętny: obficie z odłamu skały ciekący strumień oliwy. Ktokolwiek chciał, mógł czerpać ze strumienia tego. Tłumy cisnęły się do oberży z amforami, dzbanami i kubkami w rękach, a były zawsze tak liczne i liczbą swą śmiałe, że *edylowie*, strzegący publicznego porządku i przebiegające miasto oddziały nocnych straży, odwracając oczy, z daleka miejsce to wymijały.

Mirtala, tuląc się do ścian domów, jak drobny, chyży cień, przebiegła rynek. Po raz to pierwszy w tak późnej porze znajdowała się w pobliżu strasznej oberży. Wracała zazwyczaj wcześniej, o zachodzie słońca. Dziś spó-



źniła się. Długo, odpowiadając na pytania, które jęj zadawał, rozmawiała z malarzem. Powoli, ośmielona, opowiedziała mu dzieciństwo swe, spędzone na płaskim dachu małego domku Menochima i na śmietniskach wązkiej uliczki, wraz z przybranym bratem swym, Jonatanem, który był taki dobry dla nięj i łagodny, bardzo ją kochał, a potęm, nagle, poszedł bronić Jerozolimy i... już nie wrócił. Opowiedziała ciche i długie dumania swe u stóp Gaju Egeryi, gdy tam codzienną żywność przynosiła przybranemu ojcu; a potęm zachwyty swe nad haftarskimi krośnami, w których rozsnuwały się, z głowy jęj płynące, coraz nowsze i piękniejsze wzory; a potęm jeszcze smutek, którym przejmowało ją brudne, brzydkie, duszne powietrze, i trwoęę, jaką napęlniał ją Syryjczyk Silas, wróg jęj ojca i ją samęę ścigający często grubiańskimi giestami i słowy...

A teraz, wszak słyzy znowu głos Silasa! O! głos ten wybija się z tłumu, biegnie za nią, zbliża się, zmieszany z innym głosem jakimś, kobiecym, który także słyzyła kędyś... Ją-to wyraźnie ścigają dwa te głosy ochryple, urągliwe, rozehichotane śmiechem, podobnym do żwierzęcego rżenia. Przytęm, biegnie tęż za nią i goni ją śpieszny tentent stóp... Wątpić nie mogła, że w przezroczytym zmroku dostrzegł ją bawiący się przed oberżą Silas. Biedz zaczęła tak szybko, że tchu brakło w jęj piersi. Rynek pusty był, domy tylko szczelnie pozamykane, puste tarasy, i tam... ta straszna, pijana, szalona wrzawa oberży...

— Na Molocha i Beliala, bogów przodków moich! nie wymkniesz mi się tym razem, chuda przepiórko! Raz przecięz pochwycę cię i dobrze utuczę świnięm mięsem i uściskami memi...

— Niech wprzóđ, Silasie, ja ją w pazurach moich uścisnę, tę przekłątą haftarkę, która zamienię mię ma na służbie u dostojnej Fanii! — krzyczał zdyszany głos kobiecy.

Mirtala, pomimo śmiertelnego przestraczu, poznała głos Egipeyanki Chromii, ciemnotwarzęj garderobiany Fanii, która w domu Pretora ciskała na nią często ponure i jadowite spójżenia. Zazdrościła jęj łask swęj pani i lękała się zostać zastąpioną przez żydowskie dziewczę z *Transiberim*.

— Na pomoc, Babasie! — krzyknął Silas do człowieka, który w tęj chwili z oberży na rynek wybiegł. — Nogi dłuższe masz i silniejsze od moich; wyciągnij je, Babasie, i pomóż mnie i Chromii złowić tę gadzinę, wypęlzłą z jaszczureczego gniazda!

Silna, jakby żelazna, dłoń Babasa na ramię jęj opadła, i czarnemi włosy obrosła twarz tragarza zionęła na głowę jęj oddechem, cuchnącym cebulą i winem. Z innej strony chwytal już pas jęj zwiczny Silas, a przed nią, z rozczochranemi włosy i rozognionemi oczyma, istny obraz pijanej jędzy, wysunęła się Chromia, i roztwarte, zakrzywione, srebrnemi pierścieniami błyszczące palce swe do twarzy jęj przykładała.





GDYŚ WYSZŁA Z DOMU FANIO, POSZEDŁEM ZA TOBĄ.





— Nie drap jęj, Chromio — wołał Babas — zanim przyjrzymy się jęj przy świetle, palacém się w oberży!...

— Przeciwnie! na wszystkich bogów twoich i moich! pociągnij po twarzy jęj pazurami swemi tyle razy, ile asów zarobku odbiera mi codziennie ojciec jęj, Menochim!...

W tęg chwili, nad trojgiem ludzi, porywających już swą ofiarę, zabrzmiał donośny i dźwięczny głos męzki:

— Na Persefonę! Cóż to za napaśé na niewinne i bezbronne dziewczę? Czy na przedmieściu tęg poslepli edyłowię? czy nigdy nie przechodzi tęg straż nocna? Precz ztąd! lajdacy! opilecy bezwstydni! zakało Rzymu! Pierzchajęie, bo straży zawołam! lecz wprzódy z ręki mojęj przyjmcie te podarki, które się wam należą...

Mówiąc to, pełną w plecy Silasa z taką siłą, że zatoczył się on na pół-pijanych nogach i twarzą ku ziemi upadł; poczém zamierzył się na wysokiego, silnego Babasa, ale ten, zaledwie na niespodziewanego przybysza spójrzenie rzucił, wnet odskoczył i, w szalonych podskokach długich i silnych nóg swych, ku oberży uciekać począł. Po długim, fałdzistym plaszczu, osłaniającym wysmukłą postać, i po rysach twarzy rozgniewanęj i dumnej, Babas w przybyszu poznał niewidywane tu nigdy zjawisko: Rzymianina z tamtęj strony Tybru. Był to więc może urzędnik dostojny, albo pan bogaty, z którym kłótnia niebezpieczną była dla jego tchórzowstwa i niepodobną dla służalczjęj jego względem dostojęństw i bogactw pokory. Poznała tęg w nim Rzymianina z tamtęj strony Tybry Chromia, i z głośnym krzykiem zdumienia i przestachu do stóp mu upadła.

— Artemidorze! nie gub mię nieszczęsnęj! Dostojny! zlituj się! Tajemnie wymknęłam się z domu pani mojęj, Fanii, aby z przyjaciołmi mymi, Silasem i Babasem, wesolą przepędzić godzinę! Przeklęta dziewczka ta usiłuje miejsce moje zająć... podziemne duchy natchnęły mnie zemstą... Najdostojnijęszy! nie gub mię!...

Ze wstrętem, od stopy swęj, do któręj przywiązała się ramionami, odepełnął Egipcyankę, któręj gibkie, pół-nagie ciało, do wijącego się węża w chwili tęg było podobném, i łagodnie ujawnszy rękę Mirtali, pociągnął raczjęj, niż powiódł ją dalęj, w chaotyczne i mroczne uliczki przedmieścia.

— Wskazuj mi drogę do domu ojca twego! Bogowie! jakież ponure miejsce! Niech umrę, jeśli odgadnę, jakim sposobem ludzie mieszkać mogą w takich drewnianych budach! A toż co znowu? kupa śmiecia, podobno kałuża pośrodku ulicy! Czy doprawdy znajduję się w Rzymie?

— Jakim sposobem znalazłęś się tu, panie?

— Gdys wyszła z domu Fanii, poszedłem za tobą.

— Za mną?

Ciche pytanie to podobném było do łkania. On przeciwnie, wesolym był,



jak zawsze. Bawiła go snadź niezwykła przygoda, wesoło zadziwiła własna w tém miejscu obecność.

— Odkąd wszedłem na to przedmieście, wiem już dobrze, dlaczego bywasz smutną. Żałuję cię. Uczyni wedle domniemania przebrzydłej Chromii. Pozostań przy Fanii, która chętnie w domu swym miejsca ci udzieli. Piękność i wesołość wezmą cię tam w twórcze swe ramiona, a ja przychodzić tam i uczyć cię będę sztuki malarskiej. Uczynię z ciebie drugą Jaję z Kryzykosu...

Mirtala wysunęła rękę z jego dłoni i stanęła, jak wryta. W cieniu wiadać było, jak dłonie jęj błagalnie splotły się u piersi.

— Odejdź ztąd, panie! — szepnęła.

Artemidor obejrzał się.

-- Czy dlatego odejść mam i samę jedną popozostawić cię w tój ponurj dziurze, że znowu slysze goniące cię kroki czyjes? — żartobliwym tonem zapytał.

Istotnie, od kilku minut ktoś szedł za nimi. Był to mężczyzna wysocki i szczupły, którego twarz niewidzialną była w zmroku i w cieniu szerokich brzegów kapelusza. Nie ścigał ich, lecz równym, chociaż znużonym krokiem, w pewnym oddaleniu wciąż postępował.

— Jeżeli nie myślę się — rzekł Artemidor — jest to rzezimieszek, z którym, wracając, spotkać mi się przyjdzie. Pomimo ciemności, widzę, że oberwańcem jest i że cieszy się ze spotkania niezwykłego tu łupu. Mniejsza o to! spotka pięść moję, a jeśli to nie wystarczy, ostrze mego sztyletu....

Krótki, ostry sztylecik, z bogatą rękojeścią, błysnął mu w dłoni. Zasmiał się.

— Ile razy wychodzę sam, albo w towarzystwie jednego tylko Heliasa mego, biorę to z sobą, aby módz, w razie niemiłego spotkania, własną ręką dopomódz do opiekowania się mną przyjaznej mi dotąd Fortunie. Dziś, nie tylko przyjaciół swoich, ale i mego miłego Heliasa odprawiłem. Chciałem pomówić z tobą sam-na-sam. Dlatego za tobą szedłem.

Po chwili znowu mówić zaczął:

— Cóż, Mirtalo? Uczynisz, jak ci doradzam? Pozostaniesz w domu Fanii? Pomyśl. Sztuka jest państwem czarownym, rozległym, pełnym rozkoszy, których bogowie sami wybrańcowi jęj zazdrościć mogą. Królową w państwie tém być możesz. Wolną być możesz od trapiących naród twój zaborców bezmyślnych, od ponurych i nędznych widoków *Transtiberim*, od przesładowań Silasa i jemu podobnych... Kto inny powiedział-by ci, że uczyni cię swą kochanką. Ja nie. Uwodzenie niewinności nie jest rzemiosłem mojem. Nie jestem ja skromnisiem, ale małoż jest w Rzymie bezwstydnie, które mi już zbrzydły? Kiedy na ciebie patrzę, lepiej, niż dawniej, rozumiem słowa mistrza mego, Muzoniusza: „Uczciwością męża jest nie dotykać zepsuciem nikogo i nie obrażać skromności niczyjjej.“ Zajmujesz mię więcej, niżem z razu mógł mniemać, ty, cudzoziemska Arachne... Oczy masz piękne i wymowne,

a usta twoje podobne są do koralu, zwilżonego rosą. Ale nad oczy i usta twe piękniejszą jest stokroć ta iskra twórczości, którą nieznanne siły w pierś twą położyły. Ja iskrę tę w płomień zamienię. Uczynię z ciebie malarkę, na cały świat głośną, a wtedy otoczą cię kołem radosnym wszystkie rozkosze sławy, bogactw i miłości!...

Tym razem mówił z powagą i zapalem. Ona stanęła znowu i, splecione ręce ku niemu podnosząc, stłumionym głosem zawołała:

— Artemidorze!

W wykrzykniku tym była wdzięczność bez granic i upajająca radość; jednak drżącymi usty po chwili szeptała:

— Odejdź ztąd! Oto są drzwi domu Menochima. Wszak zobaczę cię jutro w portyku. Pomiędzy wami na zawsze nie pozostanę... nigdy...

Zażkała cicho, głęboko.

— Ale wszakże cię jutro zobaczę w portyku, Artemidorze! Odejdź ztąd! Oto są drzwi domu Menochima. Wszakże cię jutro zobaczę, panie!

— Zostań w pokoju i myśl o radzie, którą ci daję. Przyjdź jutro do portyku. Pokażę ci, jakim sposobem maluję ptaki te, które dziś tak podziwiałaś... Przyjdź do portyku...

— Zobaczę cię jutro, panie!

Odszedł i wkrótce skrzyżował się z nocnym wędrowcem, na którego plecach teraz dopiero spostrzegł podróżną torbę, a w rękę wędrowny kij. Nie był to więc rzezymieszek, ale podróżny jakiś, wśród umilkłych i śpiących uliczek przedmieścia szukający na noc przytułku. Spokojnie minął on Rzymianina i widać było tylko, że usiłował w zmroku rozpoznać rysy jego. Potem przyspieszył kroku, i Mirtalę, która otworzyć już miała drzwi ojcowskiego domu, za rękę pochwycił. Zarazem cicho, prędko, syro-chaldejskim językiem przemówił:

— Ktożeś ty, izraelska dziewczyno, tocząca nocne rozmowy z cudzym młodzieńcem, w języku Rzymian?

Pochylał się ku niej coraz niżej, i nagle, prostując się, stłumionym głosem zawołał:

— Mirtala! Mirtala!

Ona rzuciła się ku domowi i, niknąc w jego wnętrzu, pozostawiła drzwi na oścież otwarte. Przez te otwarte drzwi ukazała się izdebka mała, niska, z ciemnymi drewnianymi ścianami, których chropowatęj nagości nie przyozdabiała nic, oświetlona mdlém światłem małej lampy, mglista od dymu, czarną nicią wijącego się z na-pół zwęglonego, po roztopionym tłuszczu pływającego, knota. W ciemnej ramie ścian i sufitu izdebki, w mgławém i dymnym świetle, na drewnianym stołku, przed stołem, okrytym wazkami i długimi kartami pergaminu, zgarbiony, z trzcinką, służącą do pisania, w rękę, z rozumienionymi policzkami, siedział Menochim. Na odgłos śpiesznych kroków wbiegającej do izdebki Mirtali, podniósł twarz.



— Tyżeś-to, Mirtalo? dlaczego wracasz tak późno?

Ale dziewczyna zniknęła kędyś w najciemniejszym kącie izby; natomiast, w drzwiach otwartych stał podróżny z torbą na plecach, w kapeluszu z szerokimi brzegami. Gdy tylko z postacią tą spotkał się wzrok Menochima, całe ciało jego, jak targnięta struna, wyprężyło się i pochyliło na przód. Sekund kilka pochyłony, sztywny, z szeroko rozwartą żrenicą, wpatrywał się w przybyłego, aż porwał się ze stolka, zachwiał się, wyciągnął na przód ramiona, i wielkim głosem, w którym czuć było łkania i śmiechy, krzyknął:

— Jonatan!



I NA KLĘCZKI RUNĄSZY, DŁUGO TWARZ SWĄ UKRYWAŁ W SUKNI  
MENOCHIMA.





#### IV.

Jonatan torbę swą i kij sękaty na ziemię rzucił i, na klęczki runąwszy, długo twarz swą ukrywał w sukni Menochima, który, osunąwszy się na stół, drżącemi rękoma obejmował jego szyję, dotykał ramion i twarzy, głowę swą, okrytą ciężkim turbanem, do czarnowłosej głowy jego przykładał. Ani jedno słowo z ust ich nie wychodziło; milczenie panowało w izbie, w której najciemniejszym kącie niewyraźnie szarzała, do drewnianych krosien haftarskich przytulona, postać niewieścia. Knot w lampie zatrzęszczał, karta pergaminowa z szelestem zsunęła się ze stołu, Menochim zdławionym szeptem wymówił:

— Synu mój! bohaterze! chlubo Izraela i boleści moja!

Jonatan ręce jego od ust swych odjął.

— Chwałę i wysławiam Pana, że pozwolił mi, zobaczyć cię jeszcze, ojczel!

— Wstań, wyprostuj się, ukaż mi twarz swoją! Niech ujrzę, żeś jest tym samym, który przed czterema laty odszedł ode mnie, aby z piersi swój dla ojczyzny naszej uczynić wał obronny! Niech ujrzę, co uczyniła z ciebie wojna straszliwa i tułaczka długa! Wstań, synu!

Jonatan podniósł się z klęczek, ale przez sekund parę chwiał się, jak człowiek, śmiertelnie znużony i posługujący się ostatkami sił swoich. Wzrost miał wysoki i znać było, że kiedyś barczystym i silnym być musiał. Teraz jednak, tunika rzymska ciemnej barwy, zszarzana i niedbale opadająca mu prawie aż do stóp, obutych w grube płytkie sandały, ukryć nie mogła niezmierniej chudości i wynędznienia ciała jego. Kości ramion i bioder jego sterczały; szyja wychylała się z podartych brzegów tuniki, kościista i okryta ciemną, zgorzałą od skwarów, skórą; twarz, o pięknych, podłużnych rysach, ciemna także, spalona, krótkim, czarnym zarostem obrosła, uderzała wklęsłością policz-



ków, uwydatniającą długość przygarbionego nosa i wypukłość warg, tak prawie białych, jak pergaminy, pokrywające stół Menochima. Widać było, że postać tę i twarz długo i bezlitośnie rzeźbiły: głód i bezsenność, trudy ciała i rozpacz ducha, wiatry, mróz i upały pustyni. Lecz ani dnie głodowe i noce niespane, ani męczarnie mozołów i bólów, ani ostrza wichrów i płomień skwarów, nie mogły zagasić w tej wynędzniałej piersi ognia, który w niej płonął i wyglądał na zewnątrz przez oczy, głęboko zapadłe, ciemnymi kołami objęte, czarne jak noc i czarnemi, gęstemi brwiami ocienione. Stał, wyprostował się i na Menochima patrzył, aż ponurość twarzy jego rozwidniła się uśmiechem i suchy ogień oczu ochłodził w zapływającej je łzie. Przez uśmiech ten i tę łzę, która nie spłynęła na policzki, lecz tylko oszkliliła źrenice, przejrzało coś z przeszłości człowieka tego, dalekiej, dalekiej, pacholejącej, niewinnej, może wesołej...

Menochim dłońmi twarz zakrył; cienka postać jego, przewiązana grubym pasem, i głowa, ocieniona zwojami turbanu, zakolysała się powoli w strony obie.

— O! biedne, nieszczęsne, zniweczone dziecko moje!—zawołał. — Pocoś ty tu przyszedł? pocoś przybliżył się do jastrzębich szponów? Lepiej-by ci było z głodu na pustyni umrzeć, albo w jaskini lwa oczekiwać godziny zbawienia, niż tu schwytanym zostać przez wrogów i zginąć pod ich toporem, albo zgorzeć w płomieniach stosu. Wiedziałem, że żyjesz, i z sercem trzęsącym się od trwogi, myślałem często: on tu przyjdzie! zechce zobaczyć staro Menochima i młodą oblubienicę swoją, i—przyjdzie! Kiedym stróżował tam, u gaju Egeryi, liście drzew szeptały mi: przyjdzie! gdy usypiałem, widziałem anioła z żalobnymi skrzydłami, który, płacząc z litości, szeptał mi: przyjdzie! Wyciągałem ręce ku niebiosom, żebrząc u pana: niech nie przychodzi! I oto przyszedłeś, jesteś tu, a ja czémże zasłonię cię przed oczyma wrogów, czém cię przed pociskami ich obronię? Ubogi jestem i nieznany, siły nie mam żadnej i porwą cię ztąd ode mnie, jak jastrząb u gołębicę małą jej porywa!...

Jonatan uśmiechał się znowu, ale inaczej już, niż wprzód: niedbale, prawie wyzywająco.

— Nie trwoż się, ojcze, — rzekł, — przebyłem drogi długie i ludne, a nikt mnie nie poznał. Ubiór Edomitów przybrałem i językiem ich umiem mówić tak dobrze, jak oni...

— Rysy twarzy twojej zdradzą cię...

— Jak trzoda kóz, spędzonych z pastwiska swego, tak rozsiani są teraz Izraelici po całym przestworze rzymskiego państwa. I w samym Rzymie mieszka ich mnogość wielka...

— Ciebie szukają... Nie darmo byłeś przyjacielem najmilszym i nierozłącznym towarzyszem Jana z Giszali; nie darmo w bojach ścierałeś na siebie sławę nieustraszonego wojownika; nie darmo, uparty i niepokonany,

należałeś do szczupłej garści tych, którzy, zamknawszy się w świątyni, opuśczeni przez wszystkich, bronili świętości Izraela, aż dopóki bezbożne usta Tytusa nie rozkazały rzucić na nie główni pożogi! Cezar sam wie o tobie, pamięta cię Tytus, pamiętają pewno rzymscy żołnierze...

Jonatan podniósł głowę.

— A więc, — zawołał, — niech mię chwytają, więżą i uśmierca, jak uśmiercili tyłu braci moich, godniejszych i doskonalszych ode mnie!

Ale widząc, że Menochim od stóp do głowy zadrżał, łagodniej dodał:

— Uspokój się, ojcze! pod dachem twoim przebędę tylko dni kilka. Niech oczy moje napatrzą się na twarz twoją, która była dobroczynnym słońcem mego dzieciństwa; niech uszy moje nasłuchają się głosu twego, którego nauki uczyniły mię tępym, czem jestem. Potem odejdę ztąd tak niepostrzeżenie, jak tu przybyłem, i skryję się w pewnym zakątku Gallii, gdzie kilku przyjaciół moich bezpieczny znalazło przytułek i gdzie mnie także odkryć nie zdoła wzrok prześladowców. Bądź spokojny. Starać się będę, by cię nie ugodził ten cios, na myśl o którym drży z bojaźni twoje dobre, ojcowskie, stérane serce!...

Uspokojony nieco, Menochim odsłonił twarz i, spojrzeniem szukając kogoś w głębi izby, zawołał: Mirtalo!

Na dźwięk imienia tego, twarz młodego Izraelity stała się znowu twarzą i posępną, czarne brwi zbiegły się nad oczyma jego, które pół-badawczym, pół-srogiem wejrzeniem ogarnęły wysuwającą się z mrocznego kąta dziewczynę. Oderwała się od krosien swych, do których dotąd zdawała się być przykutą, i wyszła na światło lampy powolnym, trwożliwym krokiem. Widać było, że scena i rozmowa, których świadkiem była, silnie na nią wywarły wrażenie. Twarz jęj oblewał gorący rumieniec; nieśmiały wzrok to chylił się ku ziemi, to z miękkim, rozrzuwionym wyrazem służył na Menochima, to zwracał się ku Jonatowi, a spotkawszy się z badawczym wejrzeniem jego, zmacony służył znowu na glinianą podłogę. Chudy ten, od nędzy zczerniały człowiek, z rysami stwardniałymi w walkach, z ponurym płomieniem w zapadłych oczach, budził widoczną trwogę w dziewczynie tej, o wątłym, delikatnym ciele i duszy artystycznej, rozkochanej w pięknościach linii i barw, w całej radośnej i świetnej promienistości rzymskiego świata. Ze spuszczonej powiekami, milcząc, wysłuchiwała rozkazów Menochima, który mówił jęj, aby wnet poszła do domu Symeona i Sary, oznajmiła im o przybyciu Jonatana i prosiła ich o wieczerzę dla drogiego gościa. Potem, posłuszna i cicha, wyszła, bez najlżejszego szelestu drzwi za sobą zamykając.

— Bracia nasi nie zdradzą nas, — po odejściu jęj mówił Menochim, — wszyscy oni kochają cię i wysławiają imię twoje...

Jonatan, z brwią ściągniętą, chmurny i roztargniony, wpatrywał się w znajdującą się u stóp jego wklęsłość glinianej podłogi.

— Ojcze! — zaczął z cicha, — odkąd odszedłem ztąd, Mirtala dorosła.



Wzajemnie Menochim, zajęty jedną, najważniejszą dla niego w tej chwili myślą, na słowa jego nie zważał.

— Symeon,— ciągnął dalej,— powinien koniecznie dziś o przybyciu two-  
jém wiedzieć. Mąż to jest z ponurém obliczem, lecz mądrą głową i sercem gorą-  
co kochającém swych braci. Jako ojciec synagogi, zwoła on jutro do domu  
modlitwy Moade-El, święte zgromadzenie, na którym opowiesz całej kehili,  
(gminie) naszej drogi, jakimi cię Pan prowadził. Opowiadania takie nieraz  
rozlegają się w ścianach synagogi, rozgrzewają ostygających i pocieszają  
tych, którzy cierpią najsrożej — wątpiąc!...

— Ojcze!... gdym odchodził, była ona jeszcze małą dziewczynką... te-  
raz rozkwitła, jak Jerychońska róża, i Sulamitka Salomonowej pieśni wdzię-  
czniejszą od niej nie była!...

— Małżonka Symeona, Sara, przemyślną jest i mądrą niewiastą. W do-  
mu swoim ustawiła ona dwanaście haftarskich krosien, przy których pracuje  
dwanaście robotnic i wielka korzyść splywa ztąd na dom Symeona. Bogaci  
są, i w wędrowce, która cię czeka, pomocnymi ci być mogą...

— Szczęśliwi, którzy w pokoju i radości serca wieć mogą gniazda ro-  
dzinne i wprowadzać do nich oblubienice swoje!

— Ufam téż hojnej ręce Goryasza. Wyrabia on wonne maści i płyny,  
które pomocnicy jego rozprzedają po ulicach Rzymu i, zaprawdę, wierny ten  
wyznawca słodkiej nauki Hillela uczei przeciw tego, który, jeżeli przelewał  
krew, to tylko w obronie ziemi ojców naszych i pod hasłem Pana Zastępów...

— Ojcze! dlaczego pozwalasz, aby Mirtala sama jedna i w późnej porze  
dnia wracała z tamtej strony Tybru? POCO wysyłaś ją do Edomskiej ja-  
skini? Dlaczegoś ją nauczył mówić językiem wrogów?

Tym razem Menochim usłyszeć i odpowiedzieć musiał, bo Jonatan,  
schylony, silnie pociągnął go za suknię i wlepił w niego oczy, pałające  
gniewem.

— Synu mój!—odpowiedział łagodnie,— albowiem ja i ona nie zapracowu-  
jemy wspólnie na odzież i pożywienie nasze? A jakimże mógł-by być jój  
zarobek, gdybym ją na *Transtiberim*, jak ptaka w klatce, trzymał, a usta  
jój wobec obcych, pośród których żyjemy, niememi uczynił?

— Niechaj-by lepiej umarła z głodu i niema nazawsze została, niżeli...

Wstrzymał się, umilkł, patrzył na zmarszczki, okrywające twarz Meno-  
chima, na zmęczone, krwistą obwódka otoczone, jego powieki, na usta jego  
zwiędłe; umilkł; po chwili dopiero rzekł ciszej:

— Ojcze! nie odejdę ztąd bez Mirtali. Zabiorę ją z sobą, do Gallii za-  
wiodę, i tam, w bezpiecznym zakątku, uścielę sobie gniazdo ubogie, w którym  
ukryję ją od cudzych oczu...

Menochim myślał długo, wstrząsał głową, po chwili uroczystym głosem  
rzekł:

— Przyrzeczona ci od dzieciństwa, Mirtala, jest oblubienicą twoją. Uprowadź ją i zaślub, i niech błogosławieństwo Pana będzie z Wami i potomstwem waszém. Lękam się tylko...

— Lękasz się, aby obecność jój ucieczki méj nie utrudniła. .  
niech zginie ona lepiej u boku mego, niżeli...

I znowu wielkim wysiłkiem woli powściągnął się i umilkł. Po grubych zmarszczkach, fałdujących policzki Menochima, spływały dwie łzy.

— Sierocą będzie starość moja, jako cedru, od którego siekiera drwała odrabiała wszystkie latorośle jego...

Podniósł jednak głowę, zarumienił się, oczy jego strzeliły błyskawicą.

— Ale—zawołał— Pan w dobroci swojej dał mi pociechę nieprzebraną...

Dłoń jego opadła na pergaminy, stół okrywające.

— Z niemi—domówił ciszej—wytrwam do końca... niemi do chwili ostatniej służyć będę sprawiedliwości... Z nich biją promienie, które oświecą i ogrzeją dni mojej starości!...

— Pergaminy te, ojeze, były zajęciem i szczęściem twojem już przedtém, nim ztąd odszedłem. Ale co na nich kreślisz...

— Dowiesz się o tém jutro. Jutro, po raz piérwszy, przed ludzkim okiem całą duszę moję ukażę, a oko to będzie twojem...

Kilkaset tylko kroków oddzielało malutki domek Menochima od obszerniejszego niż wiele innych i pokaźniej wyglądającego mieszkania Sary. Wewnątrz mieszkania tego widać téż było dostatek, z zamożnością graniczący. W izbie obszernej, choć niskiej także i z ciemnymi, chropowatemi ścianami, wesoło paliły się dwie spore lampy, przy których światło trzy młode dziewczyny, wysmukłe, bladawe, z grubemi kosami zarzuconemi na plecy, z przywiązaną do przęsnicy, śnieżno białą wełną, wiły na wrzeczona cienkie nici, a dwaj poważni, brodaci mężowie, w długich *chitonetach* i ciężkich turbanach, nad wielką rozwartą księgą wsparci, wiedli ze sobą cichą, częstemi gestami rąk i głów ożywioną, rozmowę. Prządki były córkami Sary; twarze miały pogodne i, często uśmiechając się ku sobie, zamieniały się wesołemi szeptami. Jeden z dojrzałych mężów był Goryaszem, owym bogatym perfumiarzem i łagodnym Hillelistą, o którym wspominał Menochim, drugi—Symeonem, małżonkiem Sary, ojcem Transtiberańskiej synagogi, srogim i twardym zwolennikiem nauk Schamaja, mistrza zaciętej walki Izraela z obcemi narody. Dokoła ciemnych ścian stały drewniane ławy, stołki i skrzynie, tu i owdzie przyozdobione dość kosztownymi okryciami; stół, przy którym siedzieli dwaj mężowie, zasłany był cennym kobiercem wschodnim, w kącie izby połyskiwał srebrny, ciężki, siedmioramienny świecznik, otoczony misami, dzbanami i czarami z drogiego metalu. Wprawdzie nie było tu nigdzie, na ścianach, sprzętach ani w naczyniach, najlżejszego podobieństwa do czegoś, coby nazwaném być mogło dziełem sztuki: żadnego malowania, żadnych ozdób, żadnej nigdzie wesołej, wdzięcznej gry barw lub linii. Wszystko tu było surowe, poważne, monotonne, niemniej



przecież dostatnie i prawie bogate. W izbie tej panowała cisza, bo dziewczęta szeptały, a dwaj mężowie rozmawiali cicho, częste w rozmowie swęj czyniąc przerwy. W jednym tylko z jęj kątów, w pobliżu srebrnego świecznika, rozlegał się od chwili do chwili donośniejszy nieco wybuch młodzieńczego głosu, lecz milkł natychmiast, skoro tylko Symeon, jakby dla poskromienia wesołości, która go razila, zwracał w tę stronę twarz swą surową i chmurną. A jednak własny to syn jego, zaledwie dorastający młodzieniec, jedyny pozostały mu po zabiciu przez Rzymian starszego w murach Jerozolimy, rozmawiał tam z przyjacielem swoim, młodziutkim także synem Goryasza. W drugiej dopiero izbie, obszerniejszej jeszcze niż poprzedzająca, oświetlonęj we dnie maeleni, lecz licznemi okienkami, a teraz kilku jasno palęcemi się lampami, panował ruch i gwar wielki. W jak najlepszém możliwie oświetleniu, stało tam dwanaście krosien haftarskich, od których właśnie w tej chwili powstawały robotnice Sary. Były to kobiety różnego wieku, młodziutkie i stare już prawie, ale wszystkie ubogo odziane, ze stroskanemi, chudemi twarzami, córki lub matki ubogich widocznie i ciężko pracujących rodzin. Pomiedzy niemi, żwawa pomimo znacznej swęj tuszy, z rumianemi policzkami i bystrym, roztroprnym, energicznym wzrokiem małych oczu, mówiąc wciąż i gestykulując, od krosien do krosien przechodząc, uwijała się Sara. Jednym z robotnic udzielała ona pochwał, innym przygan i napomnień. Tu, dobrodusznie uderzając po ramieniu mizerną i bladą dziewczeczkę, zapytywała o zdrowie jęj dziada, biednego kochanego starca, który po mieście roznosił perfumy Goryasza. Tam, całując głośno pomarszczone czoło siwęj już kobiety, wołała z żartobliwym zachwytem :

— Ach! jakie to oczy! jakie to jeszcze u ciebie oczy, Miriam! Jak ty ten ładny kwiat dziś wyhaftowałaś! — Gdzieindziej przyrzekła wdowie jakiejs, że przez rok cały życie będzie dwoje jęj dzieci; a tam znowu ładnej dziewczeczce o błyszczącym naszyjniku, do wyrazu surowości nastrajając dobroduszne swe rysy, groziła, że odprawioną przez nią zostanie, jeżeli, tak jak dotąd, więcej myśleć będzie o przyozdabianiu się naszyjnikami i naramiennikami, niż o ćwiczeniu się w sztuce haftarskiej. Przytęm, z nadzwyczajną zręcznością i wprawą licząc asy i sestereye, dzienną ich płacę rozdawała robotnicom, które, odchodząc, całowały poufale twarz jęj, albo niskim ukłonein chyliły przed nią głowy i, przechodząc w milezeniu przez izbę poprzedzającą, stopniowo znikaly za drzwiami, na ulicę prowadzącemi.

Od lat kilkunastu już Sara kierowała haftarskim zakładem swym, w podobnie czynny i roztroprny sposób, a dostatek, napelniający mieszkanie jęj rodziny, z tej-to przeważnie pracowitości i zabiegliwości pochodził. Symeon, biegły niegdys w sztuce szlifowania i oprawiania drogich kamieni, oddawna już zarobkową pracę zaniedbał, oddając się całkiem prawie czytaniu i rozważaniu ksiąg potrójnie świętych, bo zawierających w sobie dzieje narodowe, ustawodawstwo i wykład religijnęj wiary Izraela. Ciało tylko jego w ścia-

nach tych przebywało, dusza ulatywała wciąż daleko, na Wschód, do miasta Jabuc, dokąd, po strasznych i ostatecznych klęskach Izraela, udali się najznakomitsi jego mężowie, na przekór wszystkim prawdopodobieństwom, naradzając się tam nad przechowaniem plemiennej i religijnej odrębności Izraelskiego ludu. I teraz także, kiedy Sara w izbie robotnic gasiła lampy, a potem, otwierając skrzynie, starannie wkładała w nie świeżo ukończone roboty i, z błogim uśmiechem na ustach, myślą liczyła ilość znajdującego się już w skrzyniach cennego towaru, Symeon donośniejszym nieco głosem i ze wzrastającym zapalem do Goryasza mówił:

— Z każdej litery świętych ksiąg naszych wyciągnąć korzec przepisów, które wypełniać będzie zmuszony każdy prawy syn Izraela. Oto zadanie *Beth-dinu*, mądrego zgromadzenia, które nad przyszłością naszą obraduje w Jabuc. Tak, Goryaszu! z każdej litery korzec przepisów! Ono-to, jako płot niewzruszony, odgradzą zewsząd Izraela od obcych narodów. Niech każdy czyn swój pełni inaczej i każdą godzinę życia swego przepędza inaczej, niż synowie ludów cudzych; a nie zmiesza się z nimi i nie utonie pośród nich, jak marna kropla w ogromie Oceanu. Z każdej litery korzec przepisów! a kotołwiek jednego z przepisów tych, najdrobniejszego choćby, wypełniać nie zechce, przekleństwo nań! przekleństwo srogie, nieubłagane, wykluczające go z pomiędzy żyjących, a ciało i duszę jego oddające na pastwę aniołów śmierci i pomsty! Dzieła tego dokonać zadaniem jest *Beth-dinu*, zasiadającego w Jabuc... dlatego-to dusza moja przebywa częściej tam, niżeli tu...

Goryasz trząsał zwolna głową, okrytą płowemi, siwiejącemi włosami, a na białej, drobnemi zmarszczkami pooranej twarzy jego malował się łagodny smutek. Po chwili wskazujący palec wyciągnął w górę i przyciszonym głosem mówić zaczął:

— Kiedy poganin pewien przybył do Hillela, prosząc go, aby mu wytłumaczył wiarę Izraela, Hillel odpowiedział: „Nie czyn bliźniemu twemu, czego nie chcesz, aby czyniono tobie.“ A mędrcom w Jabuc, na wykład wiary naszej, wkrótce już i lata całe starczyć nie będą...

— Nie czyn bliźniemu twemu, czego nie chcesz, aby czyniono tobie! — z goryczą powtórzył Symeon. — O, Goryaszu! Goryaszu! a jakoż nam przez obce narody uczynionem zostało!

— Grzesznemi są one zapewne — odparł Goryasz — lecz Hillel mawiał także: „Nie sądź bliźniego twego, zanim zważysz: co sercem i myślą jego kierowało.“

— Bliźniego! — zawołał Symeon — niech w tej chwili prawica Przedwiecznego w marny proch rozsypie kości moje, jeżeli kiedykolwiek Greka lub Rzymianina bliźnim moim nazwę!

Łagodny Goryasz żywym jednak ruchem ze stolka powstał.

— O, Symeonie! — zawołał — oby usta synów naszych nie powtarzały słów, które wyrzekłeś!



— Usta i serca synów naszych — krzyknął już prawie Symeon — z pokolenia w pokolenie powtarzać je będą; ale zaprawdę, Goryaszu, miękka nauka Hillela ciebie i podobnych tobie prowadzi wprost ku... odstępstwu!

Goryasz zarumienił się z razu gwałtownie i drżącymi ustami szepnął:

— Odstępstwo!... ja, ja... ku odstępstwu!...

Lecz wkrótce, wierny zasadom swoim, powściągnął gniew, uśmiechnął się pobłażliwie i, biorąc rękę rozgniewanego przyjaciela, a twarz do pałającej jego twarzy przybliżając, szepnął:

— Symeonie! ojcem synagogi naszej mianował cię lud... a Hillel mawiał: „Ten, kto pozwala gniewowi, aby go unosił, nie może nauczać ludu.“

Symeon ponuro nad pałającymi oczyma sięgnął krzaczyste brwi i, usiadłszy, zatopił dłonie w gęstwinie kruczonych, krętych, siwiejących włosów. W tejże chwili, Sara, która przyzwyczajoną była do sporu i utareczek dwóch przyjaciół, i nigdy w nich żadnego nie brała udziału, donośnym i wesołym głosem wezwała rodzinę swą na wieczerzę. Pośrodku izby stał długi stół, z gładko wyheblowaną deską z cyprysowego drzewa, obficie zastawiony misami i dzbanami, w których znajdowały się ciasta, harbuzy gotowane z mlekiem, ryby, silnie zaprawne cebulą, pierniki z maku i miodu smażone, lekkie i tanie gatunki win. Zastawa ta objawiała także panujący w domu dostatek, z gospodarską skrzętnością złączony. Po chwili, kilkanaście osób, przy wesołym świetle lamp i z gwarem przyjacielskich rozmów, stół ten obsiadło. Lecz za ledwie, po odmówionej przez Symeona modlitwie, ręce biesiadników wyciągnęły się ku misom i dzbanom, drzwi, wiodące na ulicę, otworzyły się cicho, i do izby weszła Mirtala. Wehoczącą powitał głośny okrzyk trojga dziewcząt, uprzejmy uśmiech Goryasza, ciekawy, choć nieśmiały, wzrok dwóch młodzieńców, i pieszczotliwe emoknięcie pulchnych ust Sary. Ale ona, roztargniona i milcząca, nie patrząc na nikogo, szybko przeszła dużą izbę, stanęła przed Sarą i, obie dłonie na ramionach jej opierając, schylona, długo jej coś na ucho szeptała. Sara, słuchając, szeroko otwierała swoje małe oczy, wydawała urywane okrzyki, bladła i rumieniła się naprzemian; aż gdy dziewczyna szeptać jej do ucha przestała i wyprostowała się, klasnęła w pulchne dłonie, zerwała się ze stolka i, wyciągając ręce do obecnych, krzyknęła:

— Słyszycie! słyszycie! co ta dziewczyna mi powiedziała! Ach! co ona mi powiedziała! Jonatan przyszedł! Jonatan znajduje się w domu ojca swego, Menochima! Jonatan, który poszedł był tam... razem... z moim Enochem...

Enoch, był to ten syn jej pierworodny, który na polu bitwy zginął... tam! Usłyszawszy o powrocie Jonatana, kobieta tylko o synu swym pierworodnym wspomniała, i z twarzą w dłoniach, rozplakała się rzewnie. Ale wieść, przez nią ogłoszona, na wszystkich obecnych silne i różnorodne wywarła wrażenie. Symeon powstał szybko i wymówił z cicha:

— Jonatan... towarzysz Enocha mego!

I w ponurém oku jego błysnęła łza, niby krótka, męzka odpowiedź na długi, niewieści płacz Sary. W zamian, błękitne, łagodne oczy Goryasza zapaliły się iskrami.

— Jonatan! słodkie pachole, którego w lwa zamieniła miłość ojczystej ziemi!

Dwaj młodzieńcy powstali i z pałającymi twarzami przybliżyli się do Mirtali; poskoczyły też z siedzeń swych dziewczęta i, pobrzękując dzwonkami, zdobiącemi ich sandały, otoczyły rówieśnicę wieńcem ramion i zarzuciły ją gradem szczebiotliwych pytań. Sara, płacząc jeszcze, bezładne też pytania zadawała Mirtali. Młodzi chłopcy wołali:

— Pragniemy zobaczyć go! chcemy go słyszeć!

Goryasz, pomimo dojrzałego wieku swego, żywy, i którego łagodność naiwnym niekiedy czyniła, mieszał też głos swój ze szczebiotem niewieści i młodzieńczym. Gwar nietylko nie ustawał, ale zwiększał się, gdy niecierpliwy Symeon surowym i nakazującym głosem zawołał:

— Uciszcie się! Niewiasty, pozamykajcie gadatliwe usta! Pacholeta, ustąpcie na stronę! Języki wasze podobne są do młynów, a głowy do pustego pola, z którego wiatr ciekawości zmiata ziarna rozumu!...

Głosu ojca rodziny, tego srogiego głosu, który nie znał pieszczoty ani śmiechu, usłuchali wszyscy. Wśród ogólnego milczenia, Symeon zapytał Mirtali, z czém przybywała i czego żądała? W ogniu rumieńców cała, ze spuszczonei oczyma, bo nigdy jeszcze nie ośmieliła się spojrzeć w twarz Symeona, Mirtala poselstwo swe opowiedziała. Symeon, po chwilowym namyśle, zwrócił się do żony:

— Saro, daj dziewczeczce wszystko, co najsmakowitszego i najposilniejszego w domu swym posiadasz... Naléj do dzbana najlepszego wina, wyjm ze skrzyni pościel najmniejszą... Niechaj posili się i spocznie obróca Syonu... towarzysysz Enocha.

Potém do Mirtali rzekł:

— Powieźd temu, który dziś nawiedził progi wasze, (niech błogosławieństwo Pana towarzyszy każdemu krokowi jego i każdej chwili jego życia!) że pojutrze, wnet po zachodzie słońca, zwołane będzie do domu modlitwy Moade-El Święte Zgromadzenie najlepszych członków Kehili (gminy), któremu bojownik i wędrowiec boje i wędrowki swe opowiadać będzie. A teraz weź to, co w ręce twoje włoży Sara, i odejdz w pokoju!

Wkrótce Mirtala była już z powrotem w ojcowskim domu i, stawiając na stole misy i dzbany, któremi Sara nietylko ją, ale i jedną z córek swych obciążyla, usługiwała dwom mężczyznom, pogrążonym w milczącej zadumie. Po pierwszych wybuchach powitania, po pierwszych krótkich i urywanych zwierzeniach, Jonatan umilkł. Znać w nim było znużenie wielkie, na długie rozmowy nie pozwalające, lecz nie przeszkadzające myślom męczyć dalej zmęczoną już głowę. Uważnie, uparcie przypatrywał się wszystkim kątom



małej izby, i widać było, że wspomnienia dzieciństwa i pierwszej młodości strugami były do pamięci jego, że w sercu jego dwie przeszłości, całkiem do siebie niepodobne, walczyły z sobą, dobijając się o pierwszeństwo. Menochim mileżał także i wpatrywał się w przybranego syna z czułością i niepokojem. Mirtala podała im misę z wodą, którą omyli sobie ręce, a potem misy z potrawami i dzbany, z których do glinianych kubków nalewano wino. Jonatan przestał przypatrywać się izbie i zaczął ścigać wzrokiem każde jój poruszenie. Teraz, gdy ochłonęła nieco ze wzruszeń, wieczoru tego doznanych, a gorliwie i cicho krzątała się około stołu, ktoś, znający ją przedtém, dostrzedz mógł-by zaszła w niej zmiany, subtelne, lecz nadające jój pozór, dziwnie z otoczeniem jój niezgodny. Niedawno jeszcze, każdy poznał-by w niej od razu Izraelitkę, mieszkankę żydowskiej na Transtiberim dzielnicy; teraz, w ruchach jój, postawie i nawet w wyrazie twarzy było coś, od czego wiał inny świat jakiś, coś, niby echo dalekiej jakiejś muzyki. Ogniste kędziorzy jój, splecione dawniej w gąszcz nierozwikłany i ciężkim wieńcem otaczające jój głowę, teraz spływały na szyję jój i plecy w jedwabistych, spokojnie falujących zwojach. Spłowiła suknia jój układała się w fałdy nieruchome, w malownicze węzły spletał się jój u stanu pas, wyszyty w jaskrawe palmy; a gdy prosta i lekka, cichą stopą przebywając izbę, w podniesionej ręce niosła dzban z czerwonej gliny, dziwnie podobną była do tych postaci greckich i rzymskich dziewic, które, z marmuru ukute, zaludniały place i portyki Rzymu. Jak we wnętrzu posągów, spokojnych i białych, zdaje się gorzeć ukryty, a źródłem czaru ich będący, ogień namiętności, tak po bladawej, mileżącej jój twarzy, grały i migotały błyskawice bliższej burzy uczuć. I jak oczy posągów zdają się nieruchomo tkwić w nieskończoności, tak jój źrenice, głębokie i zadumane, po-przez wszystko, co ją otaczało, patrzyły kędyś daleko...

Jonatan jadł mało. Długa nędza odzwyczaiła go od obfitego używania pokarmów. Lecz, niosąc do ust czerwony kubek z winem, zatrzymywał go przy bladych wargach i, wzrokiem płonąącym wśród ciemnych kół, otaczających powicki, nieustannie ścigał Mirtalę. Gdy po ukończeniu wieczerzy otworzyła ona wążkie, niewidzialne prawie drzwiczki, i zniknęła na ciemnych schodkach, wiodących do izdebki, znajdującej się na górze i mającej być mieszkaniem Jonatana, zwrócił się on do zamyszonego Menochima.

— W dzieweczce — rzekł — czuję coś obcego... Rzym wieje od niej.

Menochim odpowiedział:

— Dobrą jest, uległą i pracowitą. Nigdy. przez nią nie zapłakało oko moje. Sara uważa ją za pierwszą swoją robotnicę. Będzie ci ona żoną wierną, niewiastą, która buduje dom męża...

Po chwili milczenia, wstając, Jonatan rzekł:

— Powieźd jój, ojcze, aby nie odchodziła ztąd nigdzie. Moją jest. Nie zostawię jój tu za żadne skarby świata. Minał dzień krwi i tułaczki. Pożą-

dam dnia radości. Mirtala żoną moją zostanie i powiodę ją do Gallii, aby tam była ozdobą życia mego.

Wkrótce potem cicho i ciemno było w domu Menochima. Na tarasie, za trójkątną przybudówką, co mieściła w sobie górną izdebkę, zakryty ścianą przed wzrokiem tych, którzy-by wczesnym rankiem przechodzili ulicą, Jonatan leżał na miękkiej pościeli, przez Sarę mu przyslanęj, i z twarzą zwróconą ku nocnemu niebu, szeroko otwartemi oczyma wpatrywał się w gwiazdy. Usta jego poruszały się od chwili do chwili, jakby modlił się, lub z kimś niewidzialnym rozmawiał. Raz głośniej nieco wymówił:

— Panie Zastępów! czemuś nas opuścił?

W tej samej chwili, cicho otworzyły się drzwi domu, i na zmrok nocy wysunęła się z nich szczupła niewieścia postać. Kamień duży leżał w bliskości progu; usiadła na nim, wciągnęła w pierś ciepłe powietrze, wzruszane rzeźwiami podmuchami wiatru, ale twarzy nie podniosła ku niebu, owszem, schyliła ją nisko i ukryła w dłoniach.

— Biedny on, biedny! biedni oni! — szepnęła.

Myślała o Jonatanie i Sarze, oplakującej zabitego syna, o ponurym Symeonie, łagodnym Goryaszu, o dwóch młodzieńcach, którzy dziś, na wieść o przybyciu obrońcy Syonu, takie wzburzone mieli twarze i żalzone oczy.

— Biedny on! — powtarzała — zczerniały od nędzy, ze zbielełemi usty! Biedni oni wszyscy, smutkiem, ubóstwem i gniewem trapieni! biedni my wszyscy!

Podniosła twarz smutną i, osłupiałym wzrokiem wpatrując się w mroczną przestrzeń, pod dotknięciem jakby wspomnienia jakiegoś, drgnęła.

— Powiedział: „Przyjdź jutro do portyku!“ A ja... nie przyjdę! O, Artemidorze!



## V.

— Artemidorze! Artemidorze! dokąd tak śpiesznie dążysz? I tak samotnie, w towarzystwie jednego tylko Heliasa swego! Gdzież są weseli przyjaciele twoi? czy opuścili cię twoi uczniowie i wielbiciele?

Tak brzmiał donośny i piskliwy, jakkolwiek wykwintnym akcentem wielkiego świata przyozdobiony, niewieści głosik.

Było to na ulicy, która, wypływając z pod bramy Ostyjskiej, staczała się po pochyłości Awentynu, ku wysokiemu łukowi Germanicusa i przeświecającemu za nim szlakowi rzeki. Na rzece, z pod arkad łuku widać było most, łączący Awentyn z Janikulskiem wzgórzem, u którego stóp, nisko przy ziemi, szarzała i mrowiła się żydowska dzielnica. Długi rząd wykwintnych domów i arkad z towarami oddzielał ulicę tę od rynku rybiego, którego gwary i swędy przylatywały tu z powiewami wiatru. Ulica to była piękna jeszcze, zwierciadłem stwardniałej lawy zasłana, w dwie kosztowne niby klamry bramy Ostyjskiej i łuku Germanicusa ujęta, z bazaltowymi chodnikami, pełnemi przechodniów dostatnio ubranych; lecz czuć tu już było bliskość części miasta ubogich, handlarskich, ciasnych i cuchnących. Z pod wysokich sklepień bramy Ostyjskiej wypłynęło na ulicę towarzystwo, złożone z kilku wystrojonych i wyperfumowanych mężczyzn, a na którego czele biegła raczej, niż szła, żwawa i zgrabna Kaja Marcya, dogonić usiłująca wysmukłego mężczyznę w białej tunice, za którym postępował jeden tylko młodziutki chłopak, w grecki *chiton* przybrany. Środkiem ulicy, kilku lektykarzy niosło, połyskującą ozdobami, lecz pustą lektykę. Kaja Marcya wolała chodzić po mieście pieszo, bo tym sposobem łatwiej zatrzymywać się mogła we wszystkich bramach i portykach, pod wszystkimi łukami i arkadami miasta, aby tam patrzeć, słuchać, podśluchować, chwytając po drodze znajomych i nieznajomych, wabić i pociągać

ku sobie urokiem niebrzydkich jeszcze oczu i pustej, ale wesołej paplaniny, młodych i niemłodych próżniaków, których ilość znaczna, czas pozostający od wizyt, uczt i łaźien, przepędzała na otwartém powietrzu i bezmyślném zbijaniu kosztownych bruków miasta. Dziś Kaja miała na sobie suknię, bogato naszytą haftowanemi szlakami, i mnóstwo bursztynów na pół-odkrytej piersi i ramionach, w uszach i włosach, które, przed kilku dniami rude, dziś, nagle, stały się czarnemi. W czarnych lokach było jęj daleko więcej do twarzy, niż w rudych, i kiedy Artemidor, na dźwięk imienia swego, zatrzymał się pośród chodnika, ujrzał przed sobą kobietę wcale ładną, niezmiernie ożywioną, zalotnemi oczyma błyskającą i giestykulującą rękoma białemi, na których błyszczwały drogie pierścienie. Od otaczających ją mężczyzn wionęła na niego silna woń perfum. Utrefieni, w suknie barwiste ustrojeni, z blademi, zmęczonemi, pół-znudzonemi a pół-rozswawolonemi twarzami, powitali go oni chórem uprzejmych, wesołych okrzyków. Jeden z nich mówić zaczął wierszami, ale Kaja, jedną ręką trzymając srebrny łańcuszek, na którym prowadziła za sobą nieodstępnygo pieska swego, drugą, giestem poufałym, opuściła na ramię malarza.

— Dokąd, mistrzu, w tęg porze i w tęg miejscu?

— Pora i miejsce to tęgimi samemi są dla mnie i dla ciebie, Domina — śmiejąc się, odrzekł malarz.

— Na Dyanę, w której świątyni przepędziłam dzisiejszy poranek, wymijającą dales mi odpowiedź! Chcę wiedziēć, dokąd idziesz?

— Na Janikul, do ogrodu Cezara...

— Za godzinę słońce już zajdzie. Czy zamierzasz przechadzać się w ciemnościach nocnych?

— Zamierzam malować noc, spuszcającą się na kwiaty, tak, jak nie-łitościwa starość spuszcza się na lica niewieście...

Towarzysze Kai parsknęli śmiechem; jeden z nich wierszami znowu pochwalił złośliwy dowcip malarza, Kaja zaśmiała się także.

— Otoż dociąles mi! — zawołała. — Nic to; gniewać się na ciebie nie będę, bo jesteś najpiękniejszym młodzieńcem w Rzymie, i w dodatku, muzy mściły-by się na mnie, gdybym ci co złęgo uczyniła. Dlaczego jesteś dziś tak samotny? Helias jest ślicznym chłopcem, ale towarzystwo jego wystarczyć ci nie może. Pójdź z nami. W Ostyjskiej bramie spotkaliśmy przekupnia, który uraczył nas zamrożoném mlekiem i wybornemi ciastkami, nadziewanemi pasztetem z ptasich wątróbek. Teraz dążymy do świątyni Junony, gdzie na intencją pewną zawiesić mam serce, ulane ze złota i przyozdobione najpiękniejszym z moich szmaragdów. Będzie to ofiara, godna bogini, do której szczególnie uczuwam nabożeństwo. Potém, Artemidorze, wsiądę do lektyki mojęj i poniosą mnie na Marsowe pole, bo pałam ciekawością ujżenia przygotowań, które czynią tam do Appolińskich igrzysk. Pójdź z nami!



Wesołość Artemidora zmieniać się zaczynała w znudzenie. Roztargniony, kędyś w stronę mostu poglądający, odrzekł:

— Nie, Domina; szukam dziś samotności; z tobą przestając, znalazł-bym się w towarzystwie całego Rzymu.

— Znown dociąłeś mi, niepoprawny! Nie pierwszy to raz do zrozumienia mi dajesz, że plotkarką jestem. Powiem ci zato parę wiadomości, które pewno zmartwią cię tyle, ile mnie cieszą pojutrzejsze igrzyska. Czy ty chociaż o igrzyskach tych wiesz cokolwiek? Na polu Marsowém zobaczymy tańce trojańskie; tak, trojańskie tańce, wykonywane przez kwiat młodzieży naszej, którą dowodzić będzie sam przepiękny Tytus. Umieram z ciekawości i lecę, aby zobaczyć, jak budują trybuny i loże... Podobno osobna loża wzniesioną będzie dla Bereniki i dworu jój... Powiadają, że po skończeniu igrzysk, Berenika laurowy wieniec włoży na głowę Tytusa, a w tój samej chwili ogłoszoném zostanie ludowi małżeństwo przyszłego Cezara z... Żydówką. Czy my naprawdę doczekamy tego, że Cezarowie nasi żenić się będą z kobietami Wschodu?... Ale o tём wszystkiém: sza! bogom wszystko wolno... Ja na igrzysko patrzeć będę z loży Cestysusa...

— Zapominasz, Domina, że winną mi jesteś zemstę—przerwał Artemidor.

Zaledwie przypomnieć sobie mogła to, co mówiła przed chwilą.

— Tak, na mściwą Junonę! — z wybuchem śmiechu zawołała. — Docinałeś mi dziś bez litości starością i plotkarstwem, muszę cię w zamian zmartwić.

Wspięła się na palce i, wciąż wspierając dłoń na ramieniu malarza, tajemniczo szeptać zaczęła:

— Przyjaciele twoi niech będą ostrożni. Zły wiatr wieje nad domem Helwidysusa i Fanii, i nad głową tego starego nudziarza, Muzoniusza, którego, niech zginę, jeżeli wiem, dlaczego filozofem nazywają, bo popelnianie szaleństw jest jego udziałem. Jeżeli Pretor nie osądzi sprawy Karusa i Argentaryi tak, jak się Domicyanowi podoba,... nie ręczę, czy koniec miesiąca tego ujrzy go jeszcze w Rzymie. Wiem o tём od Cestysusa, który wie wszystko... Syn Cezara!... Karus jest ulubieńcem syna Cezara! Czy twój Pretor oszalał, że ciągle sprzeciwia się tym, którzy w dłoniach swych dzierżą pioruny ziemskie? Muzoniusz znowu prawił coś publicznie o starodawnych dyktatorach, co, gdy tylko niepotrzebnymi już byli, składali władzę w ręce ludu, który ich nią obdarzył. Wszyscy zrozumieli, komu-to dociąć chciał Muzoniusz. On i Dyonizyusz z Pruzyi, i wielu jeszcze głupców myślą, że krzykami swemi zmio-tą z pallatium następców Augusta... Przyjaciele twoi, Artemidorze, są kupa szaleńców...

Tu wspięła się wyżej jeszcze i ciszej szepnęła:

— Na stole Wespazyana oddawna już leży edykt, skazujący na wygnanie wszystkich waszych filozofów, pod których płaszcami oddychają Manliusze i Brutusowie. Dobry Cezar z podpisaniem jego waha się jeszcze, ale... la-

da sposobność... A co? czy nie zemściłam się nad tobą? Piękne oblicze syna muz zciemniało, jak noc burzliwa!...

Jak noc istotnie zciemniała twarz Artemidora, przed chwilą jeszcze śmiejąca się niedbale i przyobleczona wyrazem żartobliwej niecierpliwości.

— Dostojna Kajo! — ozwał się ten z towarzyszy gadatliwej kobiety, który przedtém przemawiał wierszami — jeżeli przy świetle dzienném chcesz dziś jeszcze zobaczyć pole Marsowe...

— Ależ chcę, Marcyalu, pałam tą chęcią... Masz słusność, Marcyalu, spóźnię się najpewniej... Żegnam cię, Artemidorze! Czy słyszałeś o tém, że nazajutrz po trojańskich igrzyskach Cezar wydaje wielką ucztę dla ludu?... Wino lać się będzie strugami... najprzepyszniejsze mięsiwa, mnóstwo skoczków i kuglarzy, wystawa osobliwości na Forum... Lud obżerać się i bawić będzie... Żegnam cię, Artemidorze! Nie wiesz jeszcze pewnie o tém, że Domicyan nie otrzymał dowództwa wojsk, wychodzących przeciw Allanom, i niepowodzenie to przyprowadza go do wściekłości... pociesza się tylko Longiną, ukradzioną Lamii... Dziwy nad dziwami! Lamią, zamiast rozpaczać po tój niewiernój, rzucił się w orgie, w których dotąd nie widywano go nigdy... Żegnam cię, Artemidorze! Czyś słyszał o tój kobiecie z Lukanii, która powiła dziecko z czterema głowami? Fatalny prognostyk! Fatalniejszy jeszcze, niż ta ognista kula, którą widziano, spadającą nad Wejami...

— Kajo Marcyo! — przerwał znowu najpoufalszy z towarzyszy jój, poeta Marcyalis — zamknij na chwilę usta swe i wsiądź w lektykę, jeżeli nie chcesz ściągnąć na siebie gniewu Junony za niezłożenie jój ofiary twojój w dniu przyrzeczonym.

— Niech-że bogowie bronią mię od popełnienia przestępstwa takiego — zawołała kobieta, na której twarzy odmalował się przestрах istotny i, ciągnąc za sobą kudłatego pieska swego, pośpieszyła nakoniec do swój lektyki, którą lektykarze ponieśli ku wznoszącej się na pochyłości Awentynu świątyni Junony i za którą, uśmiechając się złośliwie lub wesoło rozmawiając, śpiesznie udali się utrefieni i wystrojeni próźniacy.

Lektyka Kai krzyżowała się w drodze z wielu innemi lektykami, a za każdą z nich postępowały większe i mniejsze orszaki, złożone z ludzi różnego wieku, stanu i strojów, a wszyscy tym swoim pochodem składali hołd szacunku lub dowód przyjaźni temu, którego niesiono w lektyce. Zresztą, jak zwykle w porze zachodu słońca, ruch na ulicach Rzymu ustawać zaczynał; większość bowiem mieszkańców miasta znajdowała się już w ścianach domowstw i zasiadała do głównego dziennego posiłku. Zamrożone mleko i pasztet z ptasich wątróbek, które Kaja Marcyu naprędce spożywała w Ostyjskiej bramie, stanowiły *prandium* (podwieczorek), po którym oczekiwała ją jeszcze kędyś obfita albo i świetna *coena*, czyli wieczerza. Dnia tego zresztą nie miała już ona zobaczyć przygotowań do igrzysk trojańskich, dokonywających się na Marsowém polu, bo wieczór zbliżał się szybko, a lektyka jój, w drodze



do świątyni Junony, zatrzymała się raz jeszcze, i z za podniesionej franki jej wychyliła się głowa kobieca, ubrana w bursztyn, i z przywołanym przechodniem jakimś długą zagaiła rozmowę.

W złotych i różowych blaskach nadchodzącego wieczoru, w przycichających gwarach rybiego rynku i mrowiącej się za rzeką żydowskiej dzielnicy, u końca ulicy, wypływającej z pod Ostyjskiej bramy, w tej chwili pustej już prawie, Artemidor zatrzymał się i stanął, plecami oparty o rzeźbione gźemsy łuku Germanicusa, twarzą zwrócony ku miastu, u którego szczytu, w przeczystem powietrzu, pałające światła waleczyć zdawały się z przezroczytymi cieniami. Nicopodal, pod ciemnym sklepieniem łuku zatrzymał się też i stanął Helias, młodziutki sługa o greckich rysach, długich jedwabistych włosach i przenikliwych oczach, jedno z tych chłopiąt pięknych, starannie uczonych, przebiegłych i zręcznych, które posiadać musiał w domu swym każdy wykwintny Rzymianin, i które u boku panów swoich pełniły czynności podezranych, deklamatorów, czasem trefnisiów lub szpiegów, częściej powierników, posłów, kochanych i pieszczonych ulubieńców domu.

Helias na służbie u Artemidora trefnisiem ani szpiegiem być nie mógł, lecz u stołu, w niewielkiej ale wykwintnej jadalni malarza, kołysał w rękach swych amforę łabędzich kształtów, i gdy ze srebrnego jej dzioba sorrenkie lub fabonyjskie wino lało się w rubiny kryształowej czary, srebrny głos swój łączył z cichym dzwonieniem płynu, pół deklamując, pół śpiewając poezye greckie. Nieraz też, od lat już kilku, panu swemu, wiodącemu swobodny i rozkoszny żywot słynnego artysty, służył on za powiernika i posła w miłosnych przygodach, a nikt lepiej od niego nie umiał pokryjomu wręczyć tabliczki, opieczętowanej woskiem, młodziutkiej żonie bogatego starca; nikt gorliwiej i bystrzej nie strzegł domu, w którym pan jego pędził miłe godziny na umówionej schadzce. Wiedział on dobrze, co nastąpić miało, gdy malarz wymykał się starannie od przyjaciół swych i wielbicieli, a na samotną udając się wycieczkę, jemu jednemu tylko mówił: „Pójdź ze mną, Heliasie!”

W tej jednak stronie miasta nigdy jeszcze z panem swoim nie był. Czyżby Artemidor naprawdę dążył do ogrodu Cezara, którego gęsta zieleń okrywała część Janikulskiego wzgórza? Być może, iż czeka tam na niego bogata Fulwia, którą opuścił był przed rokiem, a która go ku sobie dotąd jeszcze przyzywać nie przestawała, albo tancerka Higarya, Andalużka ta z wulkanicznym okiem, której portret, niedawno, w postawie lubieżnie w tańcu przegiętej, z rozwianym włosom i *sistrą* w podniesionej ręce, na ścianie sypialni swój sam wymalował? Któż zresztą zgadnąć może, z kim spotkać się, jakiej przyjemności użyć zamierza w ciemniącym ogrodzie, ten, którego usta tak świeże są i śmieją się tak często, którego serce napawa się naprzemian wzniosłą pięknnością sztuki i czarami ziemskich, upalnych rozkoszy? Lecz dlaczegoż stanął on w cieniach pysznego łuku i, bez śladu uśmiechu na zamysłonej twarzy, zapominać zdawał się o celu swjej wycieczki?

Celem wycieczki jego nie był wcale ogród Cezara, tak jak o tём powie-  
dział kobiecie, zarzucającęj go natrętnemi pytaniami. Przedpołudniowe godzi-  
ny spędził on dziś w Awentyńskim portyku, kwiecistą girlandą, którą go przy-  
ozdobił, z upodobaniem i zapalem spinając postać Eraty, muzy poezyi lek-  
kiej i miłośnej, w bluszcze owiniętej, ze złotą lirą w dłoniach. Pomimo zapa-  
łu i rozkoszy, jakimi przejmowało go, wypływające z pod pęzla jego, białe  
oblicze bogini, od chwili do chwili spójrzenie jego spadało w dół i błędziło śród  
kolumn portyku. Piérwszy to raz w życiu swém nie spostrzegwał kogoś, kogo  
ujrzeć pragnął; piérwszy raz ktoś, kogo przyzwał do siebie, nie przybywał. Nie-  
przyzwyczajony do przeciwności i zawodów, niecierpliwił się, i było coś dzie-  
ciniego w gniewnym giescie, jakim paletę i pęzel rzucił na ręce uczniów swo-  
ich, a ponsowe usta ułożył w zarys wzgardliwy. Wcześniej, niż zwykle,  
przerwał robotę, i w otoczeniu liczném, a po drodze wzrastającém, udał się  
do łazien, gdzie długo i zawzięcie w marmurowym basenie, zimną wodą napeł-  
nionym, używał przyjemności pływania, a potem, w *Elaethecium*, czyli sali  
perfum, przeciw zwyczajowi swemu, gburowało zgromił posługacza, że go na-  
zbyt obficie namaścił był wonnemi płynami. Brzydził się modą zbytecznego  
perfumowania się, i do sali perfum wchodził tylko dla zaprawienia wonią fioł-  
ków kruczych swych włosów. Tym razem, roztargniony, pozwolił posługaczo-  
wi uperfumować się za wiele i, opuszczając łaźnię, wszystkich, którzy na *Ambu-  
latio*, dziedzińcu do przechadzania się, zaczepiali go przyjacielskimi powita-  
niami, obrzucił strzałami złośliwego dowcipu. Do poróżnionego z żoną Cestyu-  
sza, którego właśnie portyk za ogromną malował zapłatę, a który, z wysoko-  
ści bogactw i przydworknego stanowiska swego, witał go wspaniałym giestem,  
zawołał:

— Jakże powodzi się dostojnej Flawii, małżonce znakomitego Cestyusza?  
Odkąd judejscy czy chaldejscy bogowie zajmować ją zaczęli, Rzym widzieć ją  
przestał!

Karusowi, najbliższemu przyjacielowi jednego z synów Cezara, rzekł:

— Młodym jesteś, Karusie, a śmierdzisz perfumami, jak stara zalotnica!

Ze Stelli, bogatego próżniaka, bawiącego się poezją i skupowywaniem  
dzieł sztuki, zaśmiał się:

— Czy od wczoraj, Stello, ułożyłeś chochy kilka złych wierszy? A Axiusz,  
ten handlarz z Sabury, czy oszukał cię znowu, sprzedając ci za wielką cenę  
wyrób ostatniego partacza za arcydzieło Mirona lub Praxitela?

Obrażeni wzruszali ramionami, lecz w milczeniu połykali złośliwe przy-  
gryzki malarza.

— Zdaje się — wyrzekł Cestyusz — że, po Cezarze i synach jego, arty-  
ści są w Rzymie ludźmi, którym najwięcej wolno. Innemu nie uszły-hy na  
sucho zuchwalstwa, jakich się on dopuszcza. Ale tego młokosa karząc, obra-  
zili-byśmy muzy, których jest wybrańcem...



— I oburzyli-byśmy przeciw sobie wszystkich, którzy w Rzymie przepadają za sztuką malarską... — dodał Karus.

— Za obrazę, jemu zrzadzoną, kobiety rzymskie podniosły-by bunt, jak wtedy, kiedy im Katon złote naramienniki nosić zabronił— owijając się w jedwabną suknię z szerokimi rękawami, i miękko układając się na sofie, dokończył biały, ładny, leniwy Stella.

W domu pretora Artemidor długo rozmawiał z Fanią, której opowiedział krzywdę, wyrządzoną wczoraj Mirtali przez garderobianę jej, Egipcyankę Chromią. W godzinę potem, Chromia, zagrożona straceniem jej na niższy szczebel domowej posługi, podniosła wielki krzyk żalu i złorzeczeń, na który jednak nikt nie zważał, bo ważniejsze stokroć sprawy zajmowały rodzinę pretora. W dniu poprzedzającym, Helwidysz, na ucztę w Pallatium, przy stole Cezara przemówił się ostro z ministrem skarbu, Klaudyuszem Etruskim, starym Syryjczykiem i wyzwolencem, który przebiegłym rozumem i wschodnią służalczą dosięgnął najwyższych zaszczytów dworskich, a płaski, giętki, korny, służył już siódmemu z rządu Cesarowi. Pomiedzy dworakiem tym a ojcem jeszcze Helwidysza, starym i nieugiętym republikaninem, istniała głucha nieprzyjaźń, która, raz wybuchnąwszy, skończyła się upadkiem i zgubą drugiego.

Do matki i żony Pretor z pokorą prawie mówił:

— Przebaczcie mi, że macę wciąż spokojność waszę. Powiniennem był milczeć, gdy podły Syryjczyk, schlebując Wespazyanowej namiętności, układał niemilosierne i niesprawiedliwe plany nowych podatków. Wszak wiadomo, że stanie się tak, jako lis ten doradza, ale poryweczy jestem i rozdrażniony. Nad głową moją czuję miecz Damoklesa. Jest nim sprawa Karusa i Argentaryi. A ten, kto pewnym nie jest, czy jutro jego białem lub czarnem będzie, gołębiem być nie może.

Teraz znowu słowa Kai Marcyi, wybornie zazwyczaj o wszystkiem zawiadomionój, potwierdziły obawy te, których pełnemi były dziś oczy Fanii, gdy na wzburzoną twarz męża swego patrzała. Artemidor, który po spożyciu w domu swym lekkiego *prandium*, rzekł do Heliasa, aby szedł za nim, i szybko, wesoło, znowu dążył ku Transtiberim, stanął u łuku Germanicusa i schmurzonem okiem wodził po przyozdabiających go rzeźbach. Rzeźby te przedstawiały bitwy i zwycięstwa, odniesione przez jednego z najczystszych i najszlachetniejszych bohaterów przeszłości rzymskiej. Czystości tej i szlachetności, sławy rozgłośniej i wielkiej w narodzie wziętości zazdrościł mu Tyberyusz, mądry ten, lecz okrutny władzca, który tysiącami krwawych ofiar utrwalił dzieło poprzednika swego, Augusta. Czy Germanicus, wcześniej umierając, padł ofiarą zawiści i podejrzeń jego? Czy istotnie trucizna przecięła mu w połowie piękną nić życia? Tak o tém, gdy Artemidor malém chłopięciem był, mówiła mu matka ze zgrozą w oku; w to wierzył on i teraz, patrząc na rzeźby, bogato okrywające wspaniale i wdzięczne zagięcia łuku,

który pomnikiem był wielkiego męża, zgubionego tak, jak zgubionymi może będą wkrótce ci, których imiona szeptały mu przed chwilą płoche usta Kai. Wkrótce może, tak jak niegdyś Agrypina, małżonka Germanicusa, Fania, z dalekich krain wygnania wracając, tu, w tym porcie Tybrzańskim, ze statku na ziemię rzymską zstąpi i w dłoniach, o zemstę wołających, wysoko wzniesie urnę z popiołami zamordowanego męża!...

Opuściła go w tej chwili wszelka myśl płocha. Szedł był z zamiarem szukania Mirtali, której twarz i postać daleko głębiej wryły się w jego pamięci i rzewniejsze budziły w nim uczucia, niż to kiedykolwiek było udziałem świetnej Fulwii i nawet prześlicznej, szalonej Higaryi.

Szedł, aby znaleźć ją i dowiedzieć się od niej, dlaczego nie przyszła, gdy on powiedział jej wczoraj: przyjdź! Ale teraz, po rozmowie z Kają, która odnowiła w nim wrażenie, dziś w domu Pretora doznane, i po myślach gniewnych, poważnych, obudzonych w nim przez przypatrywanie się rzeźbom, zdobiącym luk Germanicusa, gonienie za schadzka, jeżeli nie miłosną, to w miłosnym uczuciu przyczynę mającą, zdało mu się niepodobnym. Jednak, gdy spojrział na rój niskich, ciemnych domków żydowskiej dzielnicy, gdy w pierś mu zaleciał cuchnący zaduch, gęstą parą owijający stopy Janikulskiego wzgórze, oczy jego napełniły się wyrazem żalu. Szybkim ruchem wyjął z za sukni tabliczkę, oblaną stwardniałym woskiem, i złotym stylem pisał na niej przez chwilę, potem, spojrzeniem i ruchem głowy przywołał ku sobie Heliasa. Długowłose chłopię, znudzone i z niecierpliwione, przyskoczyło natychmiast i, zaledwie Artemidor z cicha do niego mówić zaczął, skupiona uwaga odmalowała się na pojętnej twarzy jego. Byстрым wzrokiem ściagał gości pana swego, który, wyciągnawszy ramię, wskazywał mu żydowską dzielnicę i jakieś śród niej kierunki i zwroty. Potem wręczył mu zapisaną tabliczkę.

— Widziałeś ją nieraz w portyku i w domu Fanii. Poznasz ją?

Greczynek potwierdzająco wstrząsnął głową.

— Znajdziesz ją?

Spojrzał wyzywająco i w drwiącym uśmiechu ukazał śnieżne zęby.

— Czekać cię będę w domu. Odpowiedź przynieś mi. Śpiesz.

Przed domem Menochima stało grono młodych dziewcząt, obejmujących się ramionami i z cicha, z ożywieniem wielkim, z sobą rozmawiających. Były to córki Sary, które, przysłane tu przez matkę dla dopomożenia Mirtali w sporządzaniu wieczerzy, pozostały jeszcze, trapione ciekawością zobaczenia Jonatana, albo przynajmniej dowiedzenia się szczegółów o tym niezwykłym człowieku i towarzyszu nieszczęsnego ich brata. Żółte i niebieskie suknie ich wesoło świeciły przy ostatnich promieniach zachodzącego słońca; czarne i rude kosy ocieniały szyje, połyskujące szklanemi naszyjnikami; dzwonki sandałów pobrzękiwały u ich stóp, niecierpliwie poruszających się. Jedna trzymała srebrny dzban, napełniony winem; druga zawieszała na ramieniu Mirtali bogato haftowany ręcznik do ocierania rąk po umyciu ich przed i po jedze-



niu; trzecia głaskała dłonią włosy towarzyszki, żywo opowiadając o krzątaniu, która od wczoraj w domu ich zaszła. Ojciec ich, Symeon, zajęty był całkiem zwoływaniem na jutro gminy do domu modlitwy, matka płakała i śmiała się z kolei, a im bezustannie rozkazywała dopomagać Mirtali w przyjmowaniu drogiego gościa. Szczebiotały długo i, u progu domu pozostawiwszy przyniesione przez się przedmioty, jak ptaki frunęły ku wznoszącemu się w pobliżu domowi Sary. Mirtala patrzyła za nimi chwilę, z uśmiechem, który na twarz jej z wesołych twarzy ich spłynął, aż zmieniawszy kierunek wejrzenia, jakby zdrętwiała, osłupiałym wzrokiem wpatrzyła się w kogoś, stojącego z przeciwnej strony ogrodzenia. Jakkolwiek w cieniu stojący, Helias zwrócił-by tu na siebie uwagę każdego, kto-by go spostrzegł. Greckie *chiton* zarówno niewidywanemi tu bywały, jak rzymskie togi. On zaś miał na sobie *chiton* z materyi, barwą swą przypominającą ametysty, a długie, kasztanowate włosy, miękką falą spływały mu aż do stanu, ocieniając twarz białą, delikatną, dziewczęcą. Trudno było-by zgadnąć odrazu, do jakiej plei należał; ale Mirtala poznała go przy piérwszém spojrzeniu. Widywała go i w portyku, i w domu Fanii, wiedziała kim był, komu służył i nawet jakie było imię jego. Zdziwienie, radość, trwoga, mieniły się na jej twarzy. Greczynek, gdy córki Sary zniknęły, bacznie rozejrzał się dokoła i, odrywając plecy od płotu, o który niedbale i na pozór leniwie opierał się dotąd, szybko przebył wązką i brudną uliczkę.

— Nakoniec, — zaczął, — rozleciały się przepiórki te, które tak długo szczebiotały dokoła ciebie, tym waszym dziwnym, brzydkim językiem. Nie mogłem przecież oddać ci przy nich tego, co ci przeze mnie przesyła pan mój, Artemidor.

Na dłoni jego ukazała się zapisana tabliczka. Podawał ją Mirtali, która chciała ku niej wyciągnąć rękę i wnet ją cofnęła. Drżała, a z twarzy jej krew cała zdawała się zuikać aż do kropli.

— Dlaczegoż cofasz rękę, jak-byś się tém oparzyć lękała? — Ciekawe oczy topiąc w pobludłej twarzy dziewczyny, z uśmiechem szeptał Helias. — Nie lękaj się; ręki nie spali ci pismo mego pana. Wéź i czytaj.

Wzięła, oczy utkwiała w piśmie i twarz jej okryła się wyrazem cierpienia.

— Nie umiem czytać latyńskiego pisma... Załedwie dosłyszalnie szepnęła.

Nie okazując zdziwienia, Helias zapytał:

— Chcesz, abym ci to przeczytał?

Po chwili milczenia, błagalnie odpowiedziała:

— Przeczytaj!

Chłopię bystrém spojrzeniem ogarnęło pustą w tej chwili uliczkę. Stali zresztą okryci nieco ścianą domu; przybliżył się więcéj jeszcze do Mirtali i z cicha, prędko, przeczytał:

— „Nie byłaś dziś ani w portyku, ani w domu Fanii. Czy zamierzasz może nie ukazywać mi się już nigdy? Przysłał-bym na to, gdybym nie żałował pięknej perły, tonącej w kałuży. Jutro, o zachodzie słońca, czekać cię będę u łuku Germanicusa. Przyjdź”!

Helias przestał czytać i oddawał jej tabliczkę, ale ona jej nie brała. Wyciągała po nią rękę i cofała ją. Nagle twarz w dłoniach ukryła.

— Nie mogę... nie mogę!...

Greczynek nie zrozumiał.

— Używaj słów łatyńskich, lub greckich, bo mowy waszej nie rozumiem. Co mam powiedzieć panu memu?

Odsłoniła twarz, pochwyciła pismo Artemidora i, z przerażeniem w oczach, znowu oddawała je Grekowi. Lecz on zasunął dłonie pomiędzy fałdy chitonu.

— Przyjdiesz? dlaczego nie odpowiadasz?

W ziemię patrząc, cicho, w rozmarzeniu, wymówiła :

— Czyż spragniona sarna może nie biedz ku leśnemu źródłu? Czy róża nie rozkwita, gdy z za chmur zaświeci słońce?

— Dziwnieś to powiedziała, ale odpowiedź twą zapamiętam i dosłownie panu memu powtórzę,—rzekł Helias, i powolnym, niedbałym krokiem, niby ciekawy przechodzień rozglądając się dokoła, odszedł. W końcu ulicy rozminął się ze starym żydem, w ciężkim turbanie i z twarzą zoraną, a tak zamyślnym, że nie spostrzegł go wcale. Był to wracający do domu Menochim. Wchodząc do niskiej, małej izby święj, zapytał:—Gdzie jest Jonatan?

Na głos jego, w kącie izby, z za krosien, szybko coś za suknią chowając, podniosła się z ziemi Mirtala i, zbliżywszy się do przybranego ojca, nisko schylona, do ręki jego płonące usta przycisnęła.

— Jonatan nie wrócił jeszcze z domu Goryasza, do którego udał się zaraz po odejściu twojem.

Gdy to mówiła, głos jej brzmiał żalem duszy błędzącej, lecz z błędem swym niemogącej rozstać się, jakby z życiem.

W godzinę potem, w cieniu krosien swych na glinianej podłodze siedząc, Mirtala wlepiała w twarz Menochima oczy, w które zbiegać się zdawały wszystkie siły pojęcia jej i uczucia. Ciężki turban z głowy zdjawszy, a bielejące włosy osłoniwszy małą okrągłą czapeczką, która nie zakrywała mu wysokiego, zoranego czoła, Menochim, przy świetle małej lampy, czytał głośno z rozrzuconych przed nim na stole kart pergaminu. Naprzeciw, z półcienia wychylała się ciemna i wynędzniała, lecz uważna i skupiona twarz na niskim stołku siedzącego Jonatana. Nad głowami dwóch tych ludzi mglił się dym, ulatujący z lampy; głos czytającego Menochima rozlegał się po izdebce. To, co czytał, było owocem dumań, marzeń i cierpień całego jego życia, dziełem, które w izdebce tej i u stóp gaju Egeryi pisał od lat już wielu. Jęki żalonne, krzyki rozpacz, błagania, wyrzuty i zapytania zwracane ku Bogu, bun-



ty przeciw samemu Bogu, mistyczne rojenia o rajskiej przyszłości, straszne pocieszania się złorzeczeniami, miotanemi na wrogów, fantastyczne sny i widziadła, przedstawiające wrogów tych w postaci orków wielogłowych, skrzydlatych rumaków, roznoszących klęski, mórz, wylewających na świat czarne i cuchnące wody, wszystko to składało się na ten ponury, konwulsyjny poemat, będący niczém inném, jak jednym z utworów tych, które, nosząc nazwę Apokalipsy, rojami w porze owój rozchodziły się po świecie.

Menochim był poetą, ale takim, jakiego wydać może tylko lud, mocujący się wszystkimi siłami z przedwczesną śmiercią, zgorączkowany od ran mu zadanych, szalejący w ucisku przemocy, i w szale swym śniący o rajach, potworach, cudach wybawienia i pieklach zemsty, od udręczeń swych uciekający w pijane konwulsyje przekleństw, albo w mistyczną krainę extazy.

Był on poetą. Ale zarazem był on człowiekiem chudym, bosym, w lachmany niemal ubranym, z ochryplym i piskliwym głosem w wązkiej, słabej piersi. Teraz, kiedy zdjął turban swój i gruby pas rozwiązał, zmniejszył się i zeszezupełił jeszcze. Ani powagi i wyniosłości wieszczą, ani piorunujących dźwięków proroka w postaci i głosie jego nie było. Kiedy w uniesieniu czytał, a raczej z pamięci wygłaszał najpotężniejszą strofę poematu swego, bosc jego stopy, nieszęgające ziemi, kołysały się i trzepotały w powietrzu, a chude ramiona dokonywały giestów, na których widok uśmiechnął-by się wzgardliwie najpośledniejszy mówca z tamtej strony Tybru. Wydawał się wtedy biednym, chudym ptakiem, konwulsyjnie bijącym w odarte z piór skrzydła. Kiedy zaś strofa żalosa była, błagalna, pokorna, ochrypli głos jego rozkwilał się i cieniał, chude ciało kołysało się w strony obie, drżące dłonie bezwładnie dotykały czoła, oczu, policzków, piersi. Podobnym wtedy stawał się do rozkwilonego, skarżącego się, ku piersi matczynj niedołączone ramiona wyciągającego, dziecka. I tylko, czy miotał się, czy kwilił, czy konwulsyjnie trzepotał w powietrzu boscemi stopy, czy wargom z łagodnym zarysem śmiesznie nadawał wyraz nienawiści lub grozy; na wzniesioném czole jego tysięczne zmarszczki wypisywały mnóstwo przesnutych marzeń, w źrenicach płonął ogień niewysłowionj tkliwości, a po sfaldowanych, żółtych, drgających policzkach, od czasu do czasu spływała powoli wielka, pod mdłym światłem lampki świecąca, łza.

Najpośledniejszy mówca z tamtej strony Tybru, patrząc na poetę tego i słuchając go, uśmiechnął-by się wzgardliwie. Ale pierś Jonatana dyszała głośno i śpiesznie, dłonie jego zczerniały, czerwonymi bliznami poznaczone, często szukały kolan ojcowskich, na które opadało, wzruszeniem spłoniome, czoło.

Mirtala wysunęła się także pod światło lampy, i nie u krosien już swych, ale u ściany, w pobliżu rozmawiających usiadła. Wysilenie myśli, głęboko coś rozważającj, malowało się w oczach jej wilgotnych, błyszczących i w Menochima, jak w tęczę, utkwionych.





JONATAN, PLECAMI KU DRZWIOM ZWRÓCONY, NIE WIDZIAŁ NIC,





— Imię twoje, ojcze, sławném i czezoném będzie wśród Izraela... — zawołał Jonatan.

Menochim przecząco wstrząsnął głową.

— Imię moje! — odpowiedział — nie, Jonatanie! Przed tobą jednym otworzyłem duszę moję i na ustach twych kładę pieczęć tajemnicy. Cóżem ja jest? Nieznany, ubogi, pogardzany. Któż mnie słuchać zechce? Ja chcę, aby każde słowo moje było dla Izraela kroplą balsamu i dzidą obrony. Dlatego wyrzeknę się chluby z dzieła mojego, ogłoszę ludziom, że jest ono spuścizną wielkiego naszego Ezdrasza. Temu, kto niegdyś, po wyzwoleniu z niewoli mniejszą srogiej, niż nasza, odbudował Syońską świątynią, wielkiemu skrybie, prorokowi czasów dawnych, łatwiej uwierzy lud i łatwiej od pieśni jego zapalać się i krzepić będzie, niż gdyby wiedział...

— Wyrzeczysz się więc chluby wszelkiej z dzieła, które było pracą całego życia twego?

— Nie żądam chluby wiodła ręką i sercem mojem — odrzekł Menochim, a po chwili, ze schyloną twarzą, splecionymi dłońmi i rytmicznie kołyszącą się postacią, pokornym, błagalnym głosem, niby modlitwę mówić zaczął: — Zamień mię, Przedwieczny, w cień nikły, w płomień dogorywający, w marne ziarno piasku! obym, Przedwieczny, stał się przelatującym powiewem wiatru, zeschniętym liściem, miotanym po pustych polach, obym zniknął i rozwiął się, jak biała mgła przed promieniem słońca, jak płowa kurzawa pod kopytem jeźdźca... Niech, o Przedwieczny! imienia mego z pokolenia w pokolenie nie wymówią żadne ludzkie usta, i na grobie moim niech pusty chwast z ciernistym przewija się głogiem; lecz z duszy mojej do duszy ludu mego przenieś choć jedną iskrę nadziei, z pieśni mej uczyn dla niego jedną minutę trwania, pracą mą otrzyj mu z oka jedną łzę boleści...

Drobne, dziewczęce dłonie wyciągnęły się z cienia i sięgały po opuszczoną na suknię rękę Menochima. Postawa Mirtali pokorną była. Zrozumiała wszystko. Wyciągnęła ramiona i już, już, obok Jonatana przychylić się miała ku jego stopom; gdy nagle cofnęła się znowu w cień i obie dłonie niepokojnie przycisnęła do piersi, tam, gdzie, za suknią ukryta, spoczywała cienka tabliczka, wypełniona pismem Artemidora; zarazem szepnęła cicho:

— Nazwał mię perłą, tonącą w kałuży... klejnotem najdroższym jest dusza ojca mego!

Nagle poskoczyła, z błyskawiczną szybkością stanęła pomiędzy Jonatanem a drzwiami i, miękki pas swój zrywając z siebie, rozpostarła go szeroko, niby płachtę, którą-by okryć się chciała. W szeroko otwartych oczach jej malowało się przerażenie. Przerażenie też wstrząsnęło ciałem Menochima, który, twarzą ku drzwiom siedzący, zarówno jak Mirtala, ujrzał w drzwiach, cichutko z zewnątrz uchylonych, zaglądną do izby głowę, rudemi włosami okrytą, i twarz żółtą, z małemi, świecącemi oczyma, bystro i ciekawie objęgięciami izbę. Jonatan, plecami ku drzwiom zwrócony, nie widział nic.



— Sen twój, Silasie, niespokojnym być musi, skoro w wieczornej porze zaglądasz do cudzych domów — z łagodnym szyderstwem rzekł Menochim.

Silas nie wchodził, i wciąż tylko przez drzwi uchylone głowę swą do izby wsuwał.

— Ty także czuwasz, ścierko Monobaza, a dziewczyna twoja pokazuje ci ze swym pasem sztuki kuglarskie. Gościa macie; widziałem go, idącego z domu Goryasza. Wydało mi się, że jest to przybysz ze stron dalekich i przyszedłem, aby go powitać.

Śmiertelna bladeść okrywała twarz Menochima. W dłoni swą kureczowo ścisnął suknię Jonatana, który uczynił ruch porywezy, jakby powstać i ukazać się zamierzał. Lecz w tejże chwili, po małej izbie rozległ się dźwięczny, srebrny, wesoly wybuch śmiechu. Mirtala, zwinnymi ramionami rozwijając wciąż i kołysząc w powietrzu miękka, haftami błyszczącą materyą, z głośnym, swobodnym śmiechem wołała:

— Przybysz z daleka! O, Silasie! nie poznałeś więc Judy, syna Goryasza, który przyszedł dziś, aby rozmową swoją rozweselić starego Menochima? Nie poznałeś więc Goryaszowego syna, którego włosy podobne są do piór kruczych? Idź do Edomity tego, który na Awentynie mieszka i chore oczy ludzkie leczy. Idź, Silasie, do Edomskiego lekarza, bo, gdy się spóźnisz, oślepniesz tak, że już i do swojej ulubionej oberży nie trafisz!...

W miarę jak mówiła, podniesiony głos jej słabnąć zaczynał. Lecz Silas nie miał delikatnego słuchu i, wyrzekłszy grube zaklęcie jakieś, głowę swą usunął z drzwi, które ze stukiem zamknęły się za nim. Za drzwiami czekała na niego gromadka ludzi, wśród których połyskiwały w cieniu srebrne pierścienie i naramienniki Egipcjanki Chromii i odznaczała się barczysta i wysoka postać Babasa.

— Nie wiem, nie widziałem; dyabelska ta dziewczyna zasłoniła go przede mną — do towarzyszy swych szepnęła Silas.

— Dlaczego-żeś nie wszedł, ośle syryjski? — krzyknęła Chromia.

— Dziękuję! Jeżeli nie omyliły mię oczy moje, krzywy nóż tego siepacza odesłać-by mi mógł bóstwom podziemnym...

— Dziewczyna może mówiła prawdę — ozwał się Babas, który podsłuchiwał był za plecami Silasa. — Widziałeś może Goryaszowego syna...

— Dał-bym sobie rękę uciąć, że był to ten, za którego wydanie władzom rzymskim mielibyśmy za co upijać się codziennie przez cały miesiąc. Niedarmo, patrząc na przekłętą poborcę i dom jego, oczu pożyczam od Argusa...

— Wytrzeszczaj-że drugim razem lepiej swoje psie ślepie! — gniewnie sarknęła Chromia — bo jeśli mi jakimkolwiek sposobem dziewczyny tej nie sprzątniesz, zamienię cię na Babasa, który oddawna już wzdycha do mnie... Głupia ze mnie dziewczka, że tak długo zgadzam się łaskami memi obdarzać takiego, jak ty, niedołęgę!...

Silas ponuro mruknął:

— Sprzątnięto-by ich rychło, gdyby się dowiedziano, że w budzie swęj przechowują zawziętego nieprzyjaciela Cezara i bogów!

Odeszli w kierunku oberży, z której zamkniętego wnętrza wymykały się przez szczeliny czerwone światła pochodni i stłumione dźwięki syryjskiej *sumbuki*.

W izbie Menochima ciemno już było i cicho.

---



## VI.

Nazajutrz niezwykle wrzenie napełniało całą zatybrzańską dzielnicę, najbardziej zaś tę jej część, którą zamieszkiwali Syryjczycy i Żydzi. We wrzeniu tém były dwa jakby prądy: jeden głośny, krzykliwy, wesoły; drugi przyciszony, głuchy, spodem płynący. Żaden z pomiędzy licznych Syryjczyków, zajmujących się zwykle noszeniem lektyk, wyładowywaniem towarów, wyrabianiem cegieł, w dniu tym nie udał się do zwykłej swój pracy, lecz wszyscy dokoła mieszkań swych i oberż zbierali się w gadatliwe i żywo giestykułujące gromady, do których przyłączała się znaczna ilość próżnującej zawsze gawiedzi ulicznej, obdartusów i łotrzyków, żywionych przez państwo, z dalszych części *Transtiberim* i nawet z przeciwniej strony Tybru, dziś tu napływających. Przedmiotem zajęcia całego tłumu tego, pstro i pół-nago wyglądającego, który, nie pozwalając mu pracować, gromadnie kupił go na ulicach i przed oberżami, było jutrzejsze święto Apollina i przygotowujące się na ten dzień igrzyska i zabawy. Igrzyska, był to wyraz, wywierający na nich wpływ czarodziejski. Burzył on im krew w żyłach, zapalał wyobraźnią i ciekawość, namiętną niecierpliwością zdawał się stopy ich odrywać od ziemi. Rozmawiali, krzyczeli raczej, kilku językami. Najrzadziej w miejscu tém odbywała się mowa łacińska, częściej brzmiały zepsute i z łaciną mieszane dyalekty greckie; górował nad niemi, pochłaniając je tu prawie, język syryjski. Wszyscy przecież rozumieli się wzajem wybornie.

Jeżeli pomiędzy ludźmi tymi różnego pochodzenia i właściwości zachodziły kiedyindziej częste i burzliwe niechęci, współubiegania się i starcia, dziś, w przededniu igrzysk, godzili się oni z sobą wybornie w jednych żądzeniach i oczekiwaniach. Sprzeczek wprawdzie nie brakło i teraz, ale przyjacielskich i rozwiązujących się spokojnie. Jedni wołali, że woleli-by o wiele

walkę gladiatorów w Amfiteatrze, albo wesołe i zmysły lechące pantominy w teatrze Balbusa czy Pompejusza, aniżeli te konne, rycerskie popisy szlacheckiej młodzieży, które odbyć się miały na Marsowém polu. Większość jednak tłumu, namiętnie, nad miarę, cieszyła się nadzieją ujrzenia tańców trojańskich, bardziej jeszcze przewodniczącego im Tytusa, syna Cezara, najbardziej tém, co koniec igrzyska przynieść miał z sobą. Imię Bereniki było na wszystkich ustach. Żaden z tych ludzi, najniższy szczebel społeczny zajmujących, nie widział nigdy z blizka królowej Chaleydy, téj najpiękniejszej kobiety Wschodu, która oczarowała Tytusa, którą Tytus jutro ludowi swemu, jako małżonkę swą, ma ukazać. Potém zresztą, od połowy dnia, odbywać się będą w cyrku Flamińskim gonitwy na wozach, a potém jeszcze, nazajutrz, wystawy osobliwości na Forum Romanum i placu Marsowym, i uczyt olbrzymie, przez Cezara zastawiane dla ludu.

Kiedy imię Bereniki, z ust do ust przebiegając, brzmiało na ulicach i placach przedmieścia, na dźwięk jego odwracali twarze swe, oczy w ziemię wlepiali i w ściślejsze zbijali się gromadki, ludzie w długich sukniach, grubych pasach i ciężkich turbanach, którzy dziś także w domach swych i przy swych zajęciach spokojnie pozostawać nie mogli. Byli to żydzi, niezwykle téż dnia tego wzruszeni i ruchliwi, lecz nie o jutrzejszych igrzyskach rozmowę wiodący. O czém gwarzyli, nie wiedziała gawiedź, z pstrój mieszaniny kilku plemion złożona. Mówili cicho, tajemniczo i, sprzecznie z rozweselonymi i pół-pijanymi już ludźmi, którzy ciągnęli ulicami lub otaczali oberżę, wydawali się bardziej zasmuconymi i niespokojnymi, niż zwykle. Ciche rozmowy ich, tajemnicze giesty, niespokojnie rozglądające się spójrzenia, stanowiły ów drugi prąd dzisiejszej na *Transiberim* wrzawy, ów prąd przyciszony, głuchy, spodem płynący.

Baczone ucho, które-by uważnie wsłuchało się w szmer prądu tego, dosłyszało-by, że, jak w tamtym głośno i nieustannie wspomiano Berenikę, jak w tym cicho płynęło imię Jonatana. Lecz nikt o podsłuchywaniu ich nie myślał. Silas nawet, zapominając o urazach i zemście swojej i przed oberżą wyciągając na słońcu bosc swe nogi, wesoło przebierał w kupie orzechów, grając z kilku towarzyszami w cetno i lichu; wysoki Babas, za rzucane mu *asy* siłę swą ukazując, rozdawał dokoła szcutki, od których ludzie chwili się na nogach albo na ziemię padali; Chromia zaś, przy ścianie oberży błyskając srebrnymi obręczami, zdobiacemi ciemną jęć skórę, i oczyma pożerając Babasa, wrzaskliwie opowiadała, jako przez panią swą, Fanią, wyzwoloną i z domu jęć wyprawioną została. Gdzieindziej obito-by ją i strącono do kuchennych posług; ale z domu Pretora wyprawiano tylko złe i niechętne sługi. Wolnością jęć cieszyła się gospodyni oberży, bezzębna Charopia, z siwem włosy, spuszczaćcami się na twarz żółtą z pod brudnej chustki, która, z glinianej amfory lejąc wino w czerwony jęć kubek, namawiała ją do stałego przebywania w oberży. Egipcjanka, z ciałem swém giętkim i ru-



chami podobnemi do skrętów węzowych, z purpurowemi usty, kruczym, roz-targanym włosem i migocącym polyskiem srebrnych bransolet, uznaną snadź była za ponętą Wenerę miejsca tego. Charopia umizgała się do niej i wciąż dolewała jej kwaśnego, lecz mocnego trunku, którego ona tyle czar wychyliła, ile było liter w imieniu siłacza Babasa.

— Wesoło mi tu między wami, przyjaciele! — krzyknęła — lecz weselój nam jeszcze będzie po jutrze, gdy cesarscy kucharze napieką dla nas wołów i wieprzy, a podczaszowie gardła nam pozalewają winem mniej kwaśnem, niż twoje, Charopio! Igrzysk i uczt, Cezarze! Hojnym i dobrym jest Cezar! Będziemy mieli igrzyska i ucztę!

— Życia i szczęścia Cezarowi, panu naszemu! — krzyknęło nagle mnóstwo głosów, a chóralny okrzyk ten leciał w czystem, letniem powietrzu długo i daleko.

Na tarasie domku Menochima, ścianą trójkątnego piąterka osłonięci całkiem przed wzrokiem przechodniów, wsparci o haftowane poduszki Sary, w pół-leżących postawach siedzieli dwaj mężczyźni. Jednym z nich był Jonatan, głowę drugiego ocieśniał głęboki kapiszon płaszcza. Przybliżali ku sobie twarze, trzymali się za ręce i cicho ze sobą rozmawiali.

— Justusie! — mówił Jonatan — jakże los mój wydaje mi się godnym zazdrości wobec twojego. Jako jeleń przez myśliwca, ścigany jestem przez tych, z których przemocą do ostatniego tchnienia nadziei walczyłem. Lecz ani serce, ani twarz moja nie kłamia, i chleba mego nie spożywam u stołu odszczepieńców, jak ty, sekretarzu Agryppy, codzienny towarzyszu i dworaku obrzydłej Bereniki i zdrajcy Józefa!

Justus twarz zasmuconą usiłował ukryć głębiej w cień kapiszona.

— Ku bojom orężnym nie wiodły mię ani skłonności, ani przekonania moje — odpowiedział z cicha — dlatego nie towarzyszyłem tobie, gdy na odgłos wypadków, gotujących się w Judei, udałeś się tam z wielu tutejszymi rówieśnikami swymi. Sercem przecież i obyczajem wierny jestem ojczyźnie naszej i wierze przodków naszych, a teraz, gdy Menochim oznajmił mi o przybyciu twojem, przybiegłem tu, jak brat, stęskniony za niewidzianem długo obliczem brata.

Po chwili milczenia dodał:

— Czy pozwolisz, abym ukazał ci rzeczy pewne, których jasno widzieć nie możesz?

— Mów — rzekł Jonatan.

— Mówić chcę o tych, których wy odstępcami i przeniwiercami nazywacie. Bogaci, zaznajomieni z cywilizacją helleńską i rzymską i z ustrojem rzymskiego państwa, Agryppa, Józef i wszyscy im podobni, mniemają, że walka z potężnym Rzymem szaleństwem jest, wiodącemu małą Judeę do ostatecznej zguby. Dlatego pogodzili się z tém, przeciw czemu wy targnąwszy się zuchwale, spowodziliście zburzenie stolicy i świątyni naszej.

Szyderski uśmiech błdził po białych wargach Jonatana.

— Czy pewnym jesteś, Justusie, że pogodzenie się ich z Rzymem źródło swe wzięło z troskliwości o resztkę mizernego istnienia kraju i ludu naszego? Czy nie olśniła ich raczej potęga Rzymu? czy nie oczarowały ich blaski i rozkosze, wzbronione wiernym wyznawcom wiary naszej, niedostępne synom naszej spustoszonej ziemi, a którymi tu nasycić się mogą dowoli? Pałace ich pełne malowanych i rzeźbionych postaci ludzi i zwierząt, stoly ich gną się pod cudzoziemskimi przysmakami, togi rzymskie wspaniale owijają ich ciało, na łożach rzymskich rozkosznie wyciągają się ich członki. Józef Flawiusz przyjmował bogate dary od nałożnicy Nerona, a Wespazyan obdarzył go rozległymi dobrami; Agryppa otrzymał królestwo Chalejdy, odebrał od Bereniki, która w zamian...

W miarę jak mówił, mowa jego stawała się szybką i syczącą, nienawisć iskrzyła się w zapadłych oczach, ręka kurczowo ścisnęła przedmiot jakiś, u piersi za suknią ukryty. Przez zaciśnięte zęby wymówił jeszcze:

— Tu są oni nietykalni, niedostępni, bo otacza ich i ochrania zbrojna prawica Rzymu. Ale tam, Justusie, tam...

Zaśmiał się zdławionym, zjadliwym śmiechem.

— Tam, w Jerozolimie, krew im podobnych zalewała bruki ulic, a z rozbitych czaszek ich mózgi bryzgał na święte mury, których oni bronić nie chcieli! Justus zadrżał.

— O, Jonatanie! — zawołał — cóż uczyniły z ciebie krótkie te lata, które od rozstania się naszego upłynęły!... Znałem cię młodzieńcem śmiałym, lecz łagodnym; ujmującym się za skrzywdzonymi, lecz brzydzącym się krwią i okrucieństwem... Teraz... pozór twój jest pozorem mieszkańca pustyni, który w walkach z lwami i niedźwiedziami zapomniał słodkich uczuć ludzkich, w którego uszach nigdy nie brzmiała rajska zapowiedź proroka: „Przekują miecze swe na pługi, a jagnię w spokoju usnie obok lwa i dziecię bezpiecznie grać będzie nad gniazdem węzówem!”

Z nienawiścią, rozpalającą wzrok Jonatana, zmieszał się wyraz bolesnego szyderstwa.

— Czy mieszkałeś, Justusie, w świętej głowie proroka i dowiedziałeś się, jak daleko w przyszłość sięgał wzrok jego, kiedy wygłaszał on swą rajska zapowiedź? Przedwieczny tylko znać może czasy spełniania się widzeń proroczych. Ja, z morza krwi i płomieni dłonią Jego wyprowadzony, wiem, że jeszcze one nie nadeszły. Dopóki sprawiedliwość nie zapanuje nad światem, dopóki człowiek nastawia na człowieka i silniejszy deptać słabszego będzie, dopóty miecz pomsty sięgać musi tych, którzy, jak Agryppa i Józef, odstępują sprawy słabych, lecz sprawiedliwych...

— Każdy z ludzi dźwiga brzemień grzechów sobie właściwych—z rozważą i smutnie odparł Justus. — Jeżeli tamtych trwożliwość, obojętność, żądza chluby i rozkoszy ujmuje gorliwości dla sprawy słusznej, wy grzeszycie



zbytkiem zapaleczywości, szaleństwem, rzucającem was w męki daremne, sercem, stwardniałem na obrzydłość okrutnych czynów. Wy nazywacie ich odstępcami i przeniwiercami, oni wam dają nazwy gorliwców wściekłych, krwawych siepaczy...

— Takimi jesteśmy! — prostując się na siedzeniu, zawołał Jonatan.

W tej samej chwili w ręce jego błysnął nóż zakrzywiony, rodzaj krótkiego, obosiecznego miecza.

— Tak, Justusie, gorliwcem jestem, który, gdy pora była, ścinał krwawe grona w winnicy Edomskiej, i ścinać je gotów jeszcze... tym oto sierpem.

Justus dłonią przysłonił oczy.

— Schowaj oręż ten — szepnął co prędzej — wydać on cię może... Po co go nosisz przy sobie? Pokusa łatwo przeniknąć może do oszalałego serca...

Jonatan zasunął nóż w zanadrze i z gorzkim uśmiechem zaczął:

— Nie lękaj się! Agryppie twemu krzywdy żadnej nie zrządzę. Dzień znoju długim był i strasznym. Odpocząć pragnę. Pójdę daleko, w cichym kącie wzniosę ściany domu swego, ustawię moje krośna, i u boku małżonki hodować będę synów, aby wzięli po mnie dziedzictwo...

Przestał mówić. Rysy jego, które przy ostatnich słowach złagodniały nieco, zasepiły się znowu. Ulicą przeciągał i dom Menochima mijal wesoly tabor uliczny, wiedziony przez kobiety, pobrękujące na instrumentach muzycznych i w opadającym z nagich ramion ubraniu. Kilkunastu mężczyzn, obdarzonych i pół-bosych, z zielonemi wieńcami na głowach i gdzie niegdzie z rozkwitłemi różami u piersi i w rękach, postępowało w takt muzyki, wrzaskliwie śmiejąc się i krzyżąc. W weselącej się gromadzie tej czuć było zbliżanie się orgii, które po Apolińskich igrzyskach nastąpić miały; była ona słabym tylko i oderwanym akordem tych szalonych hulanek, któremi aż po brzegi napelniał się i kipiał Rzym w dniu noworocznych Saturnalii. Saturnalie wprawdzie nie prędko jeszcze nastąpić miały, ale święto Apollina wzniewało także wesołość, którą wzdymała i roznamiętniała skwarna pogoda lipcowych dni. Niewidzialni sami, Jonatan i Justus, przez szczeliny balustrady, otaczającej taras, widzieć mogli dokładnie pstry i luczny orszak, który, mijając dom Menochima, wydał zmieszane, chóralne okrzyki:

— Zdrowia i szczęścia wspaniałemu Tytusowi, synowi bożkiego Cezara! Zdrowia i szczęścia Berenice, pięknej oblubienicy Tytusa!

— Czy słyszysz, Justusie? czy ty to słyszysz? — gwałtownie szepnął Jonatan. — Imię Izraelitki ta nawet podła zgraja łączy z imieniem tego, który ojezyźnie naszej ostatnie zadał ciosy! Czy to być może, Justusie, aby ona małżonką jego została? czy to być może, aby zgorszenie takie dotknęło oczu ludzi? aby ślina takiej obelgi spadła na nasze straty i bóle!

Z pochyloną twarzą Justus odpowiedział:

— Niestety! tak się podobno stanie! Tytus kocha ją więcej, niż źrenicę oka swego, a ona... Alboż niewiasta oprzeć się może urokom promie-

niejącej piękności, złączonej z najwyższem w świecie dostojenstwem? Tytus jest najpiękniejszym człowiekiem w Rzymie i następcą Wespazyana.

— Widziałem ją niegdyś — w zamyśleniu mówił Jonatan — widziałem ją, gdy, w czasie pierwszych powstańczych ruchów w Jerozolimie, wyszła na taras pałacu swego, w szkarlacie i złocie cała; splecione ręce wyciągała ku nam, błagając, abyśmy rozeszli się, uspokoiłi i nie ściągali na siebie i na Judeę całą mściwej ręki Rzymian... Była wtedy wspaniała, ale lud krzyknął ku niej: „Wnuką Machabeuszów jesteś, bądź im podobną! Judytą bądź! Ujmij miecz, i duchem przodków swych niesiona, przoduj nam w walce, jako słup ognisty ojcom naszym przodował na puszczy!“ Był to, Justusie, wielki moment, był to moment, w którym niewiasta ta stać się mogła duszą narodu swego, mocą i chwałą jego, i—kto wie? może jego zbawieniem... Ale ona...

— Wiem — dokończył Justus — wraz z bratem swym opuściła wzburzoną stolicę...

— Uciekła i bezpieczeństwa swego szukała w obozie Rzymian! Tamto Tytus, jedną ręką rzucając na Jerozolimę główne pożogi, drugą wkładał na palec jej pierścień oblubienicy... O, Przedwieczny! czy żaden piorun twój nie spadnie pomiędzy tych ludzi, aby rozerwać ohydny ten, bluźnierczy, potworny związek?

Strasznie w tej chwili wyglądał Jonatan Oczy jego, krwią nabiegłe, wznosiły się ku niebu, kuczowe drganie wstrząsało wynędziałą twarzą, w dłoni błyskał znowu, z-za sukni wydobyty, nóż. Justus śpiesznie za ręce go pochwycił.

— Uspokój się! to, czego tak się lękasz, nie stanie się może jeszcze. Oddawna już Tytus poślubił-by Berenikę, gdyby nie sprzeciwiał się temu ojciec jego, pragnący synów swych połączyć z najdostojniejszymi rodzinami rzymskimi, a przez to powiększyć świetność niskiego i niespodzianką losu tak wysoko wyniesionego, rodu swego; gdyby nie sprzeciwiał się temu patryeyat rzymski, w połączeniu przyszłego cesarza z kobietą wshodnią widzący dla siebie ubliżenie; gdyby nie sprzeciwiali się temu sami nawet filozofowie, ogromny tu wpływ wywierający, a gardzący Izraelem za wiarę jego, którą poczytują oni za zbiór zabobonów ciemnego i nieokrzesanego ludu... Czy wiesz, co spotkało stoika Herasa, który publicznie gromił Tytusa za popisywanie się z miłością swą ku Berenice? Ściętym on został na publicznym placu. Okropniejszy może los spotkał za toż samo Dyonizjusza z Pruzyi. W cyrku, wobec stu tysięcy zgromadzonego ludu, wołał on do Tytusa, aby powrócił do opuszczonej przez się małżonki swój, Mareyi Furmilli, a Berenikę odesłał do jej ojczyzny... Dyonizjusza oćwiczono publicznie i z Rzymu wygnano, ale krewni i przyjaciele Mareyi Furmilli pozostali, a obraza ich i chęć zemsty wzmacnia i mnoży nieprzyjaciół władzy cesarskiej, którzy w Rzymie istnieją jeszcze, a na których czele stoją: pretor Helwidysz i stoik Muzoniusz...

Jonatan opowiadania tego słuchał ze skupioną i chciwą uwagą.

— Justusie! — z wolna i w zamyśleniu zaczął — Rzymianie-to więc



sprzeciwiają się związkowi temu, przez pogardę i nienawiść dla nas... a z pomiędzy braci naszych żaden-że nie znalazł się tak śmiały?

— Jakże-by to być mogło? — odparł Justus.— Ci, którzy Berenikę oczają, pragną najżywiej związku, w którym widzą wielką chlubę dla siebie i liczne dla ojezyzny naszej korzyści; inni zaś, ubodzy, zboleli, przerażeni, są jako krety, pracujące pod ziemią...

Jonatan nie odpowiedział nic i w głęboką pogrążył się zadumę. Nie przerywał jej Justus, i wpatrzony w twarz przyjaciela, zdawał się nadaremnie smutnemi oczyma szukać na niej śladów pogodnej jego młodości.

Wtém, na widzialnej z tarasu, górnej części wschodów, z izby dolnej ku górnej wiodących, ukazała się Mirtala. Wyprostowana i zamyślona, z tym spokojem postawy i ruchów, który, zdawać się mogło, że spłynął na nią z greckich i rzymskich posągów, w jednej, podniesionej nieco, ręce, trzymała misę, w zieleń ubraną i owoców pełną, w drugiej, opuszczonej wzdłuż sukni, dzban z czerwonej gliny. Z ognistemi kędziorami, opływającemi twarz białą i szczupłe ramiona, ze spuszczonej powiekami, przed Justusem i Jonatanem stanęła.

— Ojciec mój, — rzekła — wychodząc dziś z domu, rozkazał mi, Justusie, uczęstować cię, gdy tu przybędziesz, owocami i winem. Oto są oliwki, daktyle, migdały, figi i wino, na jakie stać było dom nasz.

Rzekła to z cicha; ze słabym, lecz uprzejmym na ustach uśmiechem i, na obu mężczyzn oczu nie podnosząc, oddalić się chciała. Ale zatrzymał ją nagły gość Jonatana. Porywco, głosem, w którym trudno było gniew od serdeczności odróżnić, zawołał:

— Nie odchodź! Dlaczego zawsze uciekasz ode mnie? Usiądź tu, chcę na ciebie patrzeć.

Pozostała, lecz nie usiadła. Ramieniem wsparta o balustradę tarasu, nieruchomym wzrokiem patrzyła daleko, w przestrzeń. Justus spożył kilka owoców, wychylił czarę wina i powstał.

— Pora mi odejść. Słońce chyli się ku zachodowi...

Mirtala szybkim ruchem zwróciła twarz ku mówiącemu:

— Czy myślisz, Justusie, że prędko już... słońce zachodzić będzie?

Justus, z przyjemnością widoczną patrząc na nią, uśmiechnął się i odrzekł:

— Spójrz tam... za tę gromadę płaskich dachów, na wysoko zaokrąglające się linie łuku Germanicusa... Czy widzisz to, co ci ukazuję?

Patrzyła w stronę, ku której Justus wskazujący palec wyciągał, i pozwolił skinęła głową.

— Otoż, gdy wdzięczne i wspaniałe sklepienia te kąpać się zaczynają w takich, jak teraz, jaskrawych światłach, słońce bliżkiem jest zachodu. Co ci jest, dzieveczko? Oczy twoje dziwny przybrały wyraz i zdało mi się, że zadrżałaś?

— Nie to, Justusie. Chłodny powiew zaleciał tu od Tybru, a luk ten... jaskrawy... obraził mi oczy...

Uśmiech łagodny i uczuciem rozkoszy zaprawny dziwnie wyglądał na zdręczonych ustach Jonatana.

— Nieśmiałą jest ona, Justusie — szepnął. — Gdy odpowiadała tobie, rumieniec, podobny do powstającej zorzy, lica jej oblał...

— Piękną jest i wdzięku pełną — równie cicho odparł Justus i z westchnieniem dodał: — Obyś co prędzej na łonie oblubienicy swój uciszyć mógł wzburzone swe serce!...

Po chwili odchodził, i Mirtala uczyniła znowu ruch taki, jakby odejść chciała.

— Pozostań! — zawołał znowu Jonatan.

Stała przed nim, zmieszana.

— Usiądź tu przy mnie.

Usiadła na miejscu, które przed chwilą zajmował Justus i, nie podnosząc powiek, milczała.

— Dlaczego unikasz mnie? Obchodzisz się ze mną tak, jakbym ci był obcym. Czyż nie nazywałaś mię kiedyś bratem swoim? Wzrastaliśmy oboje pod jednym dachem, a ja, starszy i silniejszy, czy wyrządziłem ci kiedy krzywdę jaką?

Gdy mówił to, wzrok jego był miłosny, ale dźwięk głosu szorstki i poryweży. Tak długo snadź wydawał on okrzyki bojowe, że znikły z niego brzmienia łagodne i czule.

— Podniosłaś na mnie spójrznie swoje! Patrz tak na mnie, dziewczeczko!... bo z oczu twych na rany moje spływa balsam gojący...

Istotnie, gdy wywoływał wspomnienia wspólnego ich dzieciństwa, podniosła na niego wzrok, trwożny jeszcze, ale przyjazny. Lecz w tej-że chwili ujął on ją za rękę. Wychudła i zczerniała dłoń jego twardą była i szorstką, czuć w niej było przyzwyczajenie do gniewnego ściskania oręża, a czerwone blizny, które ją okrywały, zdawać się mogły plamami krwi. Mirtala znowu twarz odwróciła i powściągnąć nie mogła drżenia, które wstrząsnęło szczupłymi jej ramionami. O! kiedyś, w innym świecie, inna wcale ręka, biała, wykwiłtna, ujmowała dłoń jej w uścisk tak miękki i słodki, że od niego ku piersi jej wstępowały potoki niewysłowionej rozkoszy...

— Lękasz się mnie, płochę dziecko, nie umiejące oddać czci, przynależnej mężowi, stęranemu w walkach świętych! Nie rozumiesz, jakim dostojenstwem okryje cię Pan, gdy zostaniesz małżonką obrońcy Jego narodu!

Oczy jego płonęły teraz gniewną obrazą, a dłoń coraz twardszym, bolejącym uściskiem, obejmowała drobną, pół-dziecinną rękę.

Po chwili jednak zmiękł znowu.

— Czyż zawsze byłem taki, jak teraz, stwardniały w srogięj prawicy Pana, zjeżony kolcami gniewu i popędliwości? Przypomnij sobie, Mirtalo,



wspólną przeszłość naszą. W dnie letnie, maliej dziewczeczce, bawiącej się przed progiem domu Menochima, przynosiłem nieraz z ogrodu Cezara rozkwitłe róże; w zimie, drzącą i drobną, owijałem ją płaszczem moim. Był dzień, w którym, pośród Appijskiej drogi, wyrwałem cię z pod kopyt rzymskiego jeźdźca. Ty wczoraj odwdzieczyłaś mi tę przysługę, roztropnie i śmiało zasłaniając mię przed wrogiem. W piersi mojej, Mirtalo, mieszkało kiedyś serce łagodne, a srogim ogniem zapaliły je i powłoką żelazną okryły gniewy wojny i męki tulaczki. Teraz, kiedy na ciebie patrzę, powraca do mnie pogodna młodość moja. Miłszą mi jesteś nad źrenicę oka mego; piękne są jagody lica twojego, jak u synogarlicy, a szyja twoja jako klejnoty; usta twe —jabłka granatu, a włosy —szkarłat królewski, przetykany złotem...

Na wychudłą i zczerniałą twarz tę wystąpił wyraz namiętnego, pół-nieprzytomnego marzenia. W zapadłych, ciemnymi kołami okrążonych oczach, błysnął płomień, podobny temu, z jakim pielgrzym spragniony, po wielu dniach, spędzonych wśród piasków pustyni, przybliży usta swe ku wodom strumienia. Ona odwracała wciąż twarz, a poblądłe usta jej niedosłyszalnie szepnęły:

— „Oczy masz piękne i wymowne, Mirtalo, a usta twoje podobne są do koralu, zwilżonego rosą...”

I z oddali, z oddali, usłyszała głos, który kiedyś, w dźwięcznej mowie Latynów, słowa te wymówił. Odtąd, dwa głosy przemawiały do niej: jeden bliski, tuż przy niej brzmiący twardo i ponuro, drugi młodzieńczy, świeży, śpiewny, oddalony, tak oddalony, jakby z innego dolatywał świata...

— Krwawa wojna i długa tulaczka uczyniły mię takim, jakim jestem. Lecz minął już dla mnie dzień bojów i mąk. Poślubię cię tu, oblubienico moja, w ciszy i skromności, jako przystoi czasom niedoli. Nie chcę wieńca na głowę moję, ani fletów i cymbałów przed ślubnym orszakiem; nie będą cię nieść druźbowie w lektyce błyszczącej, i kwiatami włosów twych nie przyozdobią drużki... samo bowiem wesele zwyciężonego rycerza poważne być powinno i owiane wonią świętego smutku...

Z odwróconą wciąż twarzą i coraz bledsza, Mirtala szeptała:

— „Pozostań w domu Fanii. Piękność i wesolość ujmą cię tam w twórcze swe ramiona, a ja przychodzę i uczyć cię tam będę sztuki malarzkiej...”

Rękę jej ku piersi swęj przyciągając, Jonatan mówił dalej:

— Powiodę cię z sobą na ziemię wygnania, ale wśród której nikt nas nie odnajdzie i nikt nie zburzy spokoju naszego. W niskiej i ciemnej chacie, ukrytej przed światem ścianami gór galijskich, ustawimy dwoje krosien, na których ja tkąć, ty haftować będziesz. Pracą rąk zarabiając chleb nasz i dzieci naszych, przeżyjemy dni nasze, nieznani i zapomnieni...

— Uczynię z ciebie drugą Jaję z Kryzykosu... królową będziesz w czarownym państwie sztuki... otoczą cię kołem radosnym wszystkie rozkosze sławy i miłości!...”

— W gorący dzień lata wywiodę cię, małżonko moja, do winnicy, któ-

ra własnymi zasadzimy rękoma, i jak Booz i Ruth, zrywać tam będziemy dojrzale grona aż do zachodu słońca...

— Słońce zachodzi!... — z ust dziewczyny wyrwał się nagle okrzyk, przerażeniem prawie dźwięczący.

— Gdy całkiem zgasną światła słoneczne, udamy się do Moade-El, gdzie wraz z gminą całą słuchać będziesz tego, co mówić mam...

— Puść mię, Jonatanie! słońce zachodzi!

Drobna ręka jęj daremnie z całej siły targnęła się w żelaznej dłoni jego; nie roztworzył on twardego jęj uścisku. Wzrok jego zatonał w twarzy jęj, ponuro znowu i podejrzliwie.

— Dokąd chcesz odejść? Menochim nie wrócił jeszcze z gaju Egeryi... córki Sary nie wołają cię jeszcze, abyś szła z niemi...

— Słońce zachodzi! puść mię!

— Dokąd chcesz odejść? Mirtalo! Mirtalo!

Głos jego, gdy po dwakroć wymawiał jęj imię, zabrzmiał srogo i groźnie.

— Słońce zachodzi!...

— Czy z niem razem zajdzie dla ciebie występna nadzieja jaka?

— Słońce zachodzi! puść mię!

— Słuchaj, dziewczyno! — głucho, lecz srogo krzyknął — dlaczego płonisz się i drżysz cała, a w oczach twoich błyszczą łzy i płomienie? Dokąd chcesz odejść? Co cię obchodzi zachodzące słońce? Kim był cudny młodzieniec ten, z którym rozmawiającą widziałem cię w późnej porze wieczoru? Czy ty także staniesz się ohydą i hańbą narodu swego? Czy ty... jak Berenika...

Twarz i postawa Mirtali zmieniła się nagle. Z niecierpliwęj, błagającęj, stała się ona zawstydzoną, zgnębiaoną. Oczy dłonią zakryła.

— Nie, Jonatanie, nie... Nie puszczaj mię, Jonatanie! Zostanę przy tobie, nie puszczaj mię!

Długie, łkające westchnienie pierś jęj podniosło. Pochwyciła teraz sama ramię towarzysza dzieciństwa i zdawało się, że pragnie przykuć się do niego. Ale on szorstko odepchnął ją od siebie, a w tęg-że chwili mignął błysk i rozległ się dźwięk stali. Krótki miecz Jonatana, przy gwałtowném poruszeniu jego wysunął mu się z-za sukni i upadł u nóg Mirtali. Porwała się, odskoczyła i, drżąc, ze śmiertelną odrazą w spójrzeniu, patrzyła na mordercze narzędzie, którego Jonatan nie podniósł z ziemi. Wzrok jego, ostry i świecący, jak ostrze jego noża, wpijał się w coraz bardziej blednącą i ruchem wstrętu pełnym odwracającą się twarz dziewczyny. Pomiędzy nimi wązki promień słońca olśniewające, stalowe błyski rozpałał w krótkim, zakrzywionym mieczu. Mirtala przymknęła powieki. Tuż nad narzędziem śmierci zawisło przed jęj oczyma narzędzie sztuki: pęzel, z pod którego wypływał kielich białęj lilii. W tęg chwili na wschodkach ukazała się głowa w ciężkim, złotawym turbanie. Menochim wszedł na taras i, ujrząwszy oręź, któ-



ry Jonatan powoli z ziemi podnosił, drgnął i stanął. I po jego twarzy przemknęły także trwoga i odraza, lecz wkrótce znikły. Jonatan powstał i, plecami o ścianę wsparty, z uroczystą powagą i surowym głosem rzekł do Menochima:

— Justus był tu. Mówił mi on, ojcze, że poganie sami gromią bezwstyd Bereniki. Dlaczegoż pomiędzy wami nie znalazł się nikt, kto-by słowem śmiałym powściągnąć sprobował zgorzenie, zatruwające dusze naszych niewiast? Niejedna z izraelskich dziewic, ojcze, wstępować zapragnie w ślady Bereniki!...

Na dole, kilka świeżych kobiecych głosów wołało Mirtali. Dziewczyna szybko zbiegła ze schodów i przed drzwiami domu wpadła w ramiona kilku dziewcząt, które, chwytając ją za ręce, obejmując kibić jej i szyję, zarzuciły ją pytaniami i wnet uprowadzić ze sobą chciały.

— Matka nasza zabroniła nam wracać bez ciebie, bo jesteś zawsze pieszczotą jej oczu i nie może ona długo obejść się bez swojej *hoszeb!* — śnieżne zęby ukazując w serdecznym uśmiechu, mówiła rudowłosa Lia, najmłodsza córka Sary.

Najstarsza z siostr, wysoka, w żółtej sukni i bogatym pasie, zgrabna Rachela, z dumnym czołem, ocienionem kruczym warkoczem, poważnie głaskała dłonią ogniste włosy niższej i młodziej od niej dziewczyny.

— Odkąd oblubieniec twój wrócił do domu waszego — mówiła — stałaś się, Mirtalo, zamysloną i milczącą. Myślisz zapewne o tém, jakim szczęściem obdarzył cię Pan, czyniąc cię wybranką wielkiego męża!...

— Ojciec mój, stary i chory Aron, który wraz z tobą codziennie siadywał w Awentyńskim portyku, przyszedł dziś do domu Sary, aby wraz z Symeonem udać się na Zgromadzenie Święte. Pragnie on także zobaczyć ciebie, bo byłaś zawsze perłą dla jego oczu, tam, gdzie was oboje otaczali zawsze sami ludzie obcy.

Słowa te wymówiło szczuple, ubogo ubrane i nieśmiale dziewczę, z bladą, mizerną twarzą i cierpiącym wejrzeniem dużych, myślących oczu. Mirtala, która innych przyjaciółek swoich nie zdawała się wcale słyszeć, zarzuciła ramię na szyję biednej i nieśmiałej Eli, córki starego, chorego Arona, i długim pocałunkiem usta swe do bladych ust jej przycisnęła. Była ona zawsze najmiłszą jej z rówieśnic i towarzyszek wszystkich, dlatego może, iż równie jak ona improwizować umiała wzory haftarskie, i tak jak ona, nosiła w sobie nieokreślone tęsknoty za czémś, co było może ideałem piękna i niedostępni im urokami życia. Średnia córka Sary, mała, żywa, ognista Miryam, niecierpliwie uderzała w ziemię dzwoniącym swym sandalkiem.

— Czy nie zamierzacie, — wołała — spędzić przed drzwiami Menochima całego wieczoru? Gdy raz otworzycie usta, nie możecie już nigdy nagadać się do syta! Zamiast całować się z Elą, spójrz na niebo, Mirtalo! Zanim dojdziemy do domu rodziców naszych, słońce zajdzie całkiem!

Obejmujące szyję przyjaciółki ramię Mirtali opadło nagle. Wzniosła oczy ku niebu, które istotnie powlekać się już zaczynało przezroczywą zasłoną zmroku. Z za ciemnych ogrodów Cezara, okrywających stok Janikulu, wypływał biały rożek półksiężyca. Niespokojne oczy przesuwając po twarzach towarzyszek, szybkim, urywanym głosem mówić zaczęła:

— Idźcie do domu matki waszój... przyjdę tam za chwilę... Teraz isć muszę... muszę... tam, w stronę mostu i łuku...

Uczyniła ruch taki, jakby nie odejść, ale raczej odbiedz, ulecieć od nich chciała; lecz nagle, cała drżąca, z wyrazem męki niewymownej na twarzy, stanęła i obu rękoma uцепiła się ramion i szyi Eli...—Idę z wami... już idę... prowadźcie mię... obejmij mię, Elo!...

Nie spostrzegając dziwnych zmian, które za, chodziły w słowach jój, ruchach i wyrazie twarzy, wesole i uroczyością dzisiejszą zajęte dziewczęta, wprowadziły ją ku domowi Sary. Ela szczupłym ramieniem otaczała jój kibić; rudowłosa z uśmiechem szeptała coś o niej poważnej Racheli; żywa Miryam, brzęcząc dzwoneczkami sandałów, błyszczący naszyjnik swój zapinała u jój szyi. Przed progiem domu Sary, Mirtala stanęła znowu i, z twarzą wzniesioną, spojrzała kędyś daleko i wysoko. Daleko, za niskimi, płaskimi dachami przedmieścia, wysoko, jakby pod samym szarzejącym sklepieniem nieba, szczyt łuku Germanikusa płonął jeszcze w ostatnich blaskach słonecznych, jak tęcza, spleciona z purpury i złota. Ani na otaczające ją towarzyszki, ani na ludzi innych, których coraz więcej ukazywało się na ulicy, nie zważając, Mirtala, giestem rozpacznej tęsknoty wyciągnęła splecione ręce ku punktowi temu, samotnie gorejącemu jeszcze wśród szybko mierzchnięcej przestrzeni. Lecz zaledwie towarzyszki jój zdołały wyrzec słowo zapytania, ogarnęła ją i z sobą porwała rzeka ludzi, śpieszących się, przygarbionych, pochylających głowy pod ciężarem grubych turbanów, tłoczących się i popychających wzajem, i z siebie, lecz zapalczywie ze sobą gwarzących. Podobnemi rzekami, ze wszystkich ulic i placów przedmieścia, lud płynął ku wysoko wznoszącemu się nad domowstwa inne domowi modlitwy.

Była to budowa nie tylko wysoka, ale i dość bogato przyozdobiona. Zdawało się, że na nią, to i w nią sływały wszystkie bogactwa, na jakie zdobyć się mogła otaczająca ją gromada niskich i ozdobności wszelkiej pozbawionych domówstw. Bogactwa te wprawdzie, w porównaniu z temi, które gromadziły się z drugiej strony Tybru, a nawet i w innych miejscach zatybrańskiej dzielnicy, były jako drobna kropla wobec wezbranego morza. Niemniej, w zbiorowisku tém śmieci, kałuż i smrodów, było to miejsce jedyne, otoczone czystością, pielęgnowaną starannie; wśród ścian drewnianych, ciemnych, skleconych z niedbałością taką, że czyniła je ona podobnemi do wędrownych tylko namiotów, były to ściany jedyne, na które złożyły się cegły i wapno, a nawet, gdzie indziej, skromne, bo rzeźb pozbawione, lecz różnemi barwami mieniające się, marmury. Drzwi wysokie, szerokie i przyozdobione ogni-



stą miedzią koryneką, długo stały otworem, wpuszczając do wnętrza budowy, coraz gęściej napływający, kilkotysięczny tłum. Wnętrze to, wysokie i rozległe, oświetlone mnóstwem lamp, a przyćmione nieco ulatującym z nich dymem, jaśniało białością nieskazitelną ścian i sufitu, wśród której błyskały tylko pozłacane balustrady, dzielące tę część świątyni, w której zasiadali mężczyźni, od tej, którą napelniać miały kobiety. U jednej ze ścian wznosił się ołtarz, ujęty w ramy złożonych kolumn, o które wspierały się dwie tablice, zapisane krętymi hebrajskimi znakami, a posród których purpurowa opona zasłaniała półkolisty otwór niszy, przybrany w wieńce z uschłych gałęzi cedrowych i oliwnych. Kręte złote szlaki liter, wypisane na tablicach ze śnieżnego i jak zwierciadło przezroczystego *phenyitu*, były dziesięciorgiem synajskich przykazań; w niszy, za purpurową firanką, spoczywała księga Izraela; uwiędłe gałęzie, wieńczące otwór niszy, zerwane, były z cedrów, obrastających górę Libanu, i z drzew oliwnych, wieńczących Syon. Dawno tu przywiezione, uwiędły i zeschły, lecz nie zdejmowano ich ztąd dopóty, dopóki-by świeżemi zastąpione nie zostały; płomyki, gorejące w dwu siedmioramiennych, złożonych świecznikach, obficie oświetlały ołtarz ten i w pobliżu niego wznoszącą się, kilku wschodami od marmurowej podłogi oddzieloną, mównicę. Na mównicę tę wstępowali zwykle mężowie, mający ludowi czytać i tłumaczyć ustępy Thory, albo też ci, którzy, z dalekiego świata przybywając, opowiadali mu o dalekiej ojczyźnie, o rozsypanych po całym świecie braciach, o nowych myślach jakichś, lub pracach, których przedmiotem były religijne wierzenia, społeczny ustrój albo polityczne nadzieje zwyciężonego ludu. W tej chwili mównica była pustą, ruch zgromadzającej się ludności jeszcze nie ustał i drzwi świątyni stały otworem. *Moade-El*, zgromadzenie święte, zwoływane tu w celach religijnych lub społecznych, nigdy może jeszcze, tak licznym nie było. W późnej porze dnia zgromadził je Symeon dlatego, aby obecnym mu być i ducha swego skrzepić niem mógł nie tylko dostatni i z czasem swym ściśle nie liczący się mieszkaniem dzielnicy, ale także, wedle malowniczych wyrażeń Thory, „ten, który rąbie drzewo, i ten, który nosi wodę”.

Po jednej stronie złożonej balustrady zasiedli mężczyźni, po drugiej, nad kilku marmurowymi wschodami, ławy napelniły się rzędami niewiast. W licznym zebraniu tym, każde baczne oko dostrzedz-by musiało przedewszystkiem jedną szczególną jego cechę, którą był zupełny prawie brak dorosłych młodzieńców. Oprócz nielicznej gromadki tych, z których twarze, współdziercinnych jeszcze i męskiego zarostu pozbawionych, poznać można było, że bardzo niedawno pochołętami być przestali, znajdowali się tam sami tylko mężowie w wieku późnym, lub dojrzałym, starzy lub pochylający się ku starości. Wprawdzie na ulicach i placach dzielnicy igrało zwykle mnóstwo dzieci, lecz pomiędzy rojem drobnych tych istot, a siwiejącym lub osiwiałym tłumem ojców ich i dziadów, istniała szczyrba. Tworzył ją całkowity prawie brak pokolenia jednego, pokolenia, które przed kilku laty, na odgłos wszczy-

nającej się wojny świętej, wywędrowało ztąd ku dalekiej ojczyźnie i — nie wróciło. Jedni z nich, na polu walk krwawych, w poźodze, która pochłonęła świątynią, pod karcącym mieczem zwycięzców — zginęli; inni, rozsypani po świecie, wiedli żywot trudny, albo, jako wojenni jeńcy, żyli w ciężkiej u zwycięzców niewoli. W dniach powszednich, w zwykłym torze codziennych zajęć, objaw ten, cechujący pojutrze nieszczęśliwej wojny, mniej uderzał w oczy i serca. Zato, w całej żalobnej grozie swęj zjawiał się on zawsze, ilekroć tak, jak dziś, gmina zgromadzała się w jednych ścianach i tysiącami razem oczu i serc spostrzegała nieobecność najdroższych sił i ukochań swoich. Smutne też, zamysłone, ponure były długie szeregi twarzy ciemnych, gęsto obrosłych, ocienionych złotemi lub brunatnymi zwojami turbanów; smutno i żalobnie czarne szlaki wiły się po białych szalach, opływających prawie aż do ziemi ciemne *chitonety*. W czasach niedawnych jeszcze, szale te tkano ze śnieżnej tylko wełny; ale odkąd w płomieniach i dymie pożogi runęła Jerozolimska Świątynia, brzegi ich, u których wisiały nici i chwasty, przypominające o węzle przymierza z Panem, otaczać zaczęto czarnymi szlakami. Cóż dziwnego? Mędracy składający Jabue, zgromadzenie, obradujące nad przyszłością Izraela, mniemać a przynajmniej głosić zaczęli, że sam nawet anioł Metatron, patron i rzecznik Judei przed Panem, żżałobnymi znakami obwiódł teraz srebrzyste swe skrzydła. Mniej smutnie wyglądało zgromadzenie niewiast. Na tle marmurów, przyodzabiających ściany, jaśniało tam wiele twarzy młodych, świeżych, z których nawet uroczystość chwili spędzić nie mogła rumieńców i uśmiechów. Nad faldzistemi płaszczami, spływającymi z ramion aż ku ziemi, kołysały się tam głowy niewiast dojrzałych, w kwiecistych turbanach, albo w barwnych siatkowych czepcach. Ta i owa, na głowę, plecy i czoło, zarzuciła białą zasłonę, tak, że z pod niej widać było tylko wielkie wschodnie oczy, z ognistą źrenicą, i powściągliwie uśmiechające się, purpurowe usta. Tu i owdzie na białém czole połyskiwała złota opaska, z dużą perłą pośrodku, z uszu zwisały drogocenne kolce, po szyi wiły się i aż do haftowanego pasa spływały naszyjniki ze szkieł, do dyamentów podobnych. Tu i owdzie także, po twarzy zoranęj i bladej, toczyła się łza, pod światłem lamp jak brylant błyszcząca, albo młode lecz smutne oczy patrzyły w dal, z tęsknotą bez granic. W jednej stronie pobrzękiwały dzwonki, czy metalowe blaszki sandałów, w innej nad szepty szemrzące dokoła wzbijało się długie, łkające westchnienie.

Nagle szepty, westchnienia, stłumione wykrzyki powitań, ciche dzwonicie sandałów i naszyjników niewieścich — umilkły; w ciszę nieskazitelną zamienił się głuchy szmer, towarzyszący zawsze licznemu zgromadzeniu ludzi, a z samych choćby poruszeń ciał ich i oddechów piersi złożony. Zdawać-by się mogło, że każdy z członków zebrania tego znieruchomiał i każda pierś na chwilę powstrzymała oddech. Po wschodach, na mównicę prowadzących, wstępował człowiek wysoki i chudy — rzecz niewidziana tu nigdy — w rzym-



ską tunikę, zszarzaną, odartą, ubrany, i z głową nie przykrytą niczem, tylko zarosłą lasem kruczych, splątanych włosów. Wszystkie nędze ciała i męczarnie ducha patrzyły z twarzy jego zezerniałej, wychudłej, krwawemi poznaczonej bliznami; z oczu jego zapadłych, ze zciemniałych powiek, z ust białych o za rysie udręczonym, lecz hardym, biła namiętność sroga, nieukojoną, uparta. Stał na mównicy wyprostowany. Wklęsłe policzki jego zapłonęły, rozejrzał się dokoła wzrokiem sypiącym płomienie i, w tył nieco przegięty, jak skrzydła rozpostarł ramiona. W téjże chwili, zanim mówca wydać mógł pierwszy okrzyk swój, który zdawał się lkać we wzdętej piersi jego, z głośnym trzaskiem i migotliwemi błyskami zdobiącej je miedzi, szybko i szczelnie zamknęły się wysokie drzwi świątyni.

Na zewnątrz cicho było i jasno. Srebrny półksiężyc, wypłynawszy całym z-za ciemnych ogrodów Cezara, świecił pod szafrowém sklepieniem w otoczeniu mnóstwa iskrzących się gwiazd. Zatybrzańska dzielnica, ze stokami dwóch wzgórz, pokrytymi ciemną gęstwiną ogrodów, z tu i owdzie świecącemi białością ścianami letnich mieszkań bogaczy, z tłoczącą się u stóp jednego ze wzgórz gromadą niskich i płaskich domów, spała, i uśpionemi zdawały się być nawet zamknięte szczelnie oberże i otaczające je mieszkania Syryjczyków. Za rzeką, z cicha szumiącą, na siedmiu swych wzgórzach dźwigając wysoko ciężkie kopuły świątyn i bazylik, ciemne sklepienia łuków i w świetle księżyca srebrzące się szlaki portyków, Rzym usypiać zdawał się pod gwieździstém sklepieniem, cichym, bo bezpiecznym, snem olbrzyma. Kiedy niekiedy tylko, za rzeką i mostem, kędyś na ulicach i placach Awentynu, rozlegał się śród ciszy, do stłumionego grzmotu podobny, miarowy i szybki tentent wielu stóp ludzkich. Były to wojskowe straże nocne, w różnych kierunkach przebiegające uśpioną stolicę.

Tu i owdzie jeszcze, na tarasach żydowskiej dzielnicy szarzały siedzące w milczeniu gromadki ludzi, albo niewyraźnie rysowała się pojedyncza postać, nad ogrodzeniem tarasu stojąca, i w cichej kontemplacji, czy namiętnej modlitwie, twarz i ręce wznosząca ku niebu

W głęboką ciszę tę, w powietrze ciepłe i z lekka rozwidnione światłem półksiężyca, mieszał się głos męzki za zamkniętymi drzwiami świątyni, samotnie długo brzmiały w jęj wnętrzu. Murowane ściany i grube odrzwia pochłaniały słowa mówiącego, lecz dźwięki głosu jego, głucho wybijając się na zewnątrz, wydawały się pieśnią, złożoną ze wszystkich tonów, na jakie zdobyć się może pierś ludzka. Wydawały się one nieskończonem jakby recitativem, które chwilami płynęło spokojnie i cicho, to znów szumiało, jak zrywająca się burza, to śpieszne, zdyszane, podobnem stawało się do kaskady, lecącej po spadzistości skały; to jeszcze grzmiało bojowemi trąbami, krzycało jękami umierających od miecza, głodu i pożogi; albo rozplywało się w żal bezdeny, w kwilenie bezsilnego dziecka, lub wściekły płacz zmiażdżonej piersi ryce-rza. Kiedy-niekiedy słowo jakieś lub imię wybijało się na zewnątrz świą-

tyni. Słychać było wyrazy: wojsko, twierdze, mury obronne, wojna domowa, oblężenie, głód, wycieczki nocne, świątynia, pożar, gruzy, rzezie, ucieczki. Słychać też było imiona krajów, narodów i pojedynczych ludzi: Rzym, Pont, Syrya, Idumea, Arabia, Egipt, Wespazyan, Tytus, Józef Flawiusz, Jan z Giszali. Znać było, że wiele na raz ludów w sposób różny przyjmowało udział w opowiadanych dramacie, że wiele krajów i miast było świadkami rozgrywających się tu scen jego, że wielu mężów, na cały świat sławnych, w różnych kierunkach popychać go usiłowało ku ostatecznemu rozwiązaniu. Kiedy po raz pierwszy imię Jana z Giszali wyszło z ust opowiadającego, odpowiedziało mu olbrzymie, kilka tysięcy piersi wzdymające, westchnienie. Na dźwięk imienia największego z wodzów, najzagorzalszego z gorliwców, najwytrwalszego z obrońców Syonu, wszystkie serea uderzyły głośno i piersi głęboko, długo, westchnęły. Potem znieruchomiały znowu, zasłuchane, nieme, w kamienną ciszę.

Godziny upływały; nagle głos opowiadającego, jak ziarno piasku w nadlatującym tumanie kurzawy, znikł w ogromnym okrzyku tłumu, który tym razem nie umilkł zaraz, owszem, zmienił się w długi, bezładny, namiętny gwar mnóstwa głosów. W tłumie ściśniętym murowanymi ścianami coś zakipiało i wrzało potem coraz goręcej i głośniej.

Na mównicy stojąc, Jonatan kończył opowiadanie nie tylko wojny stozonój i zakończonej klęską oblężenia stolicy, ale i własnej także ucieczki z rąk wrogów, i długiej, kilkuletniej tułaczki po niegościnnych miastach Syryi, morzach i wyspach Greeyi, po skwarnych i bezludnych pustyniach Afryki. Kończąc, podniósł twarz, wysoko wznosił ramię, i w dłoni kureczowo ściśniętej ukazał krótki, zakrzywiony miecz Jana z Giszali. Wszyscy powstali. W upalnym powietrzu ogromnej sali, w mglistym choć obfitym świetle lamp, u których posługacze świątyni ucinali knoty, lecz gęstych nici dymu rozegnać nie mogli, nawał głów i ramion ludzkich cisnął się ku mównicy. Wszystkie usta były otwarte, wszystkie oczy wzniesione w górę, tam, gdzie nad tym ludzkim oddechem górując, Jonatan, dziwnie uciszony, z kapłańską jakby dostojnością w postawie, ku oczom i ustom zbliżających się pochylał lśniąca, ostrą, obosieczną pamiątkę wielkiego męża. Nie mówił teraz nic; oni wzajem, mówiąc, jęcząc, płacząc, oglądali oręż, dotykali go, przyciskali do niego swe usta. Zapominając o najważniejszych obrzędowych przepisach, niewiasty zmieszały się z mężczyznami i cisnęły się także ku narodowej relikwii. Były tam matki, żony i siostry tych, którzy zginęli, walcząc u boku Jana z Giszali. Jedna z nich uczyniła ruch taki, jakby objąć i w ramionach swych kładły się usta młodzieńców i dziewie, i zlewał ją deszcz łez, kapiących z oczu przygasłych, zboliałych. Byli tacy, na których twarze wybijała się walka. Odrza, uczuwana do mordów i krwi, zasada jakaś wysoka, w jednym



z licznych i rozmaitych strumieni narodowej tradycyi zaczerpnięta, pochylająca się nad mieczem głowy przejmowała wstętem.

Goryasz, wyznawca łagodnej nauki Hillela, po razy kilka schylał się nad orężem bohatera i po razy kilka odwracał od niego twarz zaplonioną, cierpiącą; aż nakoniec, jedno z walczących w nim uczuć zwyciężyło, i usta jego długim, miłosnym pocałunkiem spoczęły na zimnej stali. Jednak zaraz wyprostował się, ku ołtarzowi wyciągnął ramiona i z wybuchem boleści krzyknął:

— O, Przedwieczny! patrz, co z narodem Twoim uczynili jego wrogowie! Oto całuje on narzędzie śmierci i cześć oddaje ostrzu, przelewającemu krew!

— Najsroźszą z krzywd, zadanych nam przez zwycięzców, jest, o, Goryaszu, w duszę ludu wlany jad nienawiści!

Słowa te, szeptem zdławionym wymówił Justus, którego oczy chciwie jednak tkwiły w mieczu Jana z Giszali.

W téjże chwili rozległ się grzmot kolan, padających na klęczki, i ciał, które runęły na ziemię. Odmęt twarzy starych i młodych, mężczyzn i niewieścich, zniknął, bo wszystkie czoła dotknęły marmurów posadzki, albo, nisko schylone, ukryły się w dłoniach, a w upalnym powietrzu i dymnym świetle sali wybuchnął olbrzymi śpiew:

— „Wiley i niedźwiedzie spustoszyli mi ziemię, ziemię, będącą radością moją, i mnie zawiedli w niewolę, a nikt nie bronił mię i nikt sprawy mej nie sądził. I oto jestem jako kruk czarna, ja, której białą była, jako gołębica, bo dom mój spustoszony i ziemia bezludna!“

— „O, jakżeś, Najwyższy, poniżył swe dzieci! Chwała Twoja opuściła świątynią naszą, i obcy rycerze igrali z Arką Przymierza. I oto jestem jako kruk czarna, ja, której białą była, jako gołębica, bo dom mój spustoszony i ziemia bezludna!“

Jonatan, wyprostowany i milczący, stał na mównicy, powoli i głęboko oddychając, jak ktoś, co spoczywa po dokonaniu dzieła. Pogoda, z dokonanego dzieła płynąca, okrywała mu twarz rozognioną i ciemną. Uczynił to, co w mniemaniu jego było zadaniem świętym; słowami swemi rozplomienil ducha ludu dla sprawy, której orężem bronić już nie mógł. Z dumą, powoli, wodził wzrokiem dokoła świątyni, aż zatrzymał spójrzenie na niewieściej postaci, która, sama jedna wśród pochylonych i kołyszących się głów, stała za polyskującą złoceniami balustradą, prosta, nieruchoma, wpatrzona w niego oczyma, w których przerażenie mieszało się z uwielbieniem. Tłum, który przed chwilą cisnął się był ku mównicy, nie porwał jęj za sobą. Obu ramionami uczepiła się poręczy balustrady i nie dała się porwać fali, gwałtownie spadającej z marmurowych schodów. Grozą nieprzewycięzoną, mrozącą, przejęły ją roztaczane przez Jonatana obrazy strasznych mordów i klęsk. Za nic, za nic w świecie nie zdołała-by zbliżyć się do człowieka tego, ani choćby końcem palca dotknąć lśniącej téj stali, która tysiące razy nurzała się kie-

dys w krwi ludzkiej. Nogi odmawiały jęj posłuszeństwa, krwawa mgła zamiewała oczy, i tylko drobne dłonie kurczowo, z siłą niespodzianą, ścisnęły metalową poręcz, będącą w tęg chwili podporą jęj i obroną. Jednakże, oczu pełnych przerażenia, zmieszanego z czią, oderwać nie mogła od człowieka tego, który tak długo walczył i cierpiał. Aż nagle powiodła spojrzaniem po falującym morzu schylonych ku ziemi ciał i głów ludzkich. Niezmierna litość, dojmujące współczucie rysami jęj wstrząsnęło. Osunęła się na klęczki, czołem uderzyła o złoconą poręcz i lzy gradem lały się z jęj oczu, gdy w upalnym powietrzu i mętnym świetle świątyni huczały ostatnie strofy pieśni:

— „Dokąd-że, Panie, dokąd-że gołąbkę Twoję więzić będą sieci ptasznika? Tyle już wiosen i tyle zim minęło, odkąd drży ona pod ostrzem miecza, w lwich zębach i w jarzmie wroga. I oto czarną stałam się, jako kruk, ja, którym białą była, jako gołąbica, bo dom mój spustoszony i ziemia bezludna!“

---



## VII.

O Polu Marsowém istniała w Rzymie stara legenda, wcale niepodobna do téj, która urokiem poetycznych wspomnień uświęcała gaj Egeryi. Tam liście drzew i fale strumienia opowiadały o dobroczynnym królu-prawodawcy i dobrej wieszeczce jego. Tu, zbrojne hufce, zgromadzające się do wojennych ćwiczeń i przeglądów, szczękiem oręża i gwarem udawanych bitew, przez długie wieki przypominały krwawe walki ludu, wyzwajającego się z pod okrutnej dłoni Tarkwiniusza Pysznego. Wymowny dziejopis rzymski opowiada tę legendę następnemi słowy: „Sprawa Tarkwiniuszowej własności wytoczyła się przed rozpoznanie senatu. Zapalczywy gniew wziął nad innemi względami górę... Łan Tarkwiniuszowy, pomiędzy Tybrem a miastem, poświęcono Marsowi, a właśnie pod owę porę okrywało go bujne, pod sierp dościgłe zboże. Nasłany tłum wszystko do pnia wykosił, a kłosa z ziarnem do szczętu w Tybr wrzucił. Nurty żniwo to na mieliznę zniosły, tam je napływ mulu stężył, aż zwolna powstała wyspa, która dziś świątynie i krużganki dźwiga.“

Że następcą dobrego i mądrego Numa może być srogi i pyszny Tarkwiniusz, była to dla rzymskiego ludu nauka, z której korzystał on przez długie wieki. Wszystko minęło. Brzęki mściwych sierpów, ścinających Tarkwiniuszowe żniwo, aby je na znak ohydy pogrążyć w nurty rzeki, czas zmienił w echo, coraz słabiej brzmiące w uszach i sercach odległych pokoleń. Leczyła jeszcze szczupła garść ludzi, w których pole, noszące imię boga wojny, i wśród rzeki wznosząca się wyspa, utrwały pamięć o rzadkiem dziejowym zdarzeniu, jakim była zwycięzka walka słuszności z przemocą.

Cesarski Rzym wrzawą wezbranego życia i blaskiem ogromnych bogactw napełniał dziś dawny łan Tarkwiniuszowy. Z jednej jego strony, za żółtym pasem rzeki, spiętej drogocennemi klamrami mostów, a migotliwym niby klej-

notem, polyskującej wyspą, „dźwigającą świątynie i krużganki“, szerokim bazaltowym szlakiem sunęła droga, Tryumfalną zwana, a po-nad nią Watykańskie wzgórze rysowało na błękitach nieba faliste skłony i spuszczało ku rzece ciemne gęstwiny ogrodów, usiane srebrzącymi się w słońcu ścianami lekkich gmachów.

Naprzeciw rzeki z mostami i wyspą, drogi Tryumfalnej i okrywających Watykan ogrodów, ze stoków Kwiryntu i Kapitolu, ulice szerokie, stężoną lawą wysłane, nieprzejrzane szeregami pałaców i arkad staczały się aż ku brzegom rozległej przestrzeni, okrytej wiosenną zawsze zielenią murawy, owianej świeżością mnóstwa wodotrysków, których perliste szmery łączyły się z szeptami wawrzynów i mirtów, a brylantowe deszcze spadały do stóp śnieżnych, brązowych, złotych posągów, wydających się zaklętym tu w nieruchomość, dramatycznym i miłosnym tłumem bogów, bohaterów, mocarzy i wieszczów. Słupy, snopy i tęcze wód były z olbrzymich muszli, które w brązowych dłoniach dźwigały trytony o potężnych ciałach, pół-wężowych, pół-ludzkich, z rozwartych paszcz delfinów, z czar, które w smukłych ramionach wznosiły dziewicze Nereidy.

Pośród wiosennej murawy, w ramach bukszpanów i fiołków, okrążając mirtowe i wawrzynowe gaje, mnóstwo ścieżek, nierozwikłanym z pozoru chaosem wilo się i przybiegało do stóp największego z portyków Rzymu, dwupiętrowej galerii, tak szerokiej, że w dole czterokonne wozy wymijały się w niej łatwością, a w górze mieścić się i przechadzać mógł tłum wielotyśieczny. Wielki portyk wybiegał nad samym brzegiem rzeki, z pod sklepień wyniosłej bramy, koronkowym szlakiem kolumn swych i rzeźb przerzynał wszęch całą rozległość dawnego łąnu Tarkwiniuszów i znikał aż pod stokami Kapitolińskiego wzgórza, za potężnymi, owalnymi ścianami Flamińskiego cyrku, uwieńczonego, jakby girlandą z płomieni, nagłówkami kolumn z miedzi korynckiej, jaskrawo palącej się w światłach słonecznych. Tu, pod ścianą Kapitolu, dokoła Flamińskiego cyrku, tłumnie cisnęły się budowle, rozmiarów i przeznaczeń różnych. Świątynie Herkulesa i Minerwy, wojennej Bellony i egipskiej Izydy, Panteon z wielką, wydetą kopułą, ogromne łaźnie Nerona, pół-okrągłe *krypty* trzech teatrów, rzędy arkad, napelnionych drogocennymi towarami, pałace możnych, długie kolumnady, osłaniające dolne piętra pałaców, wszystkie te, w różnych czasach i dla celów różnych wznoszone dzieła lub arcydzieła architektonicznej sztuki, tworzyły nieprzejrzaną gęstwinę marmurów, bronzów, kości słoniowej i drogocennych metali, ociekających malowidłami i rzeźbą. Rzeźba ta girlandy kamiennych kwiatów i liści wila po przezroczystych ażurach kolumnad, mnóstwem kamiennych obliczy ludzkich, dziecięcych, zwierzęcych, wspinająca się na potężne ściany; z dachów, fryzów, gzymsów, z pod progów i ścian, wabiła lub groziła postaciami wesolych Fanonów, figlarnych Amorów, Sfinxów zadumanych, potężnych lwów, delfinów,



orłów, sępów, węży, bajecznych i w naturze nienapotykaných splotów zwierzęcych i ludzkich ciał.

Dachy portyków i pałacowych krużganków dźwigały tam jakby napowietrzne, kwitnące ogrody, okna świątyn i górnych pięter pałaców jaśniały kryształowemi szybami i powiewały różnobarwnemi zasłonami; słupy arkad wystawiały na widok publiczny nieobliczone bogactwa i olśniewającą migotliwość kobierców i tkanin wschodnich, greckich naczyń, złotych, srebrnych, wyrzeźbionych, malowanych, alexandryjskich szkieł i kryształów, zabarwionych przeróżnie i w przeróżne wylewanych kształty; cenne gatunki drzew, mozaiki, drogie kamienie, perły, bursztyny, onyxy, agaty, szyldkret, kość słoniową, ujęte w kunsztowne dzieła stolarskiej, snycerskiej i złotniczej sztuki.

Taki dziś miała pozór część owego Tarkwiniusowego ładu, który niegdyś złościł się i szemrał zasiewaniem na rzecz królewską zbożem. Lecz inną część jego, zwycięzki lud, który ściał do szczętu i w nurty rzeki rzucił królewskie zboże, przeznaczyl był na dopełnianie najważniejszych czynności publicznego życia swego: na wojskowe przeglądy lub ćwiczenia i sejmy, obierające konsulów, dyktatorów, cenzorów, trybunów, pretorów, edylów, wszystkich słowem tych, którzy z woli i wyboru ludu sprawować mieli rządy państwa i kierować jego losami. Część tę pola, poświęconego Marsowi, z jednej strony obrzeżał Tybr, z drugiej, do lasu dziś już podobne, Pompejańskie i Lukullusowe ogrody; z trzeciej—ulica Szeroka (via lata), obiegająca stopy Kwirynalskiego wzgórza. Miejsce to nosiło nazwę *Septów*, a było otwartym i rozległym placem, który od brzegu do brzegu napelniały niegdyś orężne brzęki rycerstwa, albo burzliwe, skłócone gwary wolnego ludu, czyniącego tu użytek z najważniejszej ze swobód swoich. Pierwszy Oktawian-August miejsca tego użył na widowiska publiczne, zabawiające i jednające dla niego tłumy burzliwe i wrażeń namiętne żadne. Odtąd ćwiczenia i przeglądy wojskowe odbywały się tu, jak dawniej, ale lud nie obierał nikogo na dostojęstwa żadne. Wszystkie one skupiły się teraz na jednej, najwyższej głowie. Imperatorem, czyli głównym dowódcą wojsk, dyktatorem, konsulem, trybunem, cenzorem—był Cezar. Imiona innych, pomniejszych, wiatry lejące z Pallatium przynosiły do uszu ludu i posłusznie powtarzały je na Septach usta jego. W zamian, często bardzo Septy kipiały radością tłumów, rozbawionych igrzyskami, a pasionych chlebem, z szaloną niekiedy hojnością sypiącym się na nie z dłoni Cezara...

Przez Augusta zbudowana, wielka droga Flamińska, szerokim pasem sunęła pod lesistą zielenią Pompejańskich ogrodów, u skraju Septów wiązała się z ulicą Szeroką, przez którą w łono stolicy wpływała. U brzegu jej, niby olbrzym wyprostowany i strojny, nad zieleń ogrodów i pod błękitny nieba wznosił się śnieżny grobowiec Augusta, z nieruchomo gorejącą pod błękitami, ogromną kulą złotą.

Jak akord muzyczny, zgodnie odpowiadający akordowi innemu, w zna-

cznej od grobowca odległości odpowiadał mu, lecz wyżej od niego wzbijał się obelisk słońca, na którego strzelistym szczycie, w postaci potężnego młodziana, z długimi włosy i siedmiopromienną na nich koroną, z lirą w ręku a kijem pasterskim u stóp, stał bóg światła, obfitości, młodości i twórczych natchnień — Febus Apollo. U stóp tego-to obelisku, całą rozległość dawnego miejsca sejmowych obrad kolisto otaczając, wzniosły się, w amfiteatr zbudowane, wielopiętrowe schody, a u dołu stanęły obszerne, purpurą i złoceniami zdobne, trybuny i łoże.

Najpodeszlejsi w wieku starcy przypominali sobie, że, za czasów dzieciństwa ich, w tém samym miejscu, Oktawian-August radował lud widokiem igrzysk Trojańskich. Teraz znowu, na rozległej arenie, zaslanęj miękkim i obficie zroszonym kobiercem murawy, ujrzyć miano igrzyska te, w których brali udział nie najemni kuglarze i skoczkowie, nie grubijańscy cyrkowi woźnice, nie w niewoli urodzeni gladyatorowie, nie ulubieni nawet muzycy i deklamatorzy, ale liczna, świetna młodzież dwóch najwyższych w państwie stanów: synowie senatorskich i rycerskich rodzin. Na czele zaś jój, księciem młodzieży w igrzyskach tych mianowany, znajdować się miał syn cesarski, niedawny zwycięzca Judei, pięknoscią, mężstwem i talentami wsławiony Tytus — przyszły Cezar.

Pierwsza godzina dnia upływała. Słońce, za Kwirynalskiem wzgórzem wschodzące, blado-żółtém światłem napełniło wnętrze głębokiej kotliny, której ściany od szczytu do dołu wysłane już były postaciami, ubiorami i twarzami ludzi. Przez noc całą pole Marsowe szumiało morzem ludności, oczekującej tu nadejścia dnia, i której część znaczna, przy pierwszych już brzaskach świtu, z radosnym hałasem stłoczyła się na kolistych ławach. Czternaście ław, dla rycerskiego stanu przeznaczonych, napełniło się już po brzegi, lecz dostojność postaw i giestów, właściwa ludziom wyższych warstw społecznych, jako też gorliwa nad nimi pieczołowitość „designatorów“, urzędników, wskazujących miejsca i doglądających porządku, nie dopuszczały tu tłoku tego i hałasu, który kipiał na piętrach wyższych, zaludnionych tłuszcą kupców, fabrykantów rzemieślników, wyrobników, czeladzi fabrycznych i dworskich, nadewszystko zaś żołnierzy. Niepodobna już było w tłumie tyń odróżnić rodowitych Rzymian i dawnych lub świeżych przybyszów z Grecyi, Syryi, Azji Mniejszej, z Afryki, Hiszpanii, a nawet z niedawno podbitej Gallii i Brytanii, i na-pół podbitych, sprzymierzonych prowincyi germańskich. Pośród potomków starożytnych Kwiryków, śniadolicych, o wązkich czolach i postawach dumnych jeszcze nawet w lachmanach, pośród Greków, zgrabnych, zwinnych, strojnych, gadatliwych, i Syryjczyków z chytrym wzrokiem i cynicznymi twarzami, mieszały się baczycy i ościężali Kapadoci, czarni Numidzi, biali, płowi i silni Germanie, żwawi, weseli, dziwnie szybko cywilizacją rzymską wchłaniający w siebie Gallowie, pół-dzicy, ponurzy Bryci, Hiszpanie o gorejących zrenicach, sprężycy i szczupli Partowie, żółtoskórzy, mądrzy, o przebie-



głych oczach i sarkastycznych uśmieszach Egipcyanie, z których niejednu zapewne, spoglądając na otaczające go przepychy i obrządki, z dumą potomka wielkiego rodu, pierwszy początek ich wywodził ze swęj ojezyny. Wschoinnie podanie o wieży Babel sprawdzać się zdawało w tém zbiorowisku najrozmaitszych plemion i języków, które podbój, żądza użycia, przeróżne interesa i nieprzewyciężona siła pociągu, przez cywilizacyą wyższą na niższą wywierana, zgromadziły w stolicy świata.

W chaosie tym czuć było, spajającą go w karną całość, siłę miecza. Czuć ją było w ogromnej ilości żołnierstwa różnej broni i różnych téż plemion, które dziś, z ludem zmieszane i wraz z nim igrzysk oczekujące, panowało nad nim wyraźnie butą, dumą, śmiałością słów i poruszeń, gotową zda się zdeptać wszystko, co-by jęj niepodobać się mogło, wiedząc o tém, że uczynić to jęj wolno bezkarnie.

Zaprawdę! najwyższym wodzem ich i sędzią był Cezar. A któż, jeśli nie oni, Cezarem go uczynili? Kto, jeśli nie oni, utworzyli dla Palatium żelazny fundament, na którym stało ono bezpiecznie? Czy tylko oni? A! i ta tłuszcza jeszcze, która w téj chwili, na widok wchodzącego do jednej z łóż cesarskiego syna, szaleje okrzykami, na cześć jego wydawanemi;—i te tam gromady bogatych wykwinisiów, próżniaków i hulaków obu plei, które teraz dopiero zaczynają napełniać łóże i trybuny ołśniewającym bogactwem swych strojów i gwarem pustych i błahych rozmów, ale nie te, o! najpewniej nie te trybuny i łóże, które powoli i jakby niechętnie zajmować zaczynają mężowie i niewiasty, dziś nawet, w dniu igrzysk, w dniu Apollina, nie rozebrani z powagi, z surowości, z zamyślenia, w którego głębi kipią wieczne i nieprzejednane bunty. Tych mieczem i wygnaniem dziesiątkowały już podejrzliwe i mściwe dłonie dziewięciu poprzednich cesarów, a jednak—żyją oni jeszcze, tu są także, a na chmurnych ich czołach wić się zdaje dalej i dalej w przyszłość promień ten, który przed wiekami połyskiwał w sierpach ścinających królewskie zboże na Tarkwiniuszowym łanie...

Trybuny i łóże były już prawie napełnione. W jednej z nich, Cestysz, wódz wojsk zwyciężonych w Judei i zażarty wróg judejskiego plemienia, w śnieżną i złotem szytą latiklawę owinięty, wspierał się o bogato haftowane poduszki, ponury i rozjątrzony, pomimo liczego otoczenia, z osób obu plei złożonego. Młodziutkięj i pięknej żony jego, która uwierzyła w judejskiego Boga, u boku jego nie było. Nieustannie zato, głośno, po łacinie i grecku, szczebiotała tam Kaja Marcya, tuląca w objęciu nieodstępną swą psinę; u odkrytego łona innych niewiast tuliły się karzelki, małpki, papugi i nawet uczone gołębie i szpaki; leniwy Stella powiewał szerokimi rękawami swęj przezroczytęj, niewieścięj szaty; wytworny Karus rozsiewał mocne zapachy perfum; poeta Marcyalis układał naprędcie złośliwe epigramata, które hucznym śmiechem napełniały obszerną i licznie zaludnioną łózę.

Niedaleko ztamtąd, oczy wielu ludzi zwracała na siebie wyniosła

i w skromną stolę ubrana, Fania, żona pretora. Kilka tylko wielkich rubinów krwisto błyszczało w kruczonych jej włosach, z których spływająca srebrzysta zasłona lekkim obłokiem owijała jej kibić. Otaczała ją ludźmi wielu: niewiast dojrzałych, dziewic młodych, mężów w brunatnych płaszczach i z długimi brodami, w których poznawano filozofów. W loży tej, postawy i gesty spokojne, powściągliwe, wiernie przedstawiały istotny, surowy typ rzymskiego plemienia. Rozmowy toczyły się tam przyciszone, niemniej żywe i pełne uśmiechów ust młodych i ognistych błysków żreń. Fania, uprzejma i na każde słowo otoczenia swego uważna, niespokojną jednak wydawała się i bladejszą, niż zwykle. Helwidysza przy niej nie było. Jako pretor, musiał on z wierzchołka wysokiej bramy dać znak rozpoczęcia igrzysk. Bez znaku, przez niego danego, rozpocząć się one nie mogły. Cezar Wespazyan nie przybył jeszcze. Czy popędliwy i litery prawa śliście przestrzegający, Helwidysz, pozwoli rozpocząć igrzyska w nieobecności Cezara? Postawa i twarz Fanii były spokojne, ale serce jej pod miękkiemi zwojami śnieżnej materji uderzało gwałtownie. Do młodzieńca, tuż za nią stojącego, zwracając się, rzekła z cicha:

— Czy mógł-byś, Artemidorze, dotrzeć do wyjścia i Helwidyszowi zanieść ode mnie poselstwo, które ci powierzę?

— Spróbuję, Domina — szybko odparł malarz. — Co mężowi twemu powiedzieć od ciebie mam?

— Powiedz mu, że proszę go... aby pamiętał o małym Helwidzie naszym...

Artemidor, z uszanowaniem i nisko skłoniwszy głowę, opuszczał lożę pretora, ścigany wzrokiem jednej z młodych dziewcząt, otaczających Fanią, i ognistemi spójrzeniami bogatej Fulwii, którą, po krótkim, lecz głośnym w Rzymie związku miłosnym, opuścił był przed rokiem. Piękna ta i wysoko urodzona żona bogatego i starego wyzwolenca przepych stroju swego i powaby nie ukrywanej wcale zalotności roztaczała w tej samej trybunie, w której Eliusz Lamia, wesolością huczną i o nic zda się niedbającą, zwracał na siebie uwagę publiczną. Odkąd jeden z synów Cezara uwiódł i porwał mu żonę, stał się on przedmiotem mnóstwa rozmów, ciekawości, ubolewań i szyderstw. Wiedział o tem. Z niedbałemi ruchami wielkiego pana, nie troszczącego się o gwary gawiedzi, w stroju i z postawą człowieka, który zbyt młodym i możliwym czuł się, aby cios doznany o rozpacz go mógł przyprawić, ukazał się on w trybunie z otoczeniem licznym i wesolem, promieniejący, swobodny, świetny.

Głośne i z lekka tylko ironią zaprawne, żarty jego, słyszeli nawet ludzie, z dala siedzący; z zapalem deklamował miłosny wiersz jakiś, świeżo przez społecznego poetę utworzony, pochylał się nad Fulwią i w słowach zalotnych wyrażał podziw swój nad pięknością jej i z kolei nad okrywającemi ją klejnotami. I raz tylko, raz jeden, w chwili, gdy syn Cezara, Domicyan, wysmukły, blade i łysiejący młodzieniec, otoczony mnóstwem dostoj-



ników, pomiędzy którymi przeważali ludzie w wojskowych ubiorach, ukazał się wśród purpury, złocień i rzeźb cesarskiej łoży, niedbała i wesołością upojona twarz Lamii wyglądała tak, jakby na mgnienie oka zsunęła się z niej maska. W tym mgnieniu oka, szybkim, jak błyskawica, ukazała się ona zmiętą i rozplomienioną rozpaczą i gniewem. Z rozgorzałych nagle oczu znieważonego, na niezdrową i złośliwą twarz uwodziciela strzeliło spójrzenie, pełne nienawiści ponuręj i wścieklej; wnet przecież, bardzo szybko, wesoła maska okryła znowu twarz Lamii i tylko wzrok jego ostygł powoli, bo spotkało go wiele spojrzeń przyjaznych, dających mu zrozumiałe dla niego znaki porozumienia i jednomyślności.

Jedna już tylko trybuna pustą była. Obszerna i niemniej bogato od cesarskiej przystrojona, zwracała ona wciąż na siebie uwagę powszechną. Dlaczego dotąd nie nappełniło jej grono ludzi, oczekiwanych przez publiczność z ciekawością najwyższą? Wiedziano powszechnie, kto w niej ma zasiąść. Dlaczego nie przybywała ta, której imię było dziś na wszystkich ustach? Czy zatrzymywało ją dotąd w łożu leniwość wschodnie? albo, w marzeniach o cesarskim kochanku, zapomniała o dzisiejszej uroczystości obcego jej ludu? Może od zwierciadła oderwać się nie mogła, pragnąc pięknocią swą wywołać dziś z ust oblubieńca słowo, na które oczekiwała od dawna, i zdobyć przyjaźń narodu, którego panią zostać pragnęła? Z wewnątrz nie widać było orszaków, do amfiteatru przybywających. Wchodziły one do łoż i trybun, przez liczne kurytarze, ułatwiające napływ i odpływ ludności. Jednak, na raz, wiele tysięcy wytężonych w tę stronę oczu, za lekkim ażurem zawartej bramy, ujrzało przebiegający szereg ludzi, biało ubranych i podnoszących w rękach topory, owinięte płekami różg. Byli to liktorowie, którzy, sznurem jeden za drugim biegnąc, poprzedzali kilkanaście wspaniałych i błyszczących lektyk, otoczonych konnyń oddziałem Germanów, zbrojnych w luki, okrytych zwierzęcemi skórąmi i na wiatr puszcujących grzywy płowych włosów. Tak zjawiał się zawsze na ulicach Rzymu orszak żyda Agryppy, króla darowanego mu przez rzymskich władców malutkiego państewka, Chalcydy. Fantazyjnym niemal królowaniem tym dzielił się on z siostrą swoją, i wraz z nią — może przez nią — używał najwyższych tu honorów i insygnii: liktorów, szat senatorskich i wojennych straży. Orszak ten przemknął za lekkim ażurem zawartej bramy. Natomiast u szczytu kilku marmurowych schodów, spuszcających się ku pustej dotąd trybunie, ukazała się olśniewająca postać kobieca, i kto wie, jakim uczuciem zjęta, nieruchomo przez chwilę stała.

Czy w dniu, który stanowczo rozstrzygnąć miał jej losy, widok obcego ludu zbudził w sercu jej lub sumieniu, śpiącą zazwyczaj, trwogę lub zgryzotę, albo też raczej chciała ludowi temu ukazać się w całym przepychu piękności i bogactwa i pozwolić, aby przez chwilę mógł on od stóp do głowy objąć wzrokiem postać swjej przyszłej pani? Nie była już młodziutką, i ten-to właśnie wiek dojrzały, w jakim się znajdowała, nadając kształtom jej siłę i peł-



BERENIKA.





ność rozkwitu, przyoblekał je w przepych istotnie królewski. Siła i duma były od jęj postaci; z rysów jęj i ubioru wiał Wschód. Kto wie, jaką myślą, czy jakim uczuciem powodowana, w Rzymie i z Rzymianami żyjąc, nie opuszczała ona nigdy żydowskiego stroju. Zapewne, z przebiegłością kobiety, która czarować umie i pragnie, odgadła, że on-to najlepiej wdziękom jęj przystawał; w nim przecież po raz pierwszy ujrzał ją Tytus.

Z silnych i cudownie utoczonych ramion, płaszcz, olśniewający wschodniem splełaniem wzorów i barw, spływał aż do skraju sukni, przewiązanej bogatym pasem. Na śnieżnej piersi, której nie osłaniała wzorzysta tkanina płaszcza, w kilku zakrętach wił się aż do pasa gruby łańcuch złoty, z uczepionym u ogniów rojem drobnych księżyców, gwiazd, węzów i gadzin. Ramiona jęj owijały złote węże, w których wnętrzu, jak wszyscy o tém wiedzieli, kryły się, w kształcie tajemniczych napisów, przyciągające szczęście, talizmany wschodnie. Z pod złotęj opaski, usianęj rosą drogich kamieni, olbrzymie warkocze, tak czarne i lśniące, że krucze włosy Rzymianek wobec nich pogasły, migocąc wplecioni w nie złotemi gwiazdami i węzami, opadały na plecy jęj, pierś, ramiona, aż do skraju płaszcza, mieszając się i płacząc z dyamentowemi, długimi aż do ramion, kolcami, z błyszczącemi splotami i fręzlami pasa, u którego zwieszały się, dyamentami sadzone a wonnościami napełnione, flakony, i pełne złotych monet, przezroczyście, misternie z pereł plecione, sakiewki.

Żadna z niewiast rzymskich nie nosiła takich płaszczów, pasów, łańcuchów i puszczonech na wolę warkoczy; żadna z nich, najbardziej rozkochana w zhytku, nie okrywała się takim mnóstwem barw, wzorów, drogich kamieni i metali. Żadna też, najżałotniejsza, nie miała w twarzy tego wyrazu pół-sennęj, rozmarzonęj, kornęj namiętności, który przemawiał, wabił, pieścił, ze śniadego czoła, uczernionych powiek, długicęj, falistęj rzęsy i pół-otwartych, zmysłowych oczu Bereniki. W przepychach blasków i barw rozkochany, półsenny, lubieżny Wschód Daryuszów, Sardanapalów i Salomonów, zdawał się spływać w łono rzymskiego plemienia pod postacią kobiety tęg, na której widok, przez chwilę, Amfiteatr zalegała cisza grobowa, aż w górze, na piętrach najwyższych, wybuchnęły grzmoty oklasków i krzyków. W górze, na piętrach najwyższych, zmysły czarująca piękność jęj i przepych jęj stroju dokonały dla nięj podboju zmysłowęj i bogactwo wielbiącęj tłuszczy.

— Witaj, Bereniko! Zdrowia i szczęścia Berenice! Sophos! (brawo) sophos! sophos!

Tak huczał w górze lud różnoplemienny, wrażeń chciwy, synowi Cezara przypodobać się żądny; dłonie tam klaskały, głowy falowały, ramiona miały się, powiewając w powietrzu różnobarwnemi chustkami. Ławki środkowo, napełnione rycerstwem, z rzadka tylko wtórowały temu zapałowi tłumów; na dole, w trybunach i łóżach patrycyuszów, męskie i niewieście postacie pograżały się w nieruchome milczenie. Zaledwie tu i owdzie dworak jakiś



powitał wchodzącą powstaniem z miejsca i uprzejmym giestem ręki; prawie na plecy skrzywionego Cestyusza wspinając się, Kaja Mareya wydawała donośne okrzyki ciekawości i podziwienia; czoła filozofów i senatorów schmurzyły się, poważne niewiasty spuściły powieki, po ustach wykwintnisiów nawet i zalotnie mknęły wzgardliwe, szyderskie uśmiechy. Oklaski i krzyki w górze trwały jeszcze, gdy Berenika, w miękkiej, pół-leżącej postawie, zasiadła pośród szkarłatnych, złotem i perłami haftowanych poduszek, w otoczeniu licznego grona kobiet, w migotliwy i bogaty strój wschodni przybranych.

Z innej strony trybuny zasiedli jednocześnie z nią przybyli mężczyźni. Tu panowały wyłącznie ubiory rzymskie. Agryppa, w senatorskiej latiklawie, blady, zimny, milezący, pozór miał Epikurejczyka, nie pozwalającego żadnym sprawom świata wstrząsać wykwintnym jego spokojem. Obok niego, lecz całkiem do niego niepodobny, ukazał się Józef, żyd, który, na znak hołdu dla panującej w Rzymie rodziny Flawiuszów, przybrał nazwisko Flawiusza — ex-rządca Galilei, o zdradę kraju obwiniony przez dowódców judejskiego powstania, pisarz sławny już z dzieł swych, pisanych po grecku, a w których naprzemian schlebiał zwycięzcom i wysławiał zwyciężony swój naród, zło-rzecząc i oczerniając tych z pomiędzy rodaków swoich, którzy śmieli podnieść rękę przeciw potędze Rzymu, budzącej w nim cześć szczerą i czołobitną. Dwoistość uczuć i charakteru malowała się wyraźnie w żywej postaci i ruchliwych rysach Józefa.

Przyjaciel Agryppy, cieszący się łaskami królewskiej rodziny, zasiadł on w jednym rządzie z królem Chalcydy; za dwoma tymi ludźmi, najwybitniejszymi pośród przebywającej w Rzymie arystokracji żydowskiej, zasiadło i stanęło liczne grono bogatych i wpływowych żydów, których najwybitniejszym typem był opasty i doskonałym zadowoleniem z siebie jaśniejący, w rzymską togę ubrany, złotem i klejnotami u piersi i rąk błyszczący, bankier Monobaz. On i kilkunastu podobnych mu ludzi przedstawiali w Rzymie tę część żydowskiego narodu, która w ojczyźnie swęj nosiła nazwę Saduceuszów. Posiadacze znacznych majątków, potomkowie starożytnych rodzin, przyswoili oni sobie do pewnego stopnia grecko-rzymską oświatę, w obyczajach naśladowali zwycięzców połowy świata, korzyli się przed potęgą, rozdającą wszelkie zaszczyty i dobra, filozofowali trochę, ze szkoły Epikura czerpali wyłącznie naukę spokojnego używania rozkoszy ziemskich, w białych i klejnotami zdobnych rękach żwawo i biegle obracali ogromne bogactwa. Każdy z nich przywiódł tu z sobą synów swych, krewnych, skrybów, pomocników i pierwsze służby swego domu.

Ogromny orszak, nie mniejszy od tych, które dokoła patrycyuszów składali klienci i ich służby, zaległ głęboką i obszerną trybunę Agryppy, a z pomiędzy niego, prostotą postawy i stroju, jako też cichym smutkiem oblicza, wyróżniał się Justus. Najmilszy mu snadź, czy najważniejsze czynności u boku jego pełniący, zajął on miejsce najbliżej Agryppy, i z-za festonów

szkarłatnych opon zamysłoném okiem wodził dokoła. Nagle, uczucie zdziwienia i trwogi wstrząsnęło spokojnemi jego rysami, a z ust wyrwał się szybko stłumiony wykrzyk. Spójrznie jego, zwolna rozglądające pstrą mieszaninę ubiorów i twarzy, spotkało się z postacią dobrze sobie znaną, której dlatego może nie spostrzegł, że była mu ona drogą i że przyoblekały ją cechy, wyróżniające ją z otaczającego tłumu. Cechami temi były: niezmierna chudość ciała, ubiór podarty i w wielu miejscach odsłaniający skórę zczerniałą i opaloną, twarz ciemna, chuda, czerwonemi bliznami przerznięta, czarnym, splątanym zarostem zjeżona. Na jednej z najniższych, gminowi wyznaczonych ław, wysoki i chudy człowiek ten w podartej sukni, nie siedział, ale stał i tak pochylał się na przód, jakby wnet, ruchem rozjuszonego tygrysa, rzucić się miał na zieleniejącą w głębokim dole arenę. Oczy jego zapadłe, ciemnymi kołami otoczone, z pod powiek zczerniałych i brwi zsuniętych wpatrywały się w lożę Agryppy i Bereniki, z wyrazem to bezdenne go żalu, to na przemian wścieklój nienawiści.

Z ust Justusa wyrwał się krótki i szybko stłumiony wykrzyk:

— Jonatan!

Czego on przyszedł tu? Jakim sposobem, dlaczego, w jakim celu wdarł się pomiędzy tłum ten, wśród którego tysiąc oczu poznać i tysiąc ust wydać go może? Jaka myśl, jaki szalony zamiar zrodzić się mogły w zgorączkowanej głowie człowieka tego, który tyle już widział krwi i mąk, tyle przeżył rozpaczy i nędzy, że na wszystko ważyć się był zdolny?

Z pobladłą twarzą, Justus myślał przez chwilę; potem z uszanowaniem pochylił się nad Agryppą i szepnął do niego słów kilka. Milezący Agryppą, z obojętną łaskawością skłonił głowę na znak przyzwolenia; Justus wraz z kilku sługami opuścił trybunę, a po chwili, na jednej z ław, przeznaczonych dla gminu, dał się widzieć ruch taki, jak gdyby świeżo nadpływająca fala roztrącała tam pstre morze ludności, czyniąc pośród niej miejsce dla siebie. Słychać tam było donośne głosy *designatorów*, usiłujących torować drogę komuś, kto, jako sekretarz króla Chalcydy, miał prawo, wraz z towarzyszami swymi, zająć pośród pospólstwa miejsce poczesne.

Lecz nikt, ani gmin sam, nie spostrzegwał tego, co się działo na gminnych ławach. Trzecia godzina dnia upływać zaczęła; Cezar nie przybywał jeszcze. Stary, chory, w żołnierskiém życiu stwardniały, pieniężnemi sprawami nadewszystko zajęty, Wespazyan, pomp i obchodów publicznych nie lubił. Czyż przeto tysiączne tłumy w upalnym ścisku oczekiwać na niego mają? Czy przeto stać się nie ma zadość obyczajowi, który zabawy publiczne rozpoczynać nakazywał wnet po wschodzie słońca, i ważniejszym nad ów obyczaj przepisom, zalecającym czcić dzień, poświęcony bogom, od samego jego początku? Na górnych piętrach czuć było stłumione niby warczenie zniecierpliwionych tłumów; niżej, twarze chmurzyły się niezadowolaniem i usta zamieniały się sarkastycznemi uśmiechami. W szeregach szlachty, senatorów, dwo-



raków, filozofów, artystów, wykwintnisiów i hulaków, przeróżne ambieye, niechęci, urazy, wspomnienia i próżności stanowiły materyał palny, w którym drobna iskra wzniecić mogła ciche, lecz niebezpieczne pożary. Sam patron dnia, Febus Apollo, na podniebnym szczycie obelisku swego gniewać się zdawał na ludzi za ociąganie się z oddawaniem czci jego świętu, i z siedmiopromiennój korony swój, kąpiącój się w słońcu, ciskał im w oczy groźne błyskawice.

Nagle, na ławach szlacheckich i w wielu senatorskich łóżach wybuchnęły huczne, przeciągłe oklaski; w zamian zaś, gmin, warczący przedtém, umilkł i skamienieli dworacy. Na szczycie wyniosłej bramy ukazał się pretor. Białą togą, złotemi palmami usianą, wspaniale opłynięty, z berłem w ręce jednę, a białą chustką w drugiej, silny i śmiały Helwidyusz Priscus, ukazał się na szczycie bramy, powitany oklaskami jednych, a przerażoném milczeniem innych.

— *Sophos*, pretorze! Witaj, odważny! Zdrowia ci, dostojny! — z dołu ku górze wzbijał się snop głosów, zapalę brzmiących.

Błady i łysiejący Domicyan wściekle wejrzenia rzucił ku szczytowi bramy; tu i ówdzie, z ust ludzi, błyszczących wojskowém ubraniem, wybiegały grube przekleństwa; tłuszcza ocknęła się i zaszemrała.

— Cezar nie przybył jeszcze... Cezara niema... Cezara niema... W nieobecności Cezara! Możeż to być? możeż to być? możeż to być?!

Mogło to być. Pretor rękę jedną oparł na srebrnym orle berła swego, drugą wyciągnął. Biała chustka, jak wielki motyl, na zieloną arenę spadała. W tej samej chwili, nieopisaném szyderstwem nabrzmiały głos Laraii wzbil się nad wszystkie gwary, wołając:

— Długiego życia ci, Helwidyuszu! długiego ci życia! długiego ci życia!

Fania szybkim ruchem srebrzystą zastonę na twarz zarzuciła; schyłony nad nią Artemidor szeptał:

— Małżonek twój odpowiedzieć ci kazał, Domina, że nie godzien mieć syna ten, kto nie śmie uczynić zadość słuszności i prawu.

Słuszności i prawu stało się zadość. Na szczycie bramy, wojennie, tryumfalnie, przeciągłe, zagrały trąby, ażurowe jój odrzwia rozwarły się na oścież, wielotysięczny tłum, z zapartym w piersiach oddechem, znieruchomiał.

Przez rozwartą bramę, na rozległą, zieloną arenę powoli wjeżdżać zaczęły konne i zbrojne hufce, czterokonnemi, tuż za sobą postępującemi rzędami; wszystkie inne wyprzedzał hufiec najmłodszy, w którym na trackich, małych, jak śnieg białych koniach, jechali młodzieńcy, zaledwie z pacholęcego wieku wyrosli, w śnieżnych tunikach, ozdobionych purpurą, w zielonych wieńcach na odkrytych głowach, z pełnemi strzał kołczanami na plecach i lekkimi, krótkimi dzirydami w dłoniach. Zaledwie dorosli, smukli, wiotcy, półrycerze ci a pół-dzieci, silnie jednak i zręcznie dzierżyli na srebrzystych wo-

dzach konie swe, które, z zalotnym wdziękiem stąpając, zdawały się nie dotykać prawie trawnika areny.

Za białym i lekkim tym hufcem ukazał się drugi, starszy już i cięższy, połyskujący złocistą maścią koni, zjeżony długimi, ostremi dzidami, niby rzeką stali płynący małymi tarczami i płaskimi misiurkami jeźdźców. Trzeci, na wzór Germanów, nie osłaniał niczem głów ani piersi. Ramiona i piersi okrywały mu skóry wilcze; grubą skórą okryte były nogi; w rękach jeżyły się napięte łuki i ciężkie, długie, żelazne dzidy. Był tam jeszcze poczet, na hiszpańskich, zwinnych, o drgającej skórze koniach jadący, z małymi tarczami i hełmami z kunsztownie wyciskananej skóry, z krótkimi, zakrzywionymi mieczami u boku, a stalowymi lancami w rękach; i inny jeszcze, ostatni, którego afrykańskie, czarne jak noc, rumaki, stapały poważnie, a silni, wysoce jeźdźcy, potężnie wyglądali w pełnym, szczero-rzymskim rynsztunku: w pancerzach, okrytych wzorzystym rznętym bronzem, w hełmach wysokich z orlemi skrzydły, w sandałach, okrywających nogi sznurowaniem ze skórzanych tasiem, z ogromnemi, wklęsłemi, od ramion do kolan sięgającymi tarczami, i długimi, obosiecznemi mieczami, w złożonych i wyrzeźbionych pochwach. Każdy z pocztów tych miał dowódcę swego, który pojedynczo na czele każdego z nich jechał. Lecz zaledwie ten, który ostatniemu przywodził, ukazał się w rozwartej bramie, amfiteatr zahuczał, zagrzemiał, zawył huraganem oklasków i krzyków.

Na czarnym koniu, w złocistym pancerzu, z twarzą półokrytą hełmem, z którego ulatywać zdawał się złoty orzeł z rozpiętymi skrzydły, ogromną tarczę z wyrzeźbioną na niej Chimera, o lwięj głowie i ogonie żmii, jak lekkie piórko na dłoni trzymając, prosty, kształtny, wyniosły, jak błyskawica pomknął wzdłuż hufców, które na arenie wyciągały się długim sznurem i, na czele wszystkich ich stanawszy, złotą, długą lancę swą wznosił wysoko. Był to Tytus.

Umiarkowane na dole, namiętniejsze w środku, na górnych piętrach oklaski i krzyki szalały jeszcze, i jeszcze od grzmotu ich trzeszczały rusztowania budowy i kipiść zdawało się czyste, a coraz gorętsze powietrze, gdy olbrzymi wieniec koni i jeźdźców objął dokoła zieloną arenę. Złota lanca Tytusa znowu mignęła w powietrzu, wieniec rozerwał się, hufce uszykowały się w czterokonne sznury, i powolnym z razu, potem coraz szybszym, lecz zawsze poważnym i rytmicznym krokiem, płynąć i wić się po arenie zaczęły.

Bez okrzyku, ni słowa, bez brzęku broni i prawie bez tententu kopyt, wyciągnięte w sznury hufce konne i zbrojne płynęły wzajem ku sobie, rozmięły się, skręcały w różne strony, zwiły się w koła i girlandy, krzyżowały wstęgi młodych głów w zielonych wieńcach z brązowymi potokami hełmów, lasy dzirytów i dzid z gęstwiną napiętych łuków. Lekkie i zalotne, to silne i groźne, wiły się one po arenie i dokoła siebie, ze zwinnością ptaków, z giętkością węzłów, z wdziękiem, harmonią i ciszą taką, jakby ru-



chy ich posłusznymi były czarodziejskiej, długiej, kędyś za światem śpiewanej, pieśni.

Oklaski i krzyki zmiłły, zastąpił je szmer, podobny do szumu morza, lecz i ten przycichał stopniowo, aż roztopił się w ciszę, mącą tylko gorącymi oddechami tysięcy piersi ludzkich. Ciekawość, poszanowanie dla starożytnego igrzyska i tych, którzy w nióm udział przyjmowali, pozamykały usta wszystkie, a szeroko pootwieraly rozplómięione oczy. Ze szlacheckich i senatorskich siedzeń mnóstwo mężczyzn i kobiet pochylało się nad arenę, z poblądlemi od wzruszenia twarzami, szukając i ścigając wzrokiem w rycerskim tłumie najbliższych i najdroższych. Na zewnątrz amfiteatru panowała też cisza nieskazitelna. Dachy portyków okryte były tłumami, które, do wnętrza amfiteatru docisnąć się nie mogąc, wrzały przedtém i huczały, lecz na odgłos trąb, dających znać o rozpoczęciu się widowiska, zapadły w uroczyste milczenie i stały teraz na tle szafirów nieba, podobne do ścian pstro malowanych, ku miejscu igrzysk schylonych. Z szafirów nieba, pogodnych, ochłodzonych żeglującami po nich stadami białych obłoków, cisza, ciepło i rzęśiste światło lały się na murawy, posągi i kwiaty Marsowego pola. Słychać było poważny szum Tybru i perliste szmery wodotrysków; dokoła Flamińskiego cyrku miedziane nagłówki kolumn płonęły ognistym wieńcem. U strzelistego zaś szczytu obelisku, potężne kształty bozkiego młodziana rysowały się wyraźnie; lira jego, w słonecznych iskrach cała, ożywała, drgała, migotała i, zda się, że w ciszy téj namiętnej i uroczystej, słuch tylko wyteżyć trzeba, aby wnet, wnet usłyszeć, jak Febus Apollo na złotych strunach przygrywa pod niebem rycerskim tańcom, rozwijającym się ku czci jego na zieloném dnie ogromnej kotliny.

Kilka głosów przerwało uroczystą ciszę, wołając:

— Eneida! Eneida! bozki Wirgiliusz!

Na dźwięk imienia uwielbianego, dawno zmarłego wieszczu, mnóstwo ludzi, na znak czci, powstało z miejsca siedzeń. To, na co patrzyli, było wierném odwzorowaniem starożytnej zabawy, którą największy z wieszczów ich w łatyńskiej epopei opiewał. Strofa-to epopei rozwijała się przed nimi. Powstali na chwilę z grobów najodleglejsi ich przodkowie. W strofie téj i w tym obrazie pograżyły się i utonęły postronne namiętności i drobne próżności wszelkie. Zgromadzenie całe, jak jedna istota, pochyliło się nad arenę, wyciągnęło ramiona i ze wzdętej piersi wyrzuciło zgodny, olbrzymi, krótki, bo namiętny, krzyk:

— Sophos!

I wnet umilkło znowu, lecz w zamian dno kotliny zakipiało ruchem, zagrzmiało tententem, zadzwoniło brzękiem oręża i tarcz. Spokojny i uroczysty rytm przemieniał się tam w pośpieszny wojenny, burzliwy. Zamiast w ciszy i z wdziękiem splatać się i rozmijać z sobą, rycerskie hufce zjeżyły się ostrzami dzid, na ramionach wsparły wyteżone łuki, tarcze ku piersiom lub gło-

wom poniosły, spięły rumaki i pędziły ku sobie, upojone, zda się, oddechem boga wojny. Już, już, jak płomienne wichry zetrzeć się z sobą mają, lecz jeden z nich czyni odwrót szybki i wybawienia szuka w ucieczce. Inne, ścigając go, rozpraszają się także. Arenę usiały roje rycerzy, pojedynczo, z osobna, dokonywających z chyżością błyskawic tysiąca zwrotów. Trackie koniki białe, niosąc biało ubranych jeźdźców, wydają się rozsypanem nad murawą i niedotykającym jej stadem łabędzi. Inni podobni są do lwów płowych, w pogoni za zdobyczą, na wiatr puszczających grzywy; tamci, na czarnych, potężnych rumakach, roznoszą pożary bronzowych pancerzy i hełmów, nad którymi najwyżej rozpiętemi skrzydły unosi się złoty orzeł Tytusa, i z gęstwiny dzid żelaznych, stalowych, złota lanca jego strzela nad wszystkie głowy, które, w pośpiechu nawet i szale ucieczek i gonitw, napowietrznych poruszeń jej z oczu nie tracą. I teraz także, na znak dany przez to błyszczące ostrze, hufce wracają z rozsypki, z szybkością myśli zbiegają się, szykują, koniom swym wsteczne dają obroty i pośród areny tworzą czworobok ogromny, zbity, mur niby, w mgnieniu oka wystawiony z łbów koni i opancerzonych piersi ludzkich. Nad murem tym wyrósł i nieprzebitą zjeżył się gęstwina wysoki, ostry, ciemnymi błyskami migocący las żelaznych i stalowych dzid. Złoty orzeł z rozpiętymi skrzydły obleciał dokoła czworobok, i złota lanca zakolysała się znowu w powietrzu; mur czworoboku rozłamał się, rozproszył się las polyskujących ostrzy; tarcze skórzane, stalowe, bronzowe, w rękach rycerzy wzniosły się nad ich głowy, ku którym napięte łuki sypnęły deszczem strzał i pocisków.

Jak deszcz rzęsisty, spadający na metalowe posłania, strzały i dziryty dzwoniły po tarczach; od gęstej chmury ich ściemniała na chwilę arena, aż rozwidniła się, i dokoła niej ukazał się znowu wieniec koni i jeźdźców, nieruchomy, lecz, jak tęcza, igrający mieczem. Tak w greckim, pyryjskim tańcu, od którego może trojańskie te harce początek wzięły, dziewice igrały z lutnią, którą sobie wzajem z rąk do rąk rzucały.

Mężowie i rycerze lutnią zastąpili mieczem. Szeroki miecz Tytusa, rzucany, chwytny, podawany dalej, powietrzem niby leciał, z rękojeści, w diamenty zdobnej, siejąc deszcz krwawych, zielonych, błękitnych błysków. Przeleciał olbrzymie koło i ani razu ziemi nie dotknął, ani żadnej nie zakrwa-wił dłoni... aż w górę, do wysokości orła na hełmie, wznosił go syn cesarski, a na znak ten, wieniec rycerski pękł, zadzwonił w tarcze, i znowu trackie konie, jak śnieżne łabędzie, nad murawą, zda się, unosząc biało ubranych jeźdźców, szły na spotkanie czarnych biegunów z orlemi skrzydłami; hiszpańskie rumaki, delikatne i wrażliwe, z drżącą skórą i parszczącymi nozdrzami, płomień ciskając z oczu, krzyżowały się z kosmatym zastępem skór wilczych i gniadym poczem, opuklerzonym stałą... I znowu cicho, bez okrzyków i brzęku broni, prawie bez tententu kopyt, hufce rozmijały się, skręcały w strony różne, wily się po arenie i dokoła siebie, z wdziękiem, harmonią i powagą



taką, jakby ruchy ich posłusznemi były czarodziejskiej jakiejs, za światem śpiewanej, pieśni...

Tak trwało długo. Czwarta i piąta godzina dnia upływała, a rycerze i rumaki, bez spoczynku i bez znużenia, z siły swęj i zręczności składali hołd bogu światła i piękna, dumie własnej i zabawie ludu.

Lud bawił się. Rozpoznawano w rycerskich zastępach znajome lub drogie twarze, wywoływano znane lub sławne imiona; oklaski krótkie i namiętne wybuchały, milkły, wybuchały znowu, urywały się, jak przecięte nożem ciekawości: co będzie dalej? Nie zagrzmiały one, jak zwykle bywało, przy wejściu Cezara. Wespazyan przybył bardzo późno; lud przybycia jego prawie nie spostrzegł, i wtedy dopiero krótko, z roztargnieniem powitał go, gdy Tytus, na widok ojca, skinieniem lancy do szyku przywrócił swe hufce i, wraz z hufcami, oddał Cezarowi pokłon wojskowy. Wiedzano, że syn ten i ojciec kochają się i wspierają wzajem. Niemaló ludzi spostrzegło w zamian jadowite spójrzenia, jakimi drugi syn Cezara ściagał starszego brata.

Wiedzano téż powszechnie, że Domicyan nienawdził Tytusa, tego ulubieńca natury i losu, który od natury i losu otrzymał wszystko, co człowiek posiadać może: piękność czarującą, siłę, odwagę, talenta, najwyższą dostojność i bałwochwalczą miłość żołnierzy. Czego mu jeszcze niedostawać mogło?

Niedostawało mu może tego, co mieć ma prawo każdy śmiertelnik prosty: nazwy prawej małżonki dla ukochanej kobiety i dośmiertnego z nią związku?

Trąby na szczycie bramy grały znowu wojennie, tryumfująco, rozgłośnie, dając znać o kończącym się widowisku. Brzegiem areny, w długi znowu sznur rozwinięte, hufce ciągnęły poważne, dumne, a tak świeże i niezmućzone, że tu i ówdzie zaledwie krople potu spływały z pod zielonych wieńców na młodziutkie czoła, tu i ówdzie biała piana plamiła czarną lub płową sierść koni, a niejedna głowa wznosiła się w górę, wzrokiem szukając znanych lub ukochanych twarzy, i niejedne usta z pod brązowego hełmu przesyłały uśmiechy ku pochyłonym nad areną, wzruszonym i rozkoszą drgającym, ustom niewieścim.

Tytus przodem jechał. Zdjął hełm ze złotym orlem i wraz z tarczą trzymał go u boku, drugą dłonią dotykając zaledwie luźno puszczonego wodzy. Teraz lud dowoli napatrzeć się mógł twarzy jego, której piękność od krańca do krańca znanego świata stutrabna sława głosiła. Po długich, rycerskich harcach, nie było na niej wyrazu tryumfu lub wesołości. Zadumę i niepokój baczne oko wyczytać-by na niej mogło. Zrośnięty jakby z czarnym swym biegunem, z postawą prostą, spokojną i silną, Tytus, pochylał jednak sniade czoło, jakby pod ciężarem palącej troski. On, wódz po wielokroć zwyciężki, czy odniesie dziś zwycięztwo, którego oddawna pragnęło serce jego i inne jeszcze? Zwycięztwo nad czem? Nad wolą ojca, pobłażliwą dla niego zawsze, lecz tym razem surową; nad dumą patrycyuszów, niechęcią filozo-

fów i licznych ich uczniów, nad kapryсами gninu, któremu panować miał, lecz który zarazem panował nad nim. Dokąd wiedzie on hufce swoje? Złożył już wraz z niemi pokłon przed lożą Cezara, i drugi, odwiecznym zwyczajem nakazany, przed szeregiem śnieżnych tog senatorskich.

Trąby grają wciąż pieśni odwrotu; szeroka brama stoi otworem, lecz hufce rycerskie, z dowódczą swym na przedzie, ciągną jeszcze brzegiem areny. Wielotysięczny tłum wie dobrze, gdzie konia swego zatrzyma dowódzca. Przez kilka dni ktoś po stolicy rozsiewał wieść tę, która jednych poila gniewem, w innych zapalała gorączkę ciekawości i współczujące sympatye. Nakoniec, czarny rumak stanął, jak wryty. Tytus osadził go przed trybuną Bereniki; za nim, także jak wryte, stanęły hufce jego.

Wśród purpurowych festonów, z poduszek haftowanych perłami i złotem, zwolna, rozkosznym i kornym ruchem, w całej wyniosłości rosnącej swęj kibici, opłynięta całym bogactwem stroju swego, podniosła się i stanęła czarodziejka Wsebudu. Któż kiedy zliczyć potrafił trawiące marzenia, niepokoje i żądze, z jakimi chwili tej oczekiwała? Kto kiedy zgadnie, czy teraz miłość albo duma wrzały w jej żyłach palącym warem? Pod skrętami złoto-łańcucha, po cudownej jej piersi przebiegały namiętne drżenia; warkocze, jak czarne węże, owijały jej kibić, na śniadą twarz i szkarłatne usta spadł wyraz upajającej, pół-zmysłowej, pół-extatycznej rozkoszy. Głowę dyamentami usianą pochyliła nisko, pokornie, podniosła ciemne powieki, i z pod firanki falistych, drżących rzęs, spójrznie czarnych, jak noc, pieszczących, pokornych oczu, zatopiła w podniesionych ku niej źrenicach kochanka.

Patrzeli na siebie chwilę. Berenika powoli, w senném jakby upojeniu, pochylała się nad rzeźbioną poręczą trybuny, a w dłoniach, nieśmiałym ruchem rozkochanej niewolnicy, podnosiła laurowy wieniec.

Końca tej sceny, końca sceny, którym być miało, według krążących wieści, ogłoszenie małżeństwa cesarskiego syna z królową Chaleidy, wielotysięczne zgromadzenie oczekiwało z oddechem w piersiach zapartym, z uczuciami rozmaitemi. Tu i owdzie tylko, w górze i na dole, biegły stłumione, choć namiętne szepty, podobne do wązkich strumieni, przerzynających morze ciszy...

Wtém, jak huk gromu spadającego na ziemię, kędyś, z górnych piętr budowy, rozległ się krzyk:

— Przeklęta bądź, Bereniko, hańbo narodu swego! zdrajczyni sprawy słusznój! trucicielko dusz cór judejskich!...

Tu głos chrypliwy, wykrzywiający latyńskie dźwięki, lecz potężny siłą tą, którą daje bezpamiętna, zajadła namiętność, urwał się na chwilę, jakby usta krzyczącego ręka jakaś zamknąć próbowała. Wnet jednak, bardziej jeszcze rozdrażniony, więc potężniejszy, niż przedtém, wybuchnął znowu:

— Przeklętym bądź i ty także, niszczycielu krajów cudzych, potworze, któryś spalił świątynią...

Teraz słyhać było w górze szamotanie się ciał jakichś, biorących się



za bary, urywane krzyki i zbrojne kroki. Ale szalenięć, kędyś tam, w pstrym i ściśniętym tłumie, konwulsyą namiętności zjęty, głosem ochryplym i przerywanym toczoną walką, wołał jeszcze:

— Przekłęci bądźcie oboje przez silnego i strasznego Boga! Przekłęci bądźcie przez niebo i ziemię! Przekłęci bądźcie przez wszystkich, służących sprawiedliwości! Przekłęci bądźcie przez każdą siłę wyższą na niebie i ziemi! Przekłęci... przekłęci... przekłęci!...

Ochryplą, przerywaną, wściekłą głos oddalał się wciąż, oddalał się i słabł, jakby tego, z czyjjej piersi wybuchał, uprowadzano coraz dalej i dalej. W trybunach, łóżach i na wielu szlacheckich ławach panowało milczenie, stokrót wymowniejsze, niż-by były huczne oklaski. Milczenie to było pełne złośliwej radości, przemocą niemal wydzierającej się na twarze. Wszystko, co z jakichkolwiek przyczyn, dla obecnego porządku w Rzymie lub dzisiejszych przedstawicieli jego kroplę choćby jadu chowało w sercu, wszystko, co ze wzgardą spoglądając na obce narody, gardziło klejnotami okrytą przedstawicielką tego z pomiędzy nich, którym gardzono najbardziej; wszystko, co było w Rzymie czystem, zbuntowanym, dumnym, zawistnym lub urażonym, z obojętnością, wymowniejszą nad oklask, przyjęło obelgę, przez nieznane jakieś usta rzuconą na głowę cesarskiego syna i jego kochanki.

Wraz z otoczeniem swém milczał i tryumfujące spójrzenia ciskał Cestysz, nienawidzący Judejczyków, których zwyciężyć nie mógł i którzy mu odebrali żonę; milcząc, lecz ironicznie uśmiechano się w łóż Eliusa Lamii, którego twarz, pod wesołą maską, miłości cesarskiego syna rzeźbiły rozpaczą i gniewem; ponuro i głośno niemal śmieli się krewni i przyjaciele Marcji Formilii, opuszczonej małżonki Tytusa. Lecz ponurą i groźną także stała się dobroduszna zazwyczaj, gruba, żołnierska twarz Wespazyana; Domicjan popędliwym giestem wyciągał ramię, wołając:

— Cezarze! rozkaż, aby jutro święto publicznie śmiałka tego!

Ale gdy giest i usta jego groziły, oczy śmiały się zjadliwą radością, ciosem, który brata jego dotknął, budzoną. Ciosem były dla Tytusa nie tyle krzyki i przekleństwa nieznanego zuchwalca, ile ten niemy poklask, którym przyjęła je znaczna część tych właśnie, których dziś ując, zadziwić, dla celów swoich podbić zamierzał. Nie ugiął on przecież głowy; przeciwnie, oczy jego, które przed chwilą z upojeniem tonęły w źrenicach kochanki, cisnęły płomień srogiego gniewu. Łagodny Tytus, którego ci i owi zwać już poczynałi: „słodyczą ludzkiego rodu“, w gniewie, w żalu, uczuł się ulubionym synem pana świata, i spójrzeniem piorunującego pół-boga wodził dokoła. Berenika zniknęła pośród orszaku Agryppy, który otoczył ją i szybko przed oczyma ludzi zasłonił.

Wszystko jednak, co działo się na dole, cichą sielanką było wobec téj burzy, którą huczały górne piętra gmachu. Tam żołnierze kochali Tytusa jako wodza, który powielekroć wiódł ich ku zwycięztwu, a lud, olśniony pięk-

nością jego, siłą i dostojeństwem, gotów był stawiać dłoń ołtarze i umieścić go w rzędzie nieśmiertelnych bogów. Tam także najgłębsze wzgardy i najsrozsze urazy wrzały ku judejskiemu plemieniu. A nie był-że Judejczykiem zuchwalec ten, który wściekłemi słowy swemi obraził pół-boga i, nade wszystko, przerwał zabawę wesołą, a palącej ciekawości tłumów zaspokoić się nie pozwolił? Wprawdzie i Berenika także żydówką była. Ale nad śmiertelniczki wszystkie wyniosła ją miłość cesarskiego syna, zmysłowa piękność jęj upajała oczy ludzkie, a biła od niej ponętna groza bogactw. Ten zaś, obdartus, nędzarz, przypatrujący się widowisku na ławie gminnej, w sposób właściwy judejskiemu pospólstwu przekręcający latyńskie słowa,—kim on jest?

— Jest to żyd! żyd! żyd! — donośnie wołał Sylwiusz, właściciel haftarskiej fabryki na Awentynie. — Niech mi bozki Apollo lirę swą z obelisku wnet na głowę rzuci, jeżeli nie poznałem w nim jednego z haftarzy, mieszkających za Tybrem!...

— Nie, wcale nie; mylisz się, Sylwiuszu — przekrzyczęć przyjaciela usiłował perfumiarz Wentury. — Żydem jest on najpewniej, ale nie haftarzem. Przysięgam, że jest to jeden z tych, którzy u *Transtiberim* wyrabiają perfumy!...

Przez tłum ściśnięty, depeąc po ludzkich nogach i potężnemi pięściami roztrącając ludzkie ramiona i plecy, przebijał się setnik olbrzymiego wzrostu, rozgniewany i zaciekawiony, z ust wyrzucający grube przekleństwa.

— Gdzie on jest? — krzyczał — gdzie on podział się? Czy schwytano go i uwięziono? Spostrzegłem go z daleka... Kim on jest? Widziałem go już kiedyś! Widziałem go już kiedyś! Gdzie ja go widziałem?...

Mnóztwo głosów naraz mówiło:

— Nie pochwycono go i nie uwięziono!

— Człowiek jakiś stał za nim i usta zamykać mu usiłował...

— Żyd jakiś także, ubrany w togę...

— Przywiódł ze sobą ludzi wielu...

— Wparli się pomiędzy nas, jak byki pomiędzy owce... i rozsiadli się dookoła niego...

— Gdy, roztworzywszy pysk, wrzeszczał swoje głupie przekleństwa, ciągnęli go wstecz, ale opierał się im... Chudy, jak przepiórka, która trzy dni nie jadła, a silny jak ty, Pedanusie...

— Otoczyli go tak, że nie mogliśmy pięściami naszemi do boków jego dotrzeć, ani z ramion naszych uczynić mu łańcuchów...

— Ciągnęli go... obronili... uprowadzili...

— Gdzie ja widziałem! na Herkulesa, gdzie ja wściekły pysk ten kiedyś już widziałem? — olbrzymią pięścią uderzając się po spoconém czole, powtarzał setnik.

Wtém, zwinnie, jakby kości nie posiadał, wywinął się z tłumy i przed



setnikiem stanął, do pasa mu zaledwie wzrostem sięgający człowieczek, w brudno-czerwonej bluzie, pół-ryży a pół-łysy, ze śladami sandałów na bosych prawie nogach. Żółte, małe oczy, z kocią przebiegłością ku grubej i wielkiej twarzy olbrzyma podnosząc, zawołał:

— Gdzie i kiedy wściekły pysk ten widziałeś, Pedanusie, powie ci o tém Silas, lektykarz z tamtej strony Tybru. Widziałeś go na czele judejskiego wojska, zbuntowanego przeciw Cezarowi... Wrogiem on jest Cezara i bogów... żydem zaciekłym, który chciał-by usmażyć cię, Pedanusie, i zjeść na sabatową wieczerzę... Zbiegiem on jest, którego dawno już ścigają władze rzymskie...

— Pamiętam! — krzyknął Pedanus — na Herkulesa! przypomniałeś mi wszystko, lektykarzu, podobny do glisty! Widziałem go na czele przeklętych buntowników, u boku Jana z Giszali... Zawsze on tam był, zawsze był u boku tego azyatyckiego lamparta... sam jak lampart!...

— Przekleństwo mu! — zawył tłum — przekleństwo zbuntowanemu plemieniu jego!

— Gdzie on mieszka? Łysa głowo! gdzie on ukrywa się, glisto! Gadaj, oberwańcze! roztwórz brudny pysk swój, Syryjczyku! Prowadź nas... niech go w pokutnej ofierze zarzniemy na ołtarzu Apollina... Prowadź nas!... niech go skępowanego oddamy mściwej dłoni Tytusa...

Odpowiedzi nie było. Mały, skurczony, jak wąż zwinny Silas, zmieszal się z pstrym, wrzeszczącym, miotającym się tłumem i — zniknął.

## VIII.

O ile w dniu Apollina ulice i rynki Rzymu opustoszone były z ludności, gromadzącej się dokoła Septów i Flamińskiego cyrku, o tyle nazajutrz mrowiły się one i luczwały milionowym tłumem, uczującym i bawiącym się pod odkrytym niebem. Na licznych rynkach, noszących nazwy: rybiego, wieprzowego, wołowego, drzewnego i t. p., ogromne stoły gięły się pod stosami grubego pieczywa i gotowanych lub pieczonych mięsów. Z metalowych kratków, czyli zbiorników win, mnóstwo łyżek odpowiedniego kształtu lało w kubki czary i mocny trunek, rozcieńczony płynnym miodem i napelniający powietrze ostrym zapachem korzennych przypraw.

Do stołów tych, zastawionych przez Cezara, którego skąpstwo i cheiwość zniknęły wobec potrzeby bawienia i karmienia ludu, przystępowali ludzie różnych stanów. Moźni i wykwintni tylko obchodzili dzień ten hucznym ucztowaniem w ścianach domów swych i pałaców. Rynki i ulice roiły się ludnością, złożoną z licznych klientów wielkich domów, noszących zbiorową nazwę pasożytów; ze świeżych wyzwoleńców, którzy jeszcze nie mieli czasu otrząść się z fizycznych i moralnych nędz niewolnictwa; z wolnych najemników, używanych do różnych robót w fabrykach, sklepach, na ulicach, w porcie; z niewolników, którym łaskawość panów ich nie wzbraniała rzadkiej zabawy; z mnóstwa żołnierzy i setników, z prostactwa swego znanych.

Tłum ten zwiększały jeszcze liczne, nazwę *collegiów* noszące, zgromadzenia rzemieślników różnych zajęć: haftarzy, perfumiarzy, piekarzy, szewców, krawców i t. p., a mieszały się do niego także kupcy, którym posiadany dostatek nie przeszkadzał do pożądania ulicznych uczt i rozrywek; pośledni adwokaci, szukający tu sposobności popisywania się z wymową i zdobywania przez nią klienteli; ciekawość i łatwowierność tłumów wyzyskującej wróżbia-



rze, gwiazdciarze, kuglarze. Jakkolwiek w trzech naraz teatrach odegrano dnia tego śliczne pantominy i uciészne *atelany*, czyli sceniczne farsy, jakkolwiek tysiące ludzi przypatrywały się na Marsowém polu wystawionym tam na widok publiczny osobliwym zwierzętom i węzom ogromnym, nosorożcom, tańczącym słońiom i t. d., na Septach podziwiała siłaczy, linoskoków, szybkobiegów, przeróżnych kuglarzy i skoczków; to jednak nie było w Rzymie ulicy żadnej, którą-by nie ciągnęły gromady mężczyzn i kobiet, nasyconych jadłem, upojonych, a co najmniej, rozweselonych trunkiem, z głowami ustrojonymi w zielone wieńce, z flecistkami na czele, z ulicznymi deklamatorami, mówcami i trefniami, którzy, wspinając się na wyniesione nad poziom miejsca, przykuwali do siebie uwagę gromad tych, albo budzili w nich śmiechy, do grzmotów podobne. Wszystko to grało, śpiewało, śmiało się i hucało w powietrzu upalnym, dusznym, wstrząsanym tylko od czasu do czasu dławiaczami powiewami wiatru, wiejącego z południa i wiodącego za sobą chmury i burzę. Szmaty chmur szarych, ciężkich, sunęły pod niebem, przysłaniając od chwili do chwili słońce, lecz nie ochładzając żaru, którego piekące tchnienia roznosił, ze spieczonych pustyń leący, *Africus*.

Forum Romanum gorzało. Roziskrzzone niebo lało blaski swe na świątynie, pałace i kurye rynku tego, noszącego właściwie nazwę Forum Civilis, rynek obywatelski; w słonecznej spiece, która go napelniała, olśniewająco płonęły niezliczone i nieocenione przedmioty bogactwa, z których tam, na kunsztownie zbudowanych rusztowaniach, uczyniono wystawę publiczną. Był to wystawiony na widok publiczny skarbiec państwowy: zbiór łupów, zdobytych przez wojny zwyciężkie, i kosztowności, zgromadzonych przez chciwość, marnotrawstwo, lub artystyczne zamięłowanie poprzednich Cezarów. W górze, nad rusztowaniami temi, tak jak i dokoła Forum, u ścian, wrót i portyków, sztandary wojenne wysoko wznosiły w powietrze zdobiące je orły, gwiazdy, splety węzów i grozić zdające się olbrzymie ręce. W dole, pstry, na wiele oddzielnych gromad rozbity tłum, z podniesionymi głowami rozglądał się w tém nagromadzeniu bogactw, które poilo go uczuciem bezbrzeżnej dumy. Setki rozognionych oczu przesuwwały się z kolei po stołach, okrytych naczyniami złotemi i usianemi obfitą rosą drogich kamieni; po łóżach, urabianych w kształty lwów, łabędzi lub pawi, a wysadzanych kością słoniową, szyldkretem, srebrem i dyamentami; po szachownicy, utworzonej z dwóch dyamentowych tablic, a której pionki zawierały w sobie pudy kunsztownie rzeźbionego złota; po ulanych ze srebra i złota posągach bogów, Cezarów i sławnych wodzów; po kilkudziesięciu koronach, uplecionych z pereł; po wielkiej grocie, niby obfitą rosą, osypaną perłami; po wzgórzu nadewszystko, będącém istotnym wzgórzem, ze złota ulanem, a na którego spadzistościach wiły się gałęzie winne, wyrastały jabłonie, pokryte liściem i owocem, biedz zdawały się, jakby żywe myśliwskie orszaki, złożone z lwów, jeleni i ścigających je psów.

Te i inne tym podobne osobliwości i drogocенności, od czasów Pom-

pejusza już i Cezara, więc od stu przeszło lat, stopniowo zgromadzały się w skarbcu rzymskim i wywierały na duszę rzymskiego ludu właściwe sobie czary. Ale dziś, na Forum, wznosiło się pośród innych rusztowanie jedno, które najliczniejsze ku sobie przyciągało gromady, bo wystawione na niem były przedmioty najmniej jeszcze znane, przed kilku zaledwie laty, po ostatniem słynnem zwycięztwie wojennem, do Rzymu przywiezione. Ostatniem słynnem zwycięztwem wojennem było bezwarunkowe i ostateczne podbicie, oddawna już, lecz warunkowo podległej Rzymowi, Judei. Rusztowanie, największą ciekawość budzące, okrytém było łupami, które zwycięzki Tytus przed kilku laty przywiózł w darze Rzymowi z obalonój w gruzy Jerozolimy.

Wyosobnione nieco z pomiędzy innych, wznosiło się ono w pobliżu wielkiego nagromadzenia marmurowych łomów, z których w tój porze właśnie budowano tryumfalny łuk Tytusa.

Łuk skończonym jeszcze nie był, ale o tryumfie kochanka Bereniki wymownie opowiadały ludowi przedmioty, którym przypatrywał się on z ciekawością najżywszą. Były to przedmioty, któremi naród, daleko, daleko ztąd osiadły, przez długie wieki istnienia swego, przez długi szereg pokoleń, z miłością, z czcią, z milionami trudów i nadziei zdobył i wzbogacał to, co mu najdroższém i najświętszém było: świątynią Boga swego, ognisko, ku któremu zbiegały się wszystkie strumienie naodowego życia. Były tam kobierce ogromne, stubarwne, puszyste, nieobliczonój ceny; opony haftowane misteraie, spinane mnóstwem klamr drogocennych; bogate futra, malowane szkarłatną farbą; był tam ogromny zbiornik wody, z metalowych zwierciadeł urobiony; wielki stół kościelny z drogocennego drzewa, z ciężką balustradą złotą; świecznik siedmioramienny, z bajeczną obfitością osypany złotemi liliami i owocami... Nad tēm wszystkiém, u szczytu rusztowania, stał w blasku słonecznym, jaskrawo malowany, olbrzymich rozmiarów obraz, przedstawiający tryumfalny wjazd Tytusa do Rzymu, po odniesionem zwycięztwie. Za wozem tryumfatora cisnęły się radosne tłumy, szły zwycięzkie wojska i ciągnął poczet wojennych jeńców, zgnębionych, wybladłych, pół-nagich, z łańcuchami u nóg i petlami na szyjach. Nad obrazem, u samego szczytu, paliły się złote litery, składające napis: „Judea zwyciężona, Judea podbita“.

Smutnej wystawie tój przypatrujący się ludzie wesolymi byli. Grube palce wyciągały się w górę, wskazując to i owo, języki uderzały w podniebienia, wydając dźwięki, podobne do smakowania wybornych potraw; ruchliwe wyrostki rozpościerały u nosa dziesięć palców rąk, dając przez to drwiące oznaki wzgardy swój dla podbitego ludu; Sylwiusz, haftarz z Awentynu, ramieniem obejmował szyję, niższego od niego, perfumiarza Wenturego, i obaj promienieli radością i dęli się dumą. Popchnął ich i roztracił, przeciskający się przez tłum, setnik Pedanus.

— Czego ciśniesz się, balu, i ludzi po drodze rozbijasz? — krzyknął obrażony Sylwiusz.



— Taranie do tłuczenia kamieni! omało ramienia mego plecami swemi nie zgmiotłeś! — ciekim i zaperzonym głosem zawtorował przyjacielowi ufryzowany i woniejący perfumiarz.

Dwu wykrzykom tym zawtórowało wiele innych. Za Pedanusem inni jeszcze setnicy i prości szeregowcy niemiłosiernie deptali ludzkie nogi ciężkimi stopami swemi, ubranemi w szamerowane sandały, a silnemi ramionami roztrącali zuchwale ludzkie karki i plecy. Wyrostek jakiś, który właśnie przed chwilą, w weselu serca, przesyłał drwiące giesta ku przedstawionéj na obrazie gromadzie wojennych jeńców, obu rękoma pochwycił się za ucho i z głośnym płaczem przypadł ku ziemi. Nieusuwanącego się prędko z drogi, jeden z żołnierzy poczęstował żartem, od którego z ucha nieszczęśliwego malca pociekł cienki strumień krwi. Łajania i przekleństwa ozwały się w tłumie. Kobieta jakaś, tuląc w objęciach zranionego chłopca, przeraźliwie wyrzekać zaczęła na zuchwalstwo i nieobyczajność żołnierzy, którzy niedawno męża jój, ogrodnika, zrabowali z wiezionych do Rzymu jarzyn i owoców, a dziś zranili jój dziecko...

— Czy na zuchwalców tych obywatel rzymski sądu i kary już naléżć nie może?

— Mnie śmiał potraćić, mnie, Sylwiusza, którego roboty zdobią pałac samego Cezara!

— Plecy moje długo pamiętać będą pięć twoję, Pedanusie, ale, na Herkulesa! jutro szambelanowi, którego wiernym klientem jestem, zaniosę flakon cynamonowój perfumy i błagać go będę, aby skargę moję na ciebie wniósł przed oblicze bozkiego Cezara!

— Jeżeli uczynisz to, Wentury, dowiedziesz tylko, że głowa twoja daleko mniej waży od łuta cynamonu. Powinieneś wiedziéć, że oddawna już na szali sądów rzymskich setnik posiada wagę stu pudów, a spokojny obywatel—jednój setnój łuta...

Głos jakiś poważny, smutny i ironią nabrzmiał, przenosząc wszystkie inne, zawołał:

— Niewdzięczne dusze!

Obejrzano się. Człowiek, który dwa te wyrazy wymówił, wysmukły był i zgrabny, lecz rysom jego przypatrzeć się było trudno, bo ocieniał je głęboki kapiszon płaszcza. Nic w tém dziwnego nie było. Mnóstwo ludzi kryło głowy przed słonecznym skwarem pod kapiszonami lub kapeluszami o szerokich brzegach.

— Co ten skrzeczy? mów dalej! Czy cię matka dwa tylko wyrazy wymawiać nauczyła? — śmiejąc się, wołano dokoła.

Człowiek w kapiszonie powtórzył znowu:

— Niewdzięczne dusze!

Pedanus podjął się wytłómaczyć zagadkowe słowa nieznajomego. Zwrócił się twarzą ku zgromadzeniu i wskoczył na łom marmuru. Z dala wydawać







PRZEZ PSIE MORDY WASZE SZCZEKA DUSZA NIEWDZIĘCZNA.



się mogło, że olbrzymia postać jego, w sznurowanych sandałach, metalowym pancerzu i z krótkim mieczem u boku, stała na głowach ludzkich. Potężną pięść nad głowy te wyciągając, krzyknął:

— Obywatel rzekł prawdę. Przez psie mordy wasze szczeka dusza nie wdzięczna. Łajecie i oskarżać chcecie uczciwego żołnierza, gdy wyjmie on z waszego garnka garść gotowanego bobu, albo, przechodząc, przyciśnie wam koniec delikatnego paluszka! Czyż żaden geniusz, opiekujący się rozumami ludzkiemi, nie powiedział wam nigdy, że gdyby nie ten uczciwy żołnierz, nie posiadalibyście tego, co posiadacie?

W tłumie ozwały się śmiechy i wołania:

— Niech mię Jowisz bóstwom podziemnym odda, jeżeli wiem, co posiadam!

— Nie posiadam nawet jednego srebrnego naczynia!

— Co ja posiadam, setniku? co ja posiadam?

— Pokaż mi własność moję, setniku, a synowski pocałunek złożę na twojej pięści!

— Całuj, ślepe szczenię! — odrzyknął Pedanus. — Alboż te góry złota, pereł i dyamentów, na które patrzycie tutaj, nie są własnością waszą? Do Rzymu należą one, a wy jesteście obywatelami Rzymu, *ergo*, waszém to wszystkim jest!

— Dobrze! — zaśmiał się ktoś — gdy głodnym będę, wykaszę szmaragd z tego oto stołu i najem się nim do syta, a gdy moja Klelia o nową suknię dokuczać mi będzie, ubiorę ją w tę perłową grootę...

— Nikczemna duszo! — zawołał inny setnik, na niższym złomie marmuru u boku Pedanusa stojący — czy nie możesz najeść się i przyodziać dumą Rzymianina, któremu wszystkie narody świata dań tę złożyły?

— Prawdę rzekł! Pudens rzekł prawdę! Wszystkie narody świata nam dań tę złożyły. Jest ona własnością naszą! — zawołało mnóstwo głosów.

— I naszą nieśmiertelną chwałą!

— I słodyczą oczu waszych, które w dnie święte widokiem bogactw tych poić się mogą do syta!...

— Powiedziałeś, Pedanusie! powiedziałeś, Pudensie! Zdrowia i wiecznego życia Cezarowi, który nam na nie patrzeć pozwala!

Pedanus parsknął śmiechem, od którego, zdawało się, że drgnęło potężne rusztowanie.

— Czemuż, trzodo barania, i nam także zdrowia i wiecznego życia nie życzysz! Naszym-że to potem i naszą krwią chluby te i pociechy wasze kupione. Któż je zdobył, jeżeli nie nasze męztwo? Kto azyatyckich barbarzyńców do stóp waszych rzucił, jeżeli nie nasze pięści i miecze?

Pełne zapału krzyki rozległy się w gromadzie. Wszystkie głowy przytwierdzająco kiwały, wszystkie oczy, rozgniewane przed chwilą, z poszanowaniem i miłością zwracały się ku potężnym postaciom setników. Sylwiusz



przepchnął się ku Pedanusowi i, wyprężając ramię, przyjacielsko i delikatnie pociągał go za brzeg konchy usznej.

Wentury, z flakona, wyjętego z-za sukni, wylał trochę perfumy na włosy jednego z żołnierzy; kobieta, która przed kilku minutami płakała nad skrważonem uchem syna, podnosiła rozpromienione oczy i uśmiechała się rzędem śnieżnych zębów.

— Nie gniewam się już na was, żeście wóz męża mego zrabowali z jarzyn i owoców... — mówiła. — Gdy przechadzać się za miastem będziecie, wstąpcie do domu ogrodnika Tacyusza. Żona jego, Balbia, uczęstuje was wyborem mleczywem i winogronami z własnej winnicy...

— I, przez wdzięczność za zabijanie synów wszystkich narodów świata, z rozkoszą pozwoli wam zakrwawić drugie ucho swego syna! — donośnie odezwał się znowu wysmukły i zgrabny człowiek, ubrany w płaszcz z kapiszonem.

Nikt jednak tym razem na odezwanie się jego uwagi nie zwrócił. W tłumie sykano:

— Milczéć! milczéć! setnik mówi!

Pedanus mówił istotnie. Szeroko rozmachując potężnymi ramiony, wskazywał on wciąż na rusztowanie, okryte łupami, przyniesionemi z Judei, zapytywał o coś, coś opowiadać zaczynał. W przycichającym gwarze, niby urywane ryki, słychać było słowa jego:

— Jeżeli mniemacie, że to były sobie wesole tańce, jesteście stadem osłów. Powiadam wam, że bronili się, jak lwy wściekle... Tarany i bale, któremi rozbijaliśmy ich mury, psuli i palili. Z trzystu machin wyrzucali na nas kamienie i grotty... osypywali nas deszczem strzał, owiniętych w płonące pakuły... oblewali nas kipiącą wodą i oliwą... Wszystko to czynili, i więcej jeszcze... wypadali na nas we dnie i w nocy... nie dawali nam jednej minuty bezpiecznego snu i odpoczynku... Aha! gdybyście ich wtedy widzieli!... wykuli-byście tyle posągów, ilu było rzymskich żołnierzy, w tej walce z rozjuszonemi bykami i lampartami... Jan z Giszali nie był człowiekiem. Powiadam wam, że nie był on człowiekiem takim, jak wy, i nawet jak my, to jest na przykład ja, albo Pudens... Na własne oczy widziałem, jak z głowy jego wylatywały płomienie i siadały na głowach jego żołnierzy... Powiadam wam, że był to czarownik... Kiedy raz z góry oliwnej stoczyli się na nas, jak piana lernejskiej hydry, Fulminata nawet, czy słyszycie? najwytrawniejsza z czterech legii Tytusa, Fulminata, w której setnikami są Pedanus i Pudens, nie ustała... w szyku i odpornie, ale cofnęła się, i gdyby nie Tytus, którego bozki głos usłyszawszy, przestawaliśmy zawsze słyszeć samych siebie... może-byście teraz nie wytrzeszczali oczu na łupy judejskie i nie rozdziawili gęb, słuchając słów Pedanusa... Przeklęte plemię! Ile razy wspominał o tym dniu feralnym, który na moment przyćmił sławę Fulminaty, tyle

razy czuję straszny apetyt pożarcia choć jednego z tych wrogów Cezara i Rzymu.

Tak mówił Pedanus, a gniew i srogość, coraz bardziej pokrywające dobroduszy z natury wyraz grubiej, wielkiej jego twarzy, szybko, jakby magnetycznie, udzielały się słuchającej go gromadzie.

— Przeklęte plemię! — zawołał ten sam głos, który wprzód z żartobliwą ironią mówił o wykaszaniu w chwili głodu szmaragdu z judejskiego stołu i ubraniu żony, Klelii, w grotę perłową. — Przeklęte plemię! Chciałbym zemścić się za Fulminatę i w zębach moich schrupać jeden jego ułamek!

Widocznie najskeptyczniejszych nawet z razu ogarniał zapał. Ci, którzy bliżej Pedanusa stali, śmieli się. Z twarzy setnika widać było, że opowiadać zaczął coś zabawnego. Wszyscy słuch wytężyli. Gdyby ktokolwiek tam mniej był zajęty opowiadaniem setnika, spostrzegł-by, że czoło wysmukłego człowieka, ubranego w płaszcz z kapiszonem, okryte było krwistym runieńcem, a w ciemnych oczach jego świeciły łzy.

— Powiadam wam — prawil Pedanus — że bogowie sami na widok ten ze śmiechu brali-by się za boki!... Było to tak: Tytus przemówił do nas... święte dreszcze zjęły nam ciała i dusze... Fulminata leci na *ich* spotkanie... Wicher nigdy szybszym od niej nie był... Konnica przeciw konnicy, wpadamy na nich, ścieramy się, twarz z twarzą, pierś z pierśią, miecz z mieczem... Łoskot, huk, krzyki, jęki, walenie się na ziemię eielsk końskich i ludzkich — nie słyszymy nic... Oglusza nas wstyd wczorajszy, wściekłość szkarłatem okrywa przed nami wszystko... Konie i twarze wrogów, miecze ich, stojące za nimi mury obleżonego miasta, niebo, ziemia... wszystko... czerwone... Powiadam wam, że w tój godzinie bogowie dla nas cały świat krwią umalowali... Nie wiem, ile łbów ściałem, ile piersi przebiłem, ile tułwi odrąbałem... Wtém, czuję, że ze mną samym źle... Jeden z nich naciera na innie z zajadłością i zręcznością piekielną. Sto razy miecz mój dotykał jego piersi i sto razy odbił on go i swój ku mnie obrócił. Patrz: mrówka, czy pantera? Mały, cienki, mizerny... (z głodu wychudły, bo głód straszliwy panował już tam w ich murach), do ramienia mi wzrostem nie sięga, istna mrówka!... a silny, pomimo to, a rozjuszony, sprężysty i obskakujący mię dokoła — jak pantera! Eheu! myślę sobie, czy ja się dam zjeść owadowi temu? Bogowie mię natehnęli! Miecz przerzuciłem w lewą rękę, a prawą schwyciłem go za udo, i nie mieli-byście czasu wymówić *Salve!* — a już z konia go ściałem. Lekkiż był! Ręka moja czuła, że wnętrzości jego były puste. Tu już i cofać się oni przed Fulminatą naszą zaczęli, a ja, judejskiego rycerza mego za nogę trzymając, ku Tytusowi go pełnym pędem konia mego niosłem. Pędziłem, a jeńcem moim, niyb skryb trzcinką, wciąż go za nogę trzymając, w powietrzu wywijałem. Ktokolwiek spójrzył, wybuchał śmiechem, ale zato z siły i pięści Pedanusa nikt odtąd nie zaśmieje się nigdy...

Słuchacze śmieli się nie z siły i pięści Pedanusa, aż nadto widocznej,



ale z przedstawionego przezeń obrazu judejskiego rycerza, którym setnik rzymski, za udo go trzymając, niby skryb trzcinką w powietrzu kręcił..

— Zuchwalstwo ich granic nie znało — równie grubym, jak u Pedanusa, głosem zawołał niżej nieco stojący Pudens. — Niechaj Pedanus potwierdzi prawdę tego, co wam opowiem. Staliśmy naprzeciw ich wojska, czekając hasła do boju. Poruszyć się nie można... Niechaj Pedanus potwierdzi, jaka to męka nie móżdż poruszyć się bez rozkazu i bezczynnie słuchać zuchwałych wyzywań ich i żartów... Wyzywali i żartowali... żartowali z nas, że tak już długo oblegamy ich miasto i nie dokazać nie możemy... Wtém jeden z nich, ten, którego widzieliśmy zawsze u boku dowódcy ich, Jana z Giszali, wypada na przód. Wysoki, chudy, czarny, z trzęsącą się gębą ciska na wojska nasze grad obelżywych wyrazów i wyzywa... wyzywa: „Niech który z rycerzy waszych stoczy ze mną pojedynczą walkę... Pójdź, pójdź, Rzymianie! uderz się piersią w pierś z Judejczykiem... niech ramionami memi choćby jednego z was do serca przycisnę!“ Niech Pedanus potwierdzi, że tak wyzywał. Słucham, wściekam się, ale stoję, jak wryty. Karność! nikomu bez rozkazu poruszyć się nie wolno! Mniej wytrzymałem i karnym był Priscus, młodziutki syn siostry mojej, Serwili... Rok jeszcze nie upłynął, odkąd włożono na niego togę dojrzałości... wnet potem został żołnierzem... dziecko! Niech Pedanus potwierdzi! Wypadł z szeregów... nie wytrzymał... zerwał się... na Judejczyka leci... spotkali się, starli, walczyli krótko... Priscus mój padł skrwawiony, przeszyty na wylot mieczem Judejczyka... Niech Pedanus potwierdzi, jak białym i pięknym, jak odważnym i dobrym był syn mojej Serwili... dziecko! Jam nie żonaty... Służąc Rzymowi, nie miałem czasu usłać sobie gniazda... Priscusa chciałem za syna sobie przybrać... Siostrę miałem jedną... tę... Serwilią... uczciwą i słodką kobietę, która, gdym w Rzymie przebywał, karmiła mię doskonałym bobem, naprawiała mi odzież i wraz ze mną wspominała rodziców naszych... Z żalu po synie, prędko poszła w krainę cieniów!... Niech Pedanus potwierdzi...

Pedanus nie potwierdzał. Pięścią olbrzyma ocierał on łzami zwilgocone oczy. Głos Pudensa, który stawał się coraz żałośniejszym, i grube rysy jego, wykrzywiające się do płaczu, rozrzewniły wrażliwą gromadę słuchaczy.

— Gdybym była na miejscu Serwili — cisnąc do piersi wyrostka ze skrwawioném uchem i ukazując białe zęby, krzyknęła Balbia — dopóty pomiędzy Judejczykami szukała-bym owego, dopóki bym go nie znalazła, oczu mu nie wyklula, języka nie urnęła i pazurami serca nie wydrapała!...

— A gdybyś, Balbio, matką była Judejczyka tego, którego Pedanus, kręcąc za udo w powietrzu, niósł Tytusowi, co-byś uczyniła? — donośnym głosem zapytał człowiek w płaszczu z kapiszonem.

Nikt go nie słuchał. Gromada, słuchająca opowiadań setników, wrzała.

— Jakto! — najgłośniej krzyczał haftarz Sylwiusz — i żaden z was

nie pomścił biednego Priscusa? Zuchwalstwo Judejczyka uszło mu bezkarnie?...

— Pomściła go strzała Pudensa — zawołał Pedanus. — W towarzysza Jana z Giszali cisnął on strzałę... którą ugodzony, padł na ziemię...

— Zabity! — z uczuciem jakby niewysłowionej ulgi westchnął tłum.

Pudens ścisnął pięście i rozpaczliwym ruchem wyciągnął ramiona.

— Niech Pedanus potwierdzi, że jest to plemię czarowników! Zabójca mego Priscusa padł, ugodzony strzałą moją... a jednak widziałem go wczoraj!...

— Gdzie? kiedy? mów!

— Wczoraj, na Septach... Ten sam, który z bluźnierczej gęby swój cisnął obelgę na bożkiego Tytusa i wspaniałą Berenikę... Był to on, ten sam... Niech potwierdzi Pedanus...

— Powiadam wam, że był to ten sam... — potwierdził Pedanus. — Zabitym go mniemaliśmy, wczoraj ożył... dziś znowu może Harpie pociągnęły go do podziemnego państwa...

— Żyje! — piskliwym, przesywającym głosem krzyknął ktoś w tłumie.

Człowiek, ubrany w płaszcz z kapiszonem, zadrżał. Nikt na niego nie patrzył. Uwaga powszechna zwróciła się na człowieka w brudno-czerwonej bluzie, z głową pół-ryzą, pół-lyszą. Pedanus, patrząc na niego z wysokości swojej, zawołał:

— Witam cię, glisto! Wczoraj już rozmawiałem z tobą. Żyje, powiadasz?...

— Żyje! — podnosząc wzrok ku olbrzymowi i żółtymi powiekami mrużąc, odpowiedział Silas.

— Gdzie jest? kędy ukrywa się zabójca mego Priscusa? Prowadź nas tam, oberwańcze, a sprawimy ci taką nową tunikę, jakiej nie widziały od urodzenia żółte twoje ślepia! — wołał Pudens.

Ale Silas skrył się już za szerokimi plecami Babasa i zwinnym ciałem uwieszonoj u ramion silacza, ciemnocień, rozczochranj, w srebrne obręcze strojnej Egipcjanki, Chromii.

Przypomnienie wczorajszego wydarzenia na Septach było strzałą, owiniętą w płonąca materją i w tłum rzuconą. Wszyscy naraz przypomnieli sobie urazę swą, wszyscy naraz zagadali, wszyscy uderzyli w oburzenie nad zniewagą, wyrządzoną synowi Cezara, i obrazą wspaniałej Bereniki, w gniew na zuchwalstwo nędznego endzoziemca, który znieważył majestat rzymskiego ludu.

Z grupy, utworzonej przez Syryjczyków, nad którą wzrostem swym wynosił się Babas, a którą ożywiały zjadliwy chichot Chromii, piskliwy głos donośnie zawołał znowu:

— Nazywa się on: Jonatan!

Była-to druga strzała, w płonąca materją owinięta i w tłum rzucona,



Mnóztwu ludzi imię to przypomniało mnóztwo rzeczy. Nie jedne uszy sły-  
szały o nim po wielekroć, nie jedne oczy szukały go i ścięgały po świetle.  
Był to jeden z wodzów judejskiego powstania, jeden z najcięższych prze-  
stępców przeciw władzy nad światem Cezara i Rzymu. Ten-to był, który,  
po wielekroć raniony, z ran swych wyleczał się zawsze i znowu obok Jana  
z Giszali przeciw wojskom rzymskim stawał. Ten-to był, który, tułaczem  
już nędznym i ścięganym będąc, zdołał jeszcze w Egipcie zebrać kilko-  
tysięczną zbrojną gromadę Judejczyków i wzniecić tam przeciw władzom cesar-  
skim bunt, mizerny wprawdzie i szybko utopiony we krwi buntowników,  
lecz świadczący o zażartej nienawiści i niepokromionem zuchwalstwie po-  
twora tego. I ten potwór, ten czarownik, którego doścignąć nie mogły ani  
strzały, ani zbiorowe mordy, ani czujne, sturęczne władze wielkiego państwa,  
znajduje się w Rzymie i śmie... śmie... śmie publicznie uragać majestatowi  
rzymskiego ludu, złorzeczyć ukochanemu przez lud i wojsko synowi Cezara  
i oblubienicy jego... Setnicy zeskoczyli z marmurowych łomów i, zbieci  
pośród Forum w gromadkę, złożoną z połyskujących olbrzymów, toczyli pomię-  
dzy sobą namiętą rozprawę. Na łomie marmuru stanął Sylwiusz i, powiewa-  
jąc malowniczymi fałdami swjej togi, poruszając w powietrzu białą ręką, na  
której błyszczał pierścień z amestystem, przemawiał długo w zgiewku i wrzawie,  
aż ściągnał na siebie uwagę powszechną i sprowadził względną ciszę. Z giestem  
pretora i miną polityka, roztrząsającego sprawy ważne, przemawiał:

— Rozważcie to, obywatele, w światłych umysłach waszych! oni jedni  
opierali się tak długo potędze naszej. Egipt, Syrya, Azya Mniejsza, Gallia,  
Hiszpania dziękują już fortunie za to, że połączyła je z Rzymem, inni  
warczą, lecz korzą się przed potęgą i oświatą naszą... rozważcie to, oby-  
watele, przed potęgą i oświatą naszą, zatém moją, Wenturego i twoją także,  
Tacyusza, i twoją, Nigerze, i twoją, Balbio, i twego małego syna, Balbio!  
Ci tylko, mizerni, tak długo stawiali nam czoło, i teraz jeszcze, zwyciężeni,  
bluźnią bogom naszym, Cezarowi i nam... Ale czy oni są naprawdę zwyciężo-  
nymi? Rozważcie to, obywatele, w światłych umysłach waszych, czy zwycię-  
żonymi są ci, którzy zachodzą nam drogę wszędzie: w porcie, na rynkach,  
w portykach, i ucziwym obywatelom rzymskim odbierają zysk z ciężkiej  
ich pracy i możność wyżywienia swych rodzin...

Tu, niby z pod skrzydła, z pod ramienia Sylwiusza wysunęła się ufry-  
zowana główka Wenturego, który, rozpościerając ramiona, zawołał:

— Sylwiusz rzekł prawdę! Odkąd rozmnożyli się oni za Tybrem, nie  
sprzedają połowy tej ilości perfum, jaką sprzedawałem dawniej... Sylwiusz  
rzekł prawdę!

— Prawdę rzekłeś, Sylwiuszu, prawdę rzekłeś! — Odpowiedziało mnóztwo  
głosów, których większość należała do robotników, pracujących w fabrykach  
Sylwiusza i Wenturego. Naśladując klientów wielkich panów i swych patro-  
nów, rzeszystemi nawet oklaskami osypali oni mowy swych pracodawców.

Oprócz nich zresztą, znajdowało się w słuchających gromadach wielu innych najemników, którzy istotnie ubogi, lub nawet nędzny mieli pozór. Ci, w każdej okoliczności przypomnieć radzi to, co obchodziło ich najwięcej, wołać zaczęli, że dwanaście asów dziennego zarobku nie starczy im na wyżywienie się i utrzymanie rodzin i że patronowie powinni-by płacić im więcej.

— Jakże uczynić to możemy — z gościem mównicy, wyrażającego rozpacz, odpowiedział Sylwiusz — skoro sami ze stron wszystkich doświadczamy naj-sroższych ucisków? Nie dość, że patrycyuszki prowadzą na własną rękę mnóstwo fabryk i wyroby swe, dokonywane przez niewolników, taniej od nas sprzedawać mogą, trzebaż jeszcze, abyśmy we własnej stolicy naszej udręczani byli przez cudzoziemców!... Rozważcie to, obywatele...

Potem, słodkim jak miód, czułością nabrzmiałym głosem, zawołał:

— Czy przystaniecie na to, obywatele, aby uczeźwi Rzymianie obsiedli most żebraków, a cudzoziemcy rozpierali się z bogactwami swymi w grodzie przodków naszych?... Rozważcie to w świątłych...

— Most żebraków! most żebraków! — z pod ramienia mównicy jęklawie przerwała ufryzowana głowa perfumiarza — rozważcie to w świątłych głowach waszych!

— Na Kastora! — zawołał wysoki i chudy *Mercenarius* — gdy patronowie obsiądą most żebraków, my dzieci nasze chyba w Tybr powrzucamy!...

— Jeżeli wprzód na sabbatowych wieczerzach nie pozjadają ich Judejczycy!

Słowa ostatnie wymówił człowiek, który dotąd w milczeniu przysłuchiwał się wszystkim mowom i rozmowom. Stał on u stóp *rostry*, publicznej mównicy, plecami oparty o jeden z okrętowych przodów, z których składał się wysoki jej piedestał. Bogatą suknią okryty, na ciemnej twarzy miał on wyraz przebiegłości, zuchwalstwa i złośliwości, właściwy niewolnikom wielkich rodów, pełniącym u boku panów swych czynności rządzców domu, pochlebców, tajemnych agentów w ciemnych i często niebezpiecznych sprawach. Poznano w nim ulubionego niewolnika, rządzcę domu, pochlebcę i tajemnego pełnomocnika Cestysza, byłego dowódcy wojsk rzymskich w Judei i męża pięknój Flawii.

W mgnieniu oka ciekawość publiczna opuściła Sylwiusza, a zwróciła się ku najstarszemu słudze wielkiego pana. Otaczało go kilku innych jeszcze ludzi, którzy naraz albo z kolei przemawiali także, wtórowali słowom swego zwierzchnika, albo je uzupełniali. Wszyscy oni byli z panem swym w Judei, znali dobrze kraj ten i zamieszkujące go plemię. Opowiadali też rzeczy, od których słuchacze bledli z przerażenia, albo drżeli z gniewu. Jakto? pięką ciała cudzoziemców i zjadają ich wnętrzności?! cześć oddają oślej głowie, kozłowi i takiemu bożkowi, którego wnętrze napelnione jest ogniem! W ogień ten rzucają oni na ofiarę dzieci! Bożek ten nazywa się Moloch. Modlą się



téż do cielenia, ulanego ze złota. Posiadają czary i zaklęcia, któremi cudzoziemców nawracają na swoją wiarę. Mnóstwo jest w Rzymie ludzi, którzy wiarę ich przyjęli. Czy lud rzymski spokojnie patrzeć będzie na opuszczone bóstwa swoje?... Poprzedni Cezarowie nieraz już przeciw Azyatom tym świętości Rzymu bronili. Klaudyusz wypędził ich z Rzymu. Cezar Wespazyan łagodny jest i zatrudniony wielce innemi sprawami, ale nienawidzi ich, i po tém, co wczoraj zaszło na Septach, opuści pewno na nich karzącą prawicę..

Na Forum rozległy się syczące szmery:

— Cezar ich nienawidzi! Czy słyszycie? Cezar ich nienawidzi! Sługa Cestysza wie, co mówi! Mówi on, że Cezar ich nienawidzi!

Wysmukły, zgrabny człowiek, w płaszczu z kapiszonem, szybko teraz opuścił, błyszczący niezmierni bogactwy i huczący wrzawą roznamiętnionych tłumów, rynek obywatelski. Z trudnością niejaką przecisnąwszy się przez gęsto zaludnione i pysznemi gmachami otoczone ulice Tuskulańskie, minął rynek drzewny, okryty pijącą i hulającą tłuszcą, okrążył wielki cyrk, nad którym akrobata, podobny do jaskrawo opierzonego ptaka, wieszał się po wysoko rozciągniętej linie, i wązkiemi, cichemi już przejściami wstąpił na Awentyn, gdzie ażurem kolumnady swój i barwami fryzu, przez Artemidora malowanego, jaśniał portyk Cestysza.

Tu ciszej znacznie było, niż gdzieindziej. Na krzyżujących się dokoła portyku ulicach nie zastawiano stołów z ucztami i nie hałasował uczujący lud; w portyku zaś przechadzało się kilku ludzi, z których jeden, najwyższy i najbarczystszy, brodę miał siwiejącą, płaszcz ciemny i twarz spokojną, choć gęsto zbrudzoną. Przechodzień, idący z Forum, przystanął i słuch wyteżył w stronę przechadzających się ludzi. Zatrzymali się téż oni wkrótce w pobliżu jego. Młody i świeży głos zapytywał:

— A teraz, Muzoniuszu, powiedz nam, czém jest odwaga?

Plecami wsparty o kolumnę, z ramionami skrzyżowanemi u piersi, stoik odpowiedział:

— Odwaga, Epiktecie, jest cnotą, uzbrojoną w obronie sprawiedliwości. Nie jest ona potworem, który rzuca się w porywie chciwości i barbarzyństwa, dla nasycenia chuci i pychy, lecz wiedzą o prawach ludzkich, nauczającą odróżniać to, co znośić wypada, od tego, co cierpieniem być nie powinno. Serce Sparcyaty gorzało tylko dla zwycięstw. Tak samo dzieje się z pysznym. Chce on być pierwszym, chce on być jedynym, a wznieść się tak nad innych nie może, bez zranienia sprawiedliwości i zdeptania dobra. Z takim walcząc, odważnym szermierzem sprawiedliwości będziesz...

Chwilę panowało milczenie. Poczém ktoś znowu zapytał:

— A czém-że, mistrzu, w samej istocie swój jest dobro?

— Składają się na nie cztery pierwiastki: miłość ludzi, miłość prawdy, miłość wolności i miłość harmonii.

Wysmukły przechodzień, który, z jedną stopą, postawioną na podstawie

kolumny, łokieć na kolanie a czoło na dłoni opierał, podniósł głowę i zawołał:

— Słowa twoje, mistrzu, jak muzyka niebieska grają w ciszy tego portyku i jak balsam kojący cieką w zgiełku, który napelnia dziś to miasto. Ale, Muzoniuszu, gdy ty szlachetnych młodzieńców tych nauczasz tu miłości dla ludzi i prawdy, tam, na Forum, wilki i żmije leją w duszę rzymskiego ludu jad pychy i nienawiści!

Muzoniusz i otaczający go młodzieńcy obejrzeni się, ale przechodzień, który wyborną łaciną, z lekka tylko zaprawną cudzoziemskim akcentem, słowa te wymówił, śpiesznie już skręcał na jedną z ulic, ku Tybrowi wiodących. Po chwili milczenia, w grupie, stojącej w cieniu portyku, ozwał się głos młodzieńczy, lecz ironią i popędliwą goryczą brzmiący:

— Ktokolwiek był przechodzień ten, który przemówił do nas, prawdę powiedział. Obejrż się, Muzoniuszu. Gdy my, w chłodnej téj ciszy, pijemy wraz z tobą niebieski napój filozofii, dokoła nas wrą szały zwierzęce, lud obżera się, opija, hula i wydaje okrzyki na cześć tych, którzy przemieniają go w trzodę wieprzy i wilków. Gorycz i oburzenie wzięły wodze myśli moich i pytam cię, mistrzu: dlaczego tak wąską i niezaludnioną jest droga ta, po której za tobą idziemy?

Muzoniusz łagodnym wejrzeniem objął głowę wąpiącego młodzieńca, i głosem, w którym czuć było spokojnie uśmiechającą się duszę, odpowiedział:

— Jest ona, Juwenalu, wysoką i nieśmiertelną. Zjęty gniewem na zbrodnie i głupoty ludzkie, więdz o tém, że ród ludzki nie kończy się na nas i że pochodzący jego wiek ten nie zamknie. Z pod niebieskiej jasności i ciszy, filozofia sięje prawdy swe w dusze rzadkie, wybrane, które zwolna i z trudem roznoszą je po przestrzeni i czasie. Myśmy kapłani jój i szerzyciele. Do nas-to stosować należy wiersz Enniusza: „Niechaj nikt łzami grobów naszych nie skrapia, bo żyjemy wiecznie, z duszy do duszy latając“. Gdy namiętności kipią, przemoc uciska, głupota szaleje, nie cofajmy się z szeregu szermierzy za prawdę i dobro, lecz, jak na skale wysokiej i nieśmiertelnej wsparci, w przyszłość świata zapatrzeni, czoła nasze na gromy i fale wystawiając, przy zasadach stójmy!...

Wśród oddalonych szumów, które z rynków i ulic taranami niby były w upalne powietrze, słowa Muzoniusza niebieską muzyką grały istotnie w cichym i chłodnym portyku, balsamem gojącym łać się zdawały na ziemskie wrzawy i szal. Młodziutki Juwenal, do ust, z których zniknął sarkastyczny i gorzki uśmiech, poniósł skraj płaszcza ukochanego mistrza; głębokie i cierpiące oczy Epikteta napelniły się blaskiem natchnienia; Tacyusz z zamyślonem czołem i energicznymi rysy zawołał:

— Pójdźmy, mistrzu, na Forum, aby na własne oczy zobaczyć to, o czém mówił nam ów przechodzień!



Lecz do grupy rozmawiających zbliżał się śpiesznie młody, wysmukły mężczyzna, w białej tunice i srebrnej opasce na kruczych włosach. Był to Artemidor. Z głębokim uszanowaniem skłonił się przed Muzoniuszem, rówieśników zaś przyjaznym orzucił spójrzeniem.

— Helwidysz i Fania proszą cię, mistrzu — rzekł — abyś co najprędzej przybył do domu ich, w którym, zanim upłynie godzina, przyjmować będą odwiedziny Domicjana, syna Cezara.

Oczy stoika zaświeciły, jak u rycerza, wzywanego do boju; wkrótce jednak na wysokim czole jego drgnęły i pogłębiły się zmarszczki. Wzniósł nieco ręce, spójrzeniem utonął wysoko.

— Domicjan w progach córki Trazea... twarzą w twarz z Helwidyszem...

Tu, dając się porwać płomiennemu charakterowi swemu, który filozofia na wodzy trzymała, ostudzić go nie mogąc, zawołał:

— Jest-że dzień choćby jeden, który-byśmy, w spokoju i bezpieczeństwie, wielkim myśłem i rozważaniem poświęcić mogli? Bądźmy gotowi, o ukochani! bądźmy gotowi na to, że każda godzina dla niejednego z nas feralną stać się może.

Odeszli.

Przechodzień, który przed chwilą do Muzoniusza przemawiał, był już także daleko. Ulicą, która z bramy Ostyjskiej ku Tybrowi wiodła, spuścił się on z Awentynu, przeszedł pod cieniściami i rzeźbami ociekającym sklepieniem łuku Germanicusa, przebył most i znalazł się w żydowsko-syryjskiej dzielnicy Zatybrza. Tu cisza panowała głęboka. Syryjska ludność wyciągnęła na miasto ku ulicznym zabawom i ucztom, żydzi zawiesili snadź zwykle swe zajęcia. Można-by myśleć, że, ucuwszy powiew burzy czy niebezpieczeństwa, przypadli oni ku ziemi, oddechy nawet zapierając w piersiach. Dzielnica miała pozór taki, jakby zamieszkująca ją ludność nagle wymarła. Ciasne rynki i ulice, bezludne dziś, kałuże swe i kupy śmiecia kąpały w blasku jaskrawego, burzę zapowiadającego słońca; zgęszczone, cuchnące powietrze, mętną parą owijało szare domy, okna przyćmione szybami z pęcherza, tarasy otoczone niskimi ogrodzeniami, na których tu i owdzie, z trójkątnych przybudówek głucho wydobywały się gwary zapalezywych rozpraw. W ciasnych izdebkach, mieszczących się na tych małych piąterkach, ludność żydowska zwykła była skupiać się i naradzać w ważniejszych wypadkach burzliwego życia swego. Tam bowiem nikt widzieć ich, najś nie spodzianie, ani z ulicy podsłuchać nie mógł.

Izdebka, zbudowana nad dachem Menochima, pełną była ludzi, którzy gorączkowemi stopy deptali podłogę jej, ubitą z gliny, wapna i popiołu, i turbanami dotykali prawie belek sufitu. Niewielu ich było, a jednak ścisk był taki, że popychali się i nadeptywali wzajem. Przez szybę z pęcherza

wdzierało się tam niewiele światła, powietrza brakło także; strugi potu ciekły z pod turbanów na twarze zorane, zapaleczone, przerażone.

Przechodzień, przybywający z Forum, szybko po wązkich wschodach wbiegł na taras i wszedł do izdebki. Wszedłszy, natychmiast płaszcz swój z kapiszonem na ziemię z ramion zrzucił; z pod niego ukazał się wykwin-tny strój rzymski, od którego ponury Symeon i kilku innych ze wstrętem odwrócili oczy. Ale Menochim rzucił się ku przybyłemu i chciał ręce jego całować.

— Justusie! zbawco Jonatana mego...

Nie dał mu dokończyć. Ani na wdzięczności pełne uściski Menochima, ani na podejrzliwe spójrzenia innych nie zważając, sekretarz Agryppy przed-ko, przedko opowiadać zaczął o wszystkim, co widział i słyszał na mieście, o tém także, o czém dowiedział się w domu zwierzchnika swego. Sroga burza wisiała nad tulaczą gminą. Cezar i synowie jego, arystokracja żydowska i część patrycyatu rzymskiego, żołnierze, kupcy, lud, wszystko to zawrzało przeciw przybyszom gniewem i niechęcią, które nigdy istnieć nie prze-stawały, ale teraz, rozżarzone i ośmielone, wybuchnąć mogły.

Jak strasznym mógł być wybuch taki, świadczyły o tém edykta poprze-dnich Cezarów, skazujące żydowską ludność na ryczałtowe wygnanie z Rzymu, i świeże, okropne sceny mordów i pożóg, które już po upadku Jerozolimy napelniały nieraz Antyochią, Alexandryą, Cezareę. Nadewszystko, życie Jonatana srodze jest zagrożoném. Wiedzą dziś już wszyscy, że żyje on i gdzie przebywa. Lecz spokojność i bezpieczeństwo gminy całej wisi także na włosku, nad którego zerwaniem wiele rąk pracuje.

Dla zgromadzonych w izdebce ludzi wiadomości te zupełnie nowemi nie były. Oprócz Justusa, posiadali oni w bogatych dzielnicach miasta przyjaciół swoich, którzy od rana już znosili im groźne wieści o wrzeniu uczujących dziś i pijących tłumów; o tém, że wznoszący się na Forum posąg Alexandra Tyberyusza, rządzcy Egiptu, żyda-zaprzawnca, niemniej jednak żyda, przed wschodem słońca już oblanym został brudnymi płynami; że gromady ludu i nawet szlachty przeciągały przed pałacem Monobaza z wściekłości krzyka-mi żądając od żydowskiego bankiera zwrotu pieniędzy, lichwą z obywateli rzymskich wyciśniętych. Justus dodał, że Józef Flawiusz, wczesnym już rankiem wezwany przed oblicze Cezara, stoczył z nim długą rozmowę, po której wrócił do pałacu Agryppy, płacząc i wyrzekając na nieuleczalne szaleństwo żydowskiego pospółstwa, a w pałacu Agryppy, od wczesnego też ranka, prze-bywał Tytus, sam-na-sam z Bereniką, rozgniewaną, zrozpaczoną i mniej za-pewne, niż kiedy, skłonną sprawę ludu swego w obronę swą przyjąć.

Obecni poblądłe i drgające twarze jednomyślnie zwrócili ku Jonatanowi, stojącemu dotąd nieruchomo w pobliżu okna. Stał, ramieniem o ścianę wsparty, a profil chudój twarzy jego, gęsto obrosłej, ostro i posępnie rysował



się na złotawej od słońca szybie z pęcherza. Menochim przysiadł w kącie izdebki i, skurezony, twarz ukrył w dłoniach. Inni zapytywali:

— Poco Jonatan uczynił to, co gminę całą na niebezpieczeństwo narażało? Poco obudził drzemiące stada jastrzębi i lwów? Dlaczego od wczoraj milczy tak, jak gdyby usta jego zamknęła pieczęć Pańska? Dlaczego wciąż w ziemię patrzy, jak gdyby wstyd go obarczał, on, który przedtém śmiałem okiem rycerza w oblicze ludu swego spoglądał?

Justus, stojąc tuż przy nim, łagodnie namawiał go, aby postępek swój usprawiedliwił przed tymi, którzy za niego ponieść mogą srogą odpowiedzialność i karę.

Jonatan milczał, jak grób. Na twarzy jego, zwykłą mu wprzódty hardość i popędliwość zastąpił wyraz głębokiego upokorzenia. Najmniej przenikliwe oko wyczytać-by na niej mogło dojmujące i tłoczące uczucie wstydu. Ci, którzy z tłumnymi zapytaniami zwracali się ku niemu, nie śmieli przecież dotknąć go żadnym obelżywem słowem lub giestem. Nie był-że on jednym z najzaciętszych obrońców ojczyzny ich i świątyni, przyjacielem Jana z Giszali, męczennikiem sprawy świętej? Lecz bojaźnią zjęte, rozjątrzone piersi ich, wrzały gniewem. Ponury Symeon, rzucając ręką w stronę Justusa i ukazując rzymski strój jego, krzyknął:

— Zdrajcą jest ten! Jeżeli chcemy, aby zlitował się nad nami Pan, przepędźmy z pośród siebie tych, co przyodziali się w edomską skórę. Precz ze zgromadzenia wiernych!

Justus zbladł naprzód, a potem oblał się szkarlatem. Nie miał czasu odpowiedzieć, bo pomiędzy niego a Symeona rzucił się Goryasz. Biała twarz Hillelisty gorzała rumieńcem oburzenia.

— Za jaką winę — krzyknął — lżysz młodzieńca tego, który już nieraz służył nam radą swą i pomocą, a wczoraj osłonił przed wrogiem rycerza Syonu?

— Na uszy własne słyszałem — wołał Symeon — jako mówił, że w greckich i rzymskich naukach mieści się wiele prawd wielkich, i że źle czynimy, oddalając się od nich...

— Mówił może prawdę... — nieśmiało wtrącił w tłumie ktoś z młodszych.

Kłótnia zawrzała. W ogniu jój i wrzawie zarysowały się wyraźnie dwa prądy, ciekące w tém morzu nieszczęścia. Jeden z nich płynął nienawiścią bez granic; drugi smutkiem wielkim, lecz nie gaszącym pochodni rozumu.

— Szamaistą jestem i szczygę się tém! — wołał Symeon. — Szamaistą jestem, który wściekł się przeciw narodom cudzym i dla którego wszystko greckie i rzymskie jest jako pies ćcierwo, zarażające winnicę Pańską. Mędrców naszych wielbię tych, którzy w Jabue głoszą: „Z każdej litery wyciągnąć korzec przepisów, a z tych przepisów utworzyć płot, który-by Izraela od innych oddzielił narodów.“







POCO JONATAN UCZYNIŁ TO, CO GMINĘ CAŁĄ NA NIEBEZPIECZEŃSTWO NARAŻAŁO.  
<http://rcin.org.pl>



Goryaszowi w zapale sprzeczki turban osunął się na tył głowy, a z pod niego rudawe kędziory opadały na spocone czoło. Śmiał się z szyderstwem, źle przystającym do łagodnej twarzy i jasnych oczu jego.

— Dzięki mędrocom naszym — mówił — którzy dniami i nocami przemyśliwają nad tęp, co nam uczynić czystym, a co nieczystym, szydzące z nas narody obce słuszość mają, twierdząc, że wkrótce słońce samo czyścić zechcemy, aby bez grzechu mózgi na nie spoglądać!...

— Zdrada! przewierstwo! odszczepieństwo! Zdrada! zdrada! — wołało głosów kilka.

— Biada ci, ludu mój! — wszystkie inne przenosząc, zabrzmiał u okna głos młody i donośny, — rozjątrzony i podejrzliwy, będziesz ty odtąd straszonym imieniem zdrajcy piętnować każdego z synów swoich, który ci kroplę świeżego napoju poda w naczyniu nowym, albo przestrogą prostować spróbuje drogi twoje!

Był to głos Justusa. Wnet zdyszane piersi okrążyły go murem ciasnym, a kilkanaście ramion groźnie wyciągnęło się ku niemu.

Zgiełk nieopisany powstał. Zapominając o bezpośrednio grożących im niebezpieczeństwach, ludzie ci płonęli wieczną gorączką nieszczęśliwych.

— Precz z grona wiernych, służalcze Agryppy! Miotło Edomitów! Traździe na ciele Izraela! Zuchwały plwacz na świętości nasze! precz ztąd! precz!

Teraz kilka rąk drżących, lecz silnych, chwyciło go za ramiona i darło na nim cienką materią rzymskiej tuniki; jedna ręka ciemna, z kureczowo drgającymi palcami, ręka Symeona, którego czarne oczy paliły się dzikim ogniem fanatyzmu, zbliżała się ku jego obnażonemu gardłu. Sekunda jeszcze, a szaleństwo, powstałe z nieszczęścia, urodziło-by zbrodnią. Lecz w tej-że chwili Jonatan obudził się, jakby ze snu. Było to obudzenie się lwa. Do lwa podobny, rzucił się ku zagrożonemu i zasłonił go przed napastnikami piersią swą i rozpostartymi ramionami. Na zgnębioną i zawstydzoną przedtym twarz jego wróciła cała śmiałość i duma. Oczy ciskały błyskawice, zbieleły usta drgały.—Z dala! z dala od niego!.. — zawołał głosem, w którym ozwały się echa wojennych rozkazów; — jam człowiek czynu, nie słów... W boju i bólu zapomniałem, co czyste jest, a co nieczyste... i o mędracach waszych w Jabue nie mówiły mi nic wichry pustyń i bałwany mórz przebywanych... To tylko wiem, że kocham Judeę, a bolące rany moje mówią mi, że człowiek ten kocha ją także... On, brat mój... dobry!

I dziwnie miękko ramiona swe zaokrąglił dokoła piersi Justusa, a rozpalone oczy jego, w twarz przyjaciela patrzące, omgłiły się taką czułością, z jaką może niegdyś, niegdyś, w niewinnych dniach pacholęctwa, patrzyły w szafir nieba lub w purpurowy kielich róży, którą z ogrodów Cezara przynosił Mirtali.

— Dobry... — powtórzył ciszej — Ja nie wiem, kto z tych ludzi prawy



jest a kto nieprawy... mnie do ich sporów — nie! Wiem tylko, żeś przyjaciелеm moim od dni dziecinnych i że skrzywdzić cię nie dam...

— Nie dam! — powtórzył jeszcze, ale już na Symeona i stronników jego patrząc, a głos jego rozległ się znowu w ciasnych ścianach izby, wojennym niby rozkazem.

Obecni osłupieli z razu, potem cofnęli się. Znieważać rycerza i męczennika tego nie śmiał i nie chciał nikt. Niektórzy z zawstydzeniem pochylili głowy; inni żuli jeszcze gniew swój w warczących ustach. Goryasz, twarzą ku ścianie zwrócony, płakał; Menochim, skurczony w kącie, z mordowanem i pełnem trwogi okiem patrzył na dwóch przyjaciół, których postacie, w cień usunięte, zlewały się w jedną. Wśród czarnego, jak noc, zarostu, białe zęby Jonatana groźnie jeszcze błyskały.

W tém, pośród chwilowej ciszy, z jednego z kątów izby ozwał się głos bardzo stary, łagodny i proszący: Pozwólcie, bracia, aby najuboższy i najpokorniejszy z was, ale latami najstarszy, przemówił do was.

Słowa te wyrzekł Aron, bardzo stary dziad bladej i smutnej Eli, najmilszej przyjaciółki Mirtali. Niedawno jeszcze roznosił on po mieście wonności, wyrabiane w fabryce Goryasza, i wraz z Mirtalą stawał z towarem swym w portyku Cestyusza. Teraz jednak, wielka słabość woskową żółtością oblała mu twarz zdrobniała, cierpiącą, otoczoną białym jak śnieg zarostem. Turbana na głowie udźwignąć już nie mógł; śnieżne włosy spływały mu z pod okrągłej mycki na chudą szyję i pomarszczone czoło. U kolan jego leżał sękaty kij, na którym złożywszy małe, trzęsące się ręce, nad ziemią pochylony, z szyją wyciągniętą, łzawemi oczyma po zgromadzeniu wiodąc, mówić zaczął:

— Kiedy sprzeczeki waszej słuchałem, Przedwieczny podszeptał uchu memu przypowieść, zapisaną w jednej ze świętych ksiąg naszych...

Wszyscy umilkli i słuchali. Na żółtych wążkach ustach Arona zaigrał uśmiech przebiegły. Wzniósł nieco ręce i, czyniąc niemi zwolna ruch liczenia na palcach, mówił dalej:

— Cztery rzeczy na ziemi są maluczkie, a mędrsze od najmędrszych. Mrówki, lud słaby, które we żniwa przygotowują żywność sobie; zajączki, gmin nie silny, który jednak w skalach łożyska sobie czyni; szarańcza, króla niemająca, lecz chodząca hufcami; pająk, lichy owad, a jednak mieszkający w pałacach królewskich.

Umilkł i, zagadkowo, przebiegle uśmiechając się, z pod czerwonych powiek pojętne źrenice po obecnych wodził. Ci, z wyrazem zapytania w oczach, na niego patrzyli. Po chwili, wolniej jeszcze, niż wprzód, z głębokim namysłem w głosie i ruchach głowy, dokończył:

— Klótnie, tak jak i rozkosze, potężnych rzecz. Lud słaby ma, jako mrówki, pilnie zgromadzać żywność sobie, aby mu sił do życia nie zabrakło; niech, jak zające, wytrwałem pukaniem, twarde skały przekuwa on dla sie-

bie w bezpieczne łożyska. Gdy, jak szarańcza, bez ziemi jest i króla, niech spójnym hufcem chodzi. Niech tak, jak pajak brzydki i gardzony, przędzę swą wszędzie rozsnuwa, aby miał o co zaczepić się w tym królewskim pałacu, który Przedwieczny zbudował dla wszystkich narodów — silnych i słabych.

— Niech się tak stanie! — uroczystym chórem odpowiedzieli obecni i cicha uroczystość spłynęła na wszystkie twarze te, zmordowane i płonące, lecz które słowa starca postawiły przed obliczem długiej, trudnej, krwawej przyszłości.

Ale Aron miał jeszcze coś do opowiedzenia. Starym był bardzo i pamiętał wiele, pamiętał dzień nieszczęsny, w którym z rozkazu Cezara Klaudyusza wygnano z Rzymu wszystkich zamieszkujących w nim żydów. Opowiadał o wszystkich nędzach i rozpaczach strasznej owjej pory. Któż zgadnie rozpacz mrówek, gdy ciężkie koło przebiegającego wozu mrowisko ich rozgniecie i drobny ludek rozpędzi we wszystkie strony świata? Nikt nie zważy brzemion tych i smutków, które unosi z sobą rój człowieczy, z siedliska swego w szeroki świat pognany...

Być może, iż pod ciężkimi turbanami włosy obecnych na głowach ich powstawały. Przy opowiadaniu Arona, ruchy ich stawały się bezładnymi, kolana i ręce drżały, słowa płątały się na pobladyłych ustach. Bojaźń zaczynała już wnikać w krew tych, w których serca nieszczęście i krzywda lały nienawiść i podejrzliwość, mózg ich zaprawiając dymem mistycznych rojeń.

— Zwołać wszystkich starszych gminy! naradzić się! Do kogo udać się po obronę i ratunek? Jak zażegnać gniew Cezara i Rzymian? Co czynić?

Z wołaniami i zapytaniami temi opuszczali izdebkę, tak, jak gdyby w tej chwili już gonila ich kosa śmierci; śpiesząc się, nadeptywali sobie wzajem na pięty. Menochim powlókł się za nimi; Aron, wspierając się na sękatym kijku, wyszedł ostatni.

Justus i Jonatan pozostali sam-na-sam. Sekretarz Agrypy pochwycił ręce przyjaciela i zarzucił go pytaniami.

— Obce ludy, Jonatanie, miewają wielkich mężów, roniących wielkie słowa. Jeden z nich rzekł: „Miłość ojczyzny jest tak ogromną, że ją nie trwaniem naszego życia, lecz troskliwością o jej życie mierzymy“. Ona-to cię upoiła! Nią uniesiony, nie mierzyłeś jej trwaniem życia swego i swoich.

Jonatan słuchał z odwróconą twarzą, aż z porywczym giestem zawołał:

— Przestań, Justusie! nie powiększaj wstydu mego! pierwszy-to raz przeniewierzyłem się sprawie świętej! Przebacz mi, Judeo! pierwszy raz oddałem pokłon cielcowi namiętności własnych!

Czoło przyciskał do ściany, blade usta przygryzał do krwi, cicho i ponuro z przytłaczającą pokorą szeptał:

— Ułomnym jest człowiek, z niewiasty zrodzony...

Potem, nie zmieniając postawy, prędko mówić zaczął:



— Jakoż mówić im miałem, że uczyniłem to przez nienawiść wroga, kiedy usta me otworzyła miłość dla kobiety? Miałem łączyć podle, albo przed nimi otwierać skrytości upadku mego?... Kiedy tu przybywałem, w późnej wieczornej godzinie widziałem dziewczkę, idącą u boku Rzymianina i toczącą z nim cichą rozmowę... W domu ojca naszego ujrzałem ją i, jak w niebieskich podwojach, utonęły w niej oczy moje, lecz użułem zaraz, Justusie, wiejącą od niej woń Edomu. Gołębie oczy swe odwracała ode mnie i myślała... o tamtym. Kiedym trzymał jej rękę, wyrwała się i myślała o tamtym!... W Moade-El nie przybliżyła się ku mnie, jak inni, lecz stała z daleka, blada od zgrozy... Brzydzi się ona, Justusie, trądem nieszczęść naszych i myśl swą kąpie w przeklętych rozkoszach Rzymu. Opuściwszy Moade-El, przez noc całą okiem niezmrzużonem patrzałem w niebo, pytając Przedwiecznego o zagadkę mąk moich... Z oberż syryjskich, cichem powietrzem leciało wciąż ku mnie imię Bereniki... O, trucicielko!... przed świtem byłem już za Tybrem. Nie szedłem sam. Niósł mię duch jakiś. Nie wiedziałem, co uczynię. W głowie mojej nie było nic, prócz szumu, grzmiącego wciąż: biada! Nie myślałem o Judei, nie myślałem o zniszczonej chwale Przedwiecznego... myślałem o tój mojej... wdzięcznej... nie mojej!... Kiedy tamta... jak żmija, złotą łuską okryta, podniosła się na spotkanie Edomskiego kochanka, nie widziałem jej... nie widziałem jej... przed oczyma stała mi moja... i do Rzymianina swego wyciągała ramiona... Wtedy krzyknąłem... pierś miałem pełną jęków i klątw... Justusie... początek czynu mego nie w miłości ojczyzny był, lecz — kobiety!

Łkał głośno, spłonioną twarz krył w dłoniach, z pod których ciekły gęste łzy, aż ugięły się pod nim kolana i, czołem ziemi prawie dotykając, prędko, prędko, szeptać zaczął:

— Ułomnym jest człowiek z niewiasty zrodzony... przebacz Judeo! nie gaś, Przedwieczny, ognistego słupa, za którym szedłem dotąd krwawą moją drogą!

Smutnie i pobłażliwie słuchał Justus wyznań przyjaciela, aż w oku błysnęła iskra uwielbienia. Dusza Jonatana otwierała się przed nim na oścież; widział w niej rozpacz i wstyd, wzniecone tém, że przez chwilę jedną działał pod wpływem osobistych uczuć i żądz. Łagodną dłoń położył na nisko schylonej głowie i z cicha mówić zaczął. Mówił, że noc całą spędził na przygotowaniach do ucieczki tego, kto dziś już zaraz pojmanym zostać może; że w przystani stoi łódź, gotowa wypłynąć ku Ostyi, gdzie przyjaciele, uprzedzeni o wszystkiem, przyjmą go i wnet umieszczą na pierwszym statku, który port morski opuszczać będzie...

— Na morze! na morze! — zawołał nakoniec, — na nową tułaczkę i nędzę... ale innego wybawienia niema!

Jonatan powstał i wyprostował się.

— Nie! — odpowiedział stanowczo; — nie odejdę z domu tego — sam.

— Jak-to? w okolicznościach tak groźnych, chcesz uprowadzić z sobą dziewczeczkę?

— Chcę ją ztąd zabrać, jako małżonkę moję.

Daremniemi były długie namowy Justusa.

— Zginiesz,—mówił.

— Wraz z nią! — ponuro i z cicha odrzekł Jonatan.

— Pójdź do łodzi!

— A ona?

— Niepodobna!

— Więc... Justusie, doradzasz mi, abym ją pozostawił objęciom Rzymianina?

Zaśmiał się długo, gorzko.

Justus załamał ręce, szybko zbiegł ze wschodów i w izbie dolnej kilka razy zawołał:

— Mirtalo! Mirtalo!

Chciał zapewne mówić z nią; chciał ją błagać, aby odrobiną spokoju uleczyła szal nieszczęsnego, aby prośby swe do jego namów przyłączyła. Otwierając wązkie drzwi, wiodące na ulicę, powtarzał jeszcze:

— Mirtalo! Mirtalo!

Nadaremnie. Ta, której wołał, była daleko.



## IX.

Była ona u szczytu Awentyńskiego wzgórza, na którym, w pobliżu świątyni Janony, błyszczący kryształowemi oknami górnego piętra i otoczony śnieżną kolumnadą, stał dom pretora.

Nie bez trudności przebywała swą drogę, bo ciągnące ulicami, wesole, wpółpijane gromady, wstrzymywały ją i zaczepiały grubijańskimi gestami i słowy. Mileżącój jednak i śpiesznie usuwającój się z drogi nikt nie uczynił nic złego. Młodziutka zresztą głowa jój i zgrabna kibić okryte były przed skwarem i tłumem lnianą, białą oponą, jakiej niekiedy używały judejskie kobiety. Trwogi zresztą nie czuła żadnej. Myśl jój czem inném zajęta była, niż niebezpieczeństwem, jakie-by ją zkadkolwiek spotkać mogło. W głowie jój nieustannie szumiały wyrazy, które od wczesnego rana objęły się o jój uszy: „Dokąd udać się po obronę i ratunek? Co czynić?“ Nikt nie wiedział, lecz ona wiedziała. Po obronę i ratunek szła do tych możnych, dobrych, mądrych... Alboż oni sami nie cierpią także? Ileż razy widziała bladłość bólu i gniewu, oblewającą twarz pretora? Ileż razy z oczu Fanii na czoło małego syna, w jój obecności, padały łzy! Muzoniusz, tak jakoś nieokreślenie, lecz tak dziwnie do Menochima podobny! A on? On także jest tam pewnie... Wstawi się za nią i za ludem... Zobaczy go! Jakto? ona zobaczy go? dziś! zaraz! O! słońce szczęścia, dobywające się z ponuręj nocy! Nie widziała go tak już dawno! Może znowu, jak dawniej, cudny głos jego zaśpiewa w jój uchu. Może, jak dawniej, weźmie on ją za rękę i poprowadzi w zielone głębie ogrodu, lub od obrazu do obrazu, od posagu do posagu, iść z nią będzie, jak dobry anioł w promienném państwie sztuki. Piekło opuszczała, raj był przed nią. Drżała pod białą zasłoną, na której iskrzył się haft srebrny... Leciała, a za nią leciał, na skrzydle białej zasłony, rój srebrnych iskier.

Przed drzwiami domu pretora stanęła. Niespodziewanie dla niej, panowały tam ciżba i zgiełk. Kilkudziesięciu Numidów potężnych, czarnoskórych, przybranych w złote ozdoby, stało tam w posagowej i ponurzej nieruchomości, na ramionach dźwigając lektyki, podobne do małych domów, wyłożonych, w kość słoniową i szkarłaty zdobnych. Dokoła lektyk mnóstwo służby różnych stopni i przeznaczeń, w białych sukniach, wyszywanych złotem, skracało sobie czas próżniaczego oczekiwania gwarą rozmową i dorywcze zabawami. Niektórzy z nich, na chodniku usiadłszy, grali w rzucanie monet, które na jednej stronie przedstawiały głowę panującego Cezara, na drugiej przód okrętu: „Głowa, czy okręt?” rozlegały się wołania, i monety z metalicznym dźwiękiem padały na bazaltowe płyty chodnika. Inni, pośrodku ulicy, bawili się w odgadywanie zagadek i w ściganie zalotnymi żartami przechodzących kobiet. Przed drzwiami pobliskiej, wytwornie zbudowanej oberży, wybiegła młoda i ładna Greczynka, w żółtej sukni, czerwonym pasem wysoko przewiązanej, i pomiędzy Jońskimi kolumnami stanawszy, odrzucając w tył gęstwinę orzechowych włosów, wabiła ku sobie cesarską służbę posagową pozą swą, rozkosznym uśmiechem i błyszczącą amforą, którą na dłoni do wysokości głowy swą wznosiła.

Wszystkim wiadomo było, że białe, złotem wyszywane tuniki, stanowiły barwę cesarskiego dworu, której, prócz Cezara i synów jego, nikomu w Rzymie używać nie było wolno. Niedawno jeszcze rozpowiadano sobie o srogiej obrazie, jaką zapłonął był Domicyan, gdy Salwidycenus, jeden z najmłodszych wykwintnisiów czasu, a siostrzeniec jednego z poprzednich Cezarów, ośmielił się służbę swą przyodziać w strój podobny. Domicyan-to właśnie nawiedzał teraz dom Helwidjusza. Jego-to słynni z siły swą Numidzi, jak czarne kolumny, podpierali lektyki, bogactwem kapiące; jego-to służba złotymi haftami strojów swych zalewała ulicę; jego liczna i strojna świta napelniała część wchodowego podwórza domu i połowę *atrium*, czyli pierwszjej od wejścia sali, której drzwi szerokie i ozdobne były w tej chwili na oścież rozwarte.

W tej chwili *atrium* przedstawiało obraz wspaniały i tłumny; przez kilka rzędów lekkich kolumnad, nad którymi w ciężkie festony podniesiono kwieciste kobierce, wzrok nurzać się mógł ztamtąd w szeregu komnat dalszych, w których światła i cienie krzyżowały się po kunsztownych sprzętach, mozaikowych posadzkach, malowaniami okrytych ścianach, długich szeregach posagowych wyobrażeń bohaterów i bogów. U końca perspektywy tej, długą, odkrytą galeryą biegł pełen kwiatów perystyl, zamknięty rzędem żółtych kolumn, które, jak słupy ogniste, gorzały w słońcu, na tle gęstej zieleni ogrodu. Czworokątnym tylko otworem w dachu oświetloną, rozległą salę, noszącą nazwę *atrium*, napelniało półświatło. Pośrodku zbiornik wody stalową szybą błyszczał w wieńcu zieleni i igrać zdających się pośród niej bronzowych amorów. Za nim, w głębi sali, na marmurowym ołtarzu płonęła zwolna



wiązka wonnego drzewa, a dokoła płomyków tych, chwiejących się i wydzielających pachnące dymy, stały różnej wielkości posągi, wyobrażające bóstwa domowe, patronów i patronki przeróżnych spraw i uczuć rodzinnych. Dokoła domowego ołtarza tego, u stóp domowych bóstw, zasiadała w tej chwili rodzina i skupili się przyjaciele pretora. Było to grono dość liczne, pośród którego naprzód rzuciła się w oczy posepna postać stariej Aryi, w czarnych zasłonach, na wysokim krześle nieruchomo siedzącej. Naprzeciw niej Fania roztargnionym gościem pieściła kucze włosy, siedzącego u kolan jej, małego syna. W pobliżu dwu tych kobiet, na tle brunatnych tog klientów domu, otoczony uczniami swymi, stał Muzoniusz; Artemidor ramieniem obejmował szyję sarkastycznie uśmiechającego się Juvenala; młodzieńki Tacytus, z posepnie ściągniętymi brwiami, wpatrywał się w tłum, napelniający przeciwległą połowę sali, na który też głębokimi oczyma swemi smutnie spoglądał blady i cichy, tylko co z pęt niewolnictwa wyzwolony, Epiktet.

Przeciwległą połowę sali napelniał dwór Domicyana: dostojnicy wojskowi w błyszczących strojach, szambelani w dworskiej barwie, senatorscy i szlachecy synowie, z wypieszczonemi twarzami i utrefionemi włosy, woniejący, różnobarwni, do niewiast zalotnych podobni. Był tam, ponury zawsze i wojenne porażki swe względami młodego Cezara osłonić usiłujący, Cestyusz; był także, w wieńcu ze świeżych róż na głowie, ładny Stella, przy sposobności każdej cytujący wiersze słynnych poetów; był jeszcze butny hulaka ów i wykwintniś, siostrzeniec Cezara Ottona, Salwidyenus, i ulubieniec Domicyana, Metius Karus, i wielu innych jeszcze ludzi, którzy napelniali Rzym rozgłosem uczt swych i orgii, zuchwalstwem zbytków i dziwactwem zniewieściałych strojów.

Stali tam oni w postawach rozmaitych: miękko chyląc zwieńczone głowy na jedwabiami okryte ramiona przyjaciół, leniwie wspierając się o kolumny, zamieniając się z sobą krótkimi szeptami i uśmiechami. Stella ukazywał Cestyuszowi białe swe palce, skarżąc się, że je okrył pierścieniami, zbyt ciężkimi na dzień tak upalny; Salwidyenus, zmysłowe wargi przykładając do ucha młodego prefekta pretoryanów, z cynicznym błyskiem oczu wskazywał na stojącego za panem swym, ślicznego Greczynka, Heliasa; lecz prefekt pretoryanów nie mógł oderwać oczu od czarnej postaci Aryi, budzącej w nim widocznie przesadną trwogę, i jednemu z szambelanów zwierzał się po cichu, że wolał-by spotkać się z gromadą dzikich Kattów, niżli z widokiem tragicznej tej niewiasty; na co odpowiadając, szambelan, chmurnie szeptał, że złe go dręczą przecucia, gdyż, wychodząc dziś z domu, zawadził o próg stopą, z której spadł mu sandał. Większość zresztą ludzi tych nieruchomo stała, uważna na każdy ruch i gości pana swego; pośród wojskowych stał czasem dźwięknęła, albo przez otwór w dachu spuszczający się promień słońca zaświecił w bronzach pancerzy i pozłocił różane wieńce.





STALI NAPRZECIW SIEBIE DWAJ LUDZIE: PRETOR RZYMU I SYN CEZARA.





Pomiędzy dwiema grupami, wyosobnieni nieco, stali naprzeciw siebie dwaj ludzie: pretor Rzymu i syn Cezara.

Wysoki i silny Helwidysz przerastał o wiele Domicjana, którego kształtną, lecz niewielką postać, malowniczo opływała purpurowa chlamida grecka. Twarz jego, niezdrową błądzącością okryta, dwoistą była. Gdy wprost na nią patrzano, posiadała rysy piękne i łagodne, z profilu zaś przywodziła na pamięć drapieżnego ptaka. Głowę miał na-pół już ogoloną z włosów, postawę skromną i na cienkich wargach uśmiech przymilenia.

Śmiała twarz pretora zdawała się z brązu wykutą, tak nieruchomymi były energiczne jej rysy, w chwili, gdy witał on gościa, którego przybycie od rana już przez dworskiego gońca oznajmionem mu było.

— Pozdrawiam cię, Domicjanie! Czem służyć sobie rozkażesz, dostojny gościu mój?

Fania podniosła się z siedzenia i, ręki syna nie wypuszczając z dłoni, oddała gościowi ukłon uprzejmy. Poczem wnet usiadła znowu, spokojna, i tylko po lekkim drzeniu ręki, którą złożyła na szkarłatnej tunice małego syna, odgadnąć było można wzruszenie, wybornie tajone.

Z powiekami skromnie spuszczone i przymilonym na ustach uśmiechem, Domicjan wskazał gościem stojącego tuż za nim Metiusa Kara, i łagodnym, przyciszonym głosem odpowiedział:

— Jeżeli raczysz, znakomity Helwidyszu, udarować spójrzaniem swém tego oto przyjaciela mego, przyczynę, która mię tu sprowadziła, łatwo odgadniesz. Przybyłem, aby osobiście prosić cię o łaskawy dla niego wyrok w procesie, który wytoczył on przeciw Polli Argentaryi, wdowie po niegodnej pamięci buntowniku, Lukaniu. Proszę cię, dostojny, abys nie wahał się pomiędzy najmilszym przyjacielem moim a rodziną tego, którego imię ohydą zaprawia język każdego z prawych obywateli Rzymu.

W czasie przemowy tej, jedno tylko, niedostrzegalne prawie, drgnienie, przebiegło po czole pretora. Najwyższy w państwie sędzia, którego wyroki publicznie pętać probowano, z jednostajnie wciąż nieruchomymi rysami i uprzejmym głosem odpowiedział:

— Proszę cię, panie, abyśmy mogli o Lukaniu nie mówić wcale. To, co-byś o nim powiedział, miłem-by mi nie było; moje o nim słowa obraziły-by ciebie. Przyjacielowi twemu, Karusowi, Helwidysz Priscus szczęścia życzy, ale pretor nie ma pamięci dla imion i stosunków ludzkich. Wyrok w sprawie Karusa i Argentaryi wydadzą przez usta moje prawa ojczyzny naszej i sprawiedliwości.

Na twarz cesarskiego syna zwolna wstępować zaczął błąd rumieniec. Za nim, w świetle jego, szeptało:

— Przepowiadaliśmy bożkiemu Domicjanowi odmowę zuchwalca tego. Powiedział: „Twarzą w twarz stojąc ze mną, śmiałość swą utraci...”



Ale Domicyan skromną wciąż zachowywał postawę, a uśmiech jego pieszczotliwym niemal się stawał.

— Jakaż jest wina moja przed tobą, dostojny i znakomity, że tak srogo postępujesz sobie ze mną i z przyjaciółmi moimi? — żałośnie zawołał.

W świetle zaszemrały cichutkie śmiechy.

— Na głowę Gorgony! Od zapytania tego skamienić można! Syn Cezara pyta o winę swą tego, któremu w snach i na jawie bzdurzy się jeszcze o przedcezarowych wiekach!

Prefekt pretoryanów, waleczny żołnierz i przebiegły dworak, głośno prawie przemówił:

— Spytajmy o winę tę filozofa Muzoniusza... Jakże rozczulająco opowiadał on niedawno o dyktatorach dawnych, którzy w ręce ludu składali władzę swą, ilekroć miły lud ten obedrzeć ich z niej zapragnął!

Domicyan mówił dalej:

— Młody jestem i wiem, że skromność przystoi małym jeszcze zasługom moim. Skromnie więc i z synowskiem uszanowaniem przychodzę do ciebie, ozdobo Rzymu, a ty prośbie mój odmawiasz!

Z jednostajnym wciąż przejmym spokojem, Helwidyusz odpowiedział:

— Gdyby, Domicyane, żądanie twoje słusznym było, spełniłbym je z ochotą; ale, wymagając pogwałcenia sprawiedliwości od tego, który stróżem jej być powinien, wymagasz rzeczy, obrzydłej bogom, zarówno jak ludziom...

Domicyan, podniósł nieco ramiona, które, białe i nagie, wydobywały się z ponsowych fałd chlamidy, i głosem rozżalonym zawołał:

— Bogowie mi świadkami, jak niesprawiedliwie krzywdzą mnie najdosłowniejsi obywatele ojczyzny mojej! Widzę, Helwidyuszu, że ani odrobiny łaski twój nie posiadam. Nie uznajesz mnie nawet godnym tytułu Cezara, który, jako synowi bożkiego ojca mego, nosić mi przystoi. Jak niańka małą dziecinę, nazywasz mnie imieniem moim, i jak pedagog niedorostka uczysz, co obrzydłym jest bogom i ludziom. Wolał-bym, znakomity, abys mnie więcej kochał i nie odmawiał mi tego, co moje. Łagodny przecież jestem i uraz chętnie zapominający. Słusznie stosować mogę do siebie wiersz nieśmiertelnego Homera...

Tu, z doskonałą retoryczną precyzją, zadeklamował po grecku:

„Krew przecież nie kipi tak u mnie, by o nie wrzała, gniew mój hamuję rozumnie“...

I rozpromieniony rozkoszą, którą mu własna deklamacja sprawiała, ciszej dodał:

— Kochać cię, Helwidyuszu, nie przestanę i ojca mego skłaniać nie będąc, aby bożkim podpisem swym uświęcił edykt, skazujący cię na wygnanie z Rzymu, lub... ze świata; ale, rozważ! i wyrokiem swym, dobra pozostałe po obrzydłym Lukaniu, z rąk Argentaryi w ręce przyjaciela mego przenieś!

Przy ostatnich słowach, ostre i sarkastyczna tony dźwięknęły w łagodnej jeszcze mowie jego, rumieniec jego zwiększał się, ale nie zmniejszała się skromność postawy. W pokornym jakby oczekiwaniu odpowiedzi, ramiona u piersi skrzyżował i głowę pochylił. Na odpowiedź nie czekał długo.

Ze zsuniętymi łukami brwi czarnych, spokojny przecież, Helwidyusz powtórzył:

— Wyrok ten, Domicyanie, wypowiedzą przez usta moje prawa ojczyzny naszej i sprawiedliwości.

Starcie się dwu tych ludzi żelaznej woli wywołać musiało zgrzyt ostry i groźny; wydał go z razu orszak dworski, którym, jak gdyby wichur zakolysał. Stał tam dźwięknęła. Podniesiony, leniwy głos Stelli dobitnie zadeklamował wiersz z Odyssei:

— „Czekając na twój rozkaz, chowamy milzenie.“ Ktoś energiczniej podchwycił.

„Gdy tak rozważa w sercu i na rozum bierze.

Niech go wał morski rzuci na skalne wybrzeże“.

Ktoś inny jeszcze zaśmiał się szydersko i cisnął jeden wyraz:

— Szalencie!

Ale Domicyan sam wyglądał teraz wcale inaczej, niż wprzód. Krwisty, ciemny rumieniec, nie tylko oblał mu czoło i policzki, lecz spuścił się na obnażoną szyję i zabarwił blade ramię, dumnym giestem wyciągające się z pośród fałd chlamidy, spiętych kłamarą z tęczowym opalem. Opal mniej iskrzył się od źrenic jego, pierś mu wznosiło wrzenie krwi gwałtownej; z szalonej pychy jego spadły obłudne zasłony. Po krótkiej chwili milczenia, głos jego wybuchnął i rozległ się w ścianach sali, dumny i szyderski:

— Dziecku, ssącemu pierś matki, pozazdrość, Helwidyuszu, rozwagi i przezorności! Wybrałeś się, Helwidyuszu, na wojnę z bogami, i szczególniej tylko pobłażliwości ojca mego zawdzięczasz, że dotąd jeszcze nie jesteś pastwą bóstw podziemnych. Tyś-to długo prawił w senacie, aby przybywającemu do Rzymu Wespazyanowi jak najmniejsze składano hołdy, bo czołobitność wywołuje tyranją. Tyś-to wymownie nauczał senatorów, jako powinni prawną ustawą zakreślić granice wydatkom pana świata. Tyś-to, na spotkanie jego wraz z innym przez senat wysłany, przemówić do niego śmiał: „Wespazyanie!“ A cóżes to uczynił w święty dzień Apollina? Otworzyłeś arenę igrzysk w nieobecności wszechwładnego! Po stokroć winnym się stałeś obrazy majestatu, tej najcięższej ze zbrodni ziemskich; a jakże dziś mnie w ścianach tych przyjąłeś? Gdzie są kwiaty i wonie, lutnistki i śpiewacy, którzy-by objawili mi radość twoją i wdzięczność? Zuchwała odmowa, oto wszystko, czem obdarzyłeś mnie, który, jako jagnię przed lwem korzyłem się przed tobą. Mądrymi byli zaprawdę poprzednicy ojca mego, i gotów jestem w każ-



děj chwili składać ofiary na ołtarzach Tyberyusza, Klaudyusza i Nerona, którzy z takich, jak ty, zielsk jadowitych, oczyszczali ziemię...

Helwidysz, z coraz bardziej bledniejszą twarzą i zaciśniętymi usty, przyjmował miotane na niego obelgi. Snadź postanowił milczeć. Wszak nieraz już wyrzucano mu, i on sam sobie wyrzucał, zbytnią porywezość. Milczał więc, lecz milczenie to takiem mu snadź było udręczeniem, że pytający, proszący wzrok, podniósł zwolna na twarz Muzoniusza, jakby pomocy lub rady wzywał u przedstawiciela wysokich idei ludzkości. Stoik, płaszczem owinięty, ognisty wzrok wzajemnie w twarzy jego utkwił, i gdy Domicyan mówić przestał, po wielkiej ucieszonėj sali rozległ się głos Muzoniusza, równie jak jego donośny i, jakby tryumfującym uśmiechem zaprawny. Na Helwidyszka patrząc, stoik mówił:

— Jeśli ci rzekną: „Okuję cię w kajdany!“, a ty szanujesz tylko cnotę swoją, odpowiedz: „Okuj mię; w kajdanach twych pozostanę jeszcze wolnym“.

Ostatnie słowa utonęły w zgiełkowym gwarze, który wzniósł się w dworskim orszaku. Oczy zapłonęły, usta wybuchły zjadliwym śmiechem, palce wyciągały się, wskazując filozofa, który, bez cienia niepokoju, wodził po lżących go i grożących mu ludziach, więcej litośnym, niż pogardliwym wzrokiem. Nagle wszyscy umilkli, wszystkie oczy utkwily w jednym punkcie, w jedněj raczej czarnej linii, która zarysowała się na tle złotego ogniska, nad otaczającym je wieńcem bóstw domowych.

Z poręczowego krzesła swego zwolna podniosła się Arya, i na podnóżku, który wysoki wzrost jēj wyższym jeszcze czynił, stanąwszy, w czarnych obłonach, wyprostowana, ku Domicyanowi ramię wyciągnęła. Głosem takim, że usłyszeli go najdalej nawet stojący, wymówiła:

— Umarli pozdrawiają cię, synu Cezara!

Ona sama wyglądała tak, jakby przybywała z krainy cieniów. Coś nakształt przesądnej trwogi zmaćilo na widok jēj rozszerzone źrenice i zamknęło drgające złością usta Domicyana. Tragedya powiała od niewiasty tēj, której oczy zapadły z pod siwych zjeżonych brwi gorzały, jak pogrzebowe pochodnie.

— Umarli pozdrawiają cię przeze mnie, synu Cezara! — powtórzyła. — Wiész dobrze, kim jest ta, która teraz przemawia do ciebie. Gdyś był dziećciem, niańki straszyły cię pewnie historią rodu mego. Czy widzisz za mną hekatombę, z krwi i kości najdroższych moich wzniesioną przez tych, których w domu tym wysławiać śmiałeś?

Ponure rysy jēj drgnęły, lecz wnet blademi dłońmi zgarnęła na piersi czarne swe zasłony i zawołała:

— Nie będę płakać przed tobą, młody Cezarze. Nie sprawię ci rozkoszy patrzenia na lży dostojnej matrony rzymskiej. Ale z tronu boleści moich powiem ci, abys opuścił dom ten, któremu obecność twoja uraga. Nie

z różdżką pokoju przybyłeś tu, ale z biczem obelgi i groźby. Wyjdz!...

Zgiełk wybuchnął. Jedni z dworaków grozili, inni trwoźnie szeptali, że Augurów zapytać trzeba, jaką wróżbą jest dla młodego Cezara dzisiejsze spotkanie się z tą ponurą, starą kobietą.

— Złe gieniusze obłąkały ją...

— Rozszczekała się, jak Hekuba, gdy, po utracie dzieci swych, przemieniła się w sukę!

— Wygląda tak, jakby dzisiejszej nocy opuściła Hades!

Prefekt pretoryanów zadzwonił mieczem.

— Na Herkulesa! czyliż wystarczy krakanie jednej baby, aby w nas strach zabobonny obudzić!

Wystarczało. W fałdach chlamidy swój Domicyan drżał. Ile w drzeniu tém było gniewu, ile trwogi? Wiedzieli o tém ci, którzy znali go z blizka. Gwałtownikiem był i tchórzem. Drząc jednak, zjadliwie śmiał się i rwącym się w piersi głosem zawołał:

— Żegnaj się ze światem, Pretorze, bo krótko już patrzeć na niego będziesz! Żegnaj się z Rzymem, Muzoniuszu, ty mało Minerwy, bo jutro wygna cię z niego edykt Cezara! Żegnajcie mi na zawsze, opuszczeni przez bogów!

Jak rzeka wezbrana i hucząca, dwór cesarskiego syna, z panem swym na czele, wypływał z domu Pretora, gdy u wyjścia z wchodowego podwórca drogę mu zastąpiła gromada strojnych kobiet i mężczyzn. Wiodła ją woniąca, żwawa, w kwiatach, haftach i klejnotach cała, Kaja Marcya. Za rękę trzymała młodziutkiego chłopca, z ładną, delikatną, znużoną twarzą, ze złotą kulą, na cennym łańcuchu wiszącą u szyi. Oko w oko spotkawszy się z Domicyanem, wietrznica rzymska rozsypała do stóp cesarskiego syna pęk trzymany w ręku krokusów i lilii, i sama z wytwornym wdziękiem na kwiatach przyklękając, a piękne oczy ku niebu wznosząc, zawołała:

— Dziękuję ci, o Junono, żeś w zamian złotego serca, z najpiękniejszym szmaragdem moim, które w świątyni złożyłam, prośby mej wysłuchała. Oddawna, słoneczny Domicyanie, pragnęłam spojrzeć z blizka na blask obliza twego. Ujrzałam lektyki twoje przed drzwiami Pretora i bogowie natchnęli mię, abym dziś właśnie pragnienie swe ukoila. Bądź uwielbiony, o nieśmiertelny! i zrządź mi łaskę, o którą błagać cię będąc. Oto jest syn mój, Hortensyusz, dziecko, któremu jeszcze złotęj kuli z szyi nie zdjęto...

W orszaku ozwały się ciche chichoty.

— Któryż-to z czterech jęj mężów pozostawił jęj na pamiątkę Ganimedka tego?

— Co ona chce, aby z malcem tym uczynił bozki Domicyan?

— Ładną jest jeszcze i, na Wenere, nie zląklbym się jęj, gdyby mię spotkała w miejscu ustronném...

Kaja nie słyszała nic. Cała dusza jęj zebrała się w jęj oczy i tonęła



w twarzy cesarskiego syna, którą hold otrzymany uspokoił i rozpogodził. Z ruchami wytwornego światowca, podniósł on z klęczek ładną kobietę i opiekuńczym giestem oparł dłoń na ramieniu niedorosłego jej syna.

— Z Hortensyusza mego, bożki Cezarze, uczyni sobie sługę i niewolnika! — ze łzami zachwyty w oczach wołała Kaja; — niech ci on wino do czar nalewa i zapala ogień na ołtarzu twych bóstw domowych. Poświęcam go na twym ołtarzu...

Coraz więcej promieniejący, do błogich uśmiechów dymem pochlebstwa i pięknymi oczyma Kai lechtany, Domicyan przestąpił dróg podwórza, giestem skromnego eleganta zaprosiwszy wprzód Kaję, aby szła za nim.

Odeszli. Za plecami zamykających orszak szambelanów i paziów *Ostyaryusz* zamknął drzwi domu, z za których długo jeszcze dochodził, płynący ulicą, do odlatującego wichru podobny, tentent i gwar.

Dom Pretora zaległa cisza. Arya, wsparta na ramieniu Fanii, opuszczała *atrium*, zbielałemi usty szepcząc zwrótkę ciemnego poematu swego:

— Zawsze to samo! Zawsze to samo!

Klienci i przyjaciele domu, pomiędzy drzewami podwórza rozsypani, z cicha i smutnie gwarzyli z sobą; gromadka młodych ludzi, w różnobarwnych tunikach, u jednej ze ścian sali zasiadłszy, z przelotnymi uśmiechami na twarzach słuchała płynnej, przyciszonej mowy Juwenalisa, który, z sarkastycznymi usty i tragicznym płomykiem w oczach, puszczał wodze satyrycznemu natchnieniu, i w słowach, z których wiały gorycz i groza, wyśmiewał Domicyana, dworaków, płocze kobiety i bezmyślną tłuszcę.

Helwidysz zbliżył się do Muzoniusza. Widać było, jak drżenia przebiegały ciało jego hartowne i silne.

— Mistrzu, — rzekł, — jeżeli w kajdanach wolnym jeszcze jestem, winiem to nauce stoików. Wiek cały upłynął, odkąd, wśród niesłychanych nieszczęść i ucisków, wy jesteście doradcami i pocieszycielami prawych i niepodległych. Według wskazań waszych żyjemy; umieramy, przez was pocieszeni. Dziś, Muzoniuszu, zobaczyłem z bliska czarną godzinę moją. Mam na ziemi ukochania wielkie, które wkrótce opuścić mi przyjdzie. Ojczyzna... przyjaciele, małżonka... dziecię... O, mistrzu! dusza moja zakłócona! Weź ją i ukłysz duchem filozofii, aby spokój mędrca i wytrwanie obywatela zachować mogła!

Na siewej rzęsie Muzoniusza błysnęła łza, lecz postawa jego spokojną była i cichy blask okrywał zbruzdzone czoło.

— Dla tego, że ludzkie uczucia w uroczystej chwili kołają ci w piersi, — odrzekł, — nie trwóż się o spokój i wytrwanie swoje. Dusza silna nie ma być przeto zimną i nieczułą. Stoicyzm nie nakazuje ci obojętności; nakazuje ci on tylko zwyczajstwo cnoty nad bólem i trwogą. Łabędzie, Helwidyszu, śpiewając, umierają; nie wesołą przecież, lecz uroczystą strofą, śmiertelna pieśń ich płynie ku słońcu...





NAKONIEC, ZOBACZYŁEM CIĘ, ARACHNE MOJA.





Usiedli przy ognisku i, pochyleni ku sobie, rozpoczęli długą, cichą rozmowę.

Niedaleko ogniska stał wysmukły młodzieniec w białej tunice, ze srebrną opaską na kruczych włosach, i z razu chmurny wzrok wlepił w ziemię. Lecz, gdy tylko podniósł powieki, cała dusza jego skupiła się w oczach, które utkwily w postaci kobiecej, majaczącej w najciemniejszym kącie wielkiej sali. Jakkolwiek opływała ją całą biała zasłona, rozpoznał odsłoniętą część twarzy. Oczy ich spotkały się z sobą. Z dala uśmiechnęli się do siebie. Skinieniem głowy przywołał ją i z cicha wymówił: Chodź!...

W ogrodzie Pretora było miejsce jedno, do którego nie dochodziły ani echa ulicznego zgiełku, ani promienie upalnego słońca. Z gęstwiny niskich bukszpanów i krzaczystych mirtów kilka palm strzelało tam wysoko zielonemi parasolami swemi, rozlewając dokoła cień rzeźwiący i chłodny. Krzewy, okryte kwitnącemi różami, i puszysty kobierzec fiołków, napelniały powietrze upajającą wonią; w pobliżu, brylantową rosą osypując róże i fiołki, szemrała fontanna. Samotność panowała tu zupełna, a ciszę przerywały tylko szmery fontanny i dźwięki dwu rozmawiających głosów. Mężki, kryształowy, śpiewny głos mówił:

— Nakoniec zobaczyłem cię, Arachne moja! Gdzieżeś tak długo była? Czemu nie przyszłaś, gdy cię wzywałem? Burzą oddycham, a ciebie, jak pogody, pragnę.

Na kobiercu fijołków leżąc, z głową na dłoni wspartą, łagodnym giestem pieścił on włosy siedzącej przy nim dziewczyny i wzrokiem pił rumieniec szczęścia, który wybijał się na twarz jej, przychudłą i jak liść lilii białą i delikatną.

— Dawno, dawno, dawno nie widziałam cię, królu mój,—zaczęła ona.— Brat mój, którego w dzieciństwie za oblubieńca mi dano, uwieźć mię ma z Rzymu na zawsze... Wszyscy moi całowali miecz obrzydły, a dziś płaczą, jęczą i lękają się bardzo... Ale teraz wydaje mi się, że to był ciężki sen... Przedwieczny mię obudził i oto znowu z tobą jestem i na ciebie patrzę... Artemidorze!

Oczy miała pełne łez. Stęskniona miłość jej naiwnie i namiętnie wypowiedała się spojrzaniem, uśmiechem i słowy. We wzruszeniu, przechodzącym jej siły, pochyliła spłonione czoło i tuż przy jego piersi utopiła je w chłodnej gęstwinie fijołków. Lecz na delikatnych ramionach jej spoczęły dwie białe dłonie, i ruchem, pełnym pieścioty, podniosły ją z nad kwiatów. Ciemne, głębokie oczy malarza napelniały się upajającą rozkoszą.

— Nie schylaj twarzy ku ziemi,—zaczął z cicha i zwolna, ale patrz w górę, dokoła i na mnie... Jak pięknym jest świat! Czy te gorące szafiry nie na to istnieją, aby przyświecać ludzkiemu szczęściu? Czy pyszne te róże nie są pochodniami, które natura zapaliła poto, aby płonęły na ołtarzach miłości?



Rój motyli, ze skrzydłami osypanemi purpurą i złotem, unosił się nad kwiatami; w bukszpanach i mirtach śpiewały ptaki; fontanna, szemrząc, sypała wciąż na trawy brylantowe deszcze...

— Słuchaj fontanny, Mirtalo! w śpiewie jój słyszę dźwięki czar, napelnionych winem, i szmery ust, złączonych pocałunkami!..

Kawałkiem raj, spadłym na ziemię, wydawało się miejsce to, a tocząca się w niem, przyciszona rozmowa, strofą idylli, wplątana w krzyki i płacze tragedyi życia. Wszystkimi siłami swemi, dwie te istoty młodzieńcze i świeże, wyrwały się z objęć tragedyi. Nie chcieli cierpieć. Szczęście niezmierne, pogoda bez cienia, śmiały się ku nim z piękności natury i rozkochanego uścisku ich dłoni. On, wychowaniec stoików, dalekim był od brutalnych uniesień, któremi-by mógł ją zranić i spłoszyć. Wytworny artysta, powoli pieć chciał rozkoszną godzinę i, gdy na młodzietkie, niepokalane, darem twórczości obdarzone dziewczę, spoglądał, w myśli mu snuły się, bezświadomie niemal, Platonskie marzenia o czystej i wzniosłej miłości dusz. Z za szerokich wachlarzy palm promień słońca spłynął mu na krucze włosy i roziskrzył w nich srebrną opaskę. Wyciągał ramię ku kwitnącym dokoła drzewom i, zrywając róże, kładł je na głowie jój, piersi i sukni.

— Słuchaj, dziewczeczko! nigdy kobieta żadna nie przemówiła mi do duszy tak, jakoś ty to uczyniła. Nieraz ogarniał mię szal boga miłości, ale od śpionego kielicha prędko z niesmakiem odwracałem usta. Nie znajdowałem w nim tego, czegom pragnął; pragnąłem duszy czystej i natchnionej, jak twoja, Mirtalo!

Ten sam płomień, który na jego głowie roziskrzył srebrną opaskę, w haftach opadającej zasłony jój zapalił roje iskier. Rumieniec jój z różami walczył o świetność; ogniste włosy strugi złota rozsypały po piersi jój i ramionach. Pochylił się, wieniec spleciony z róż położył na ślicznych tych włosach i z wolna pociągał ją ku sobie.

Ale ona, w tej właśnie chwili, nagle zbladła i, pokornie chyląc zwieczoną swą głowę, oparła się pociągającym ją dłoniom.

— Pójdę już...—szepnęła,—zły sen mój powraca... — On, nad głową jój schyłony, z wolna powtarzać zaczął wiersz jednego z latuskich wieszczów.

— Biada ci, jeżeli myśleć będziesz o końcu, który mnie lub tobie przeznaczyci bogowie! Mądrą bądź! pij wino i długich nadziei nie żądaj od krótkiego życia. Gdy mówim z sobą, zawistny czas uchodzi. Chwytaj dzień, jak najmniej ufając przyszłości...

Pobladała więc jej jeszcze i ręce z dłoni jego wysunąć sprobowała.

— *Carpe diem!* (chwytaj dzień) — powtórzył on jeszcze, ale ciszej już i smutniej, niż wprzód; ręce jój z dłoni swych wypuścił i schmurzony nagle wzrok w przestrzeni utkwiał.

Daremnie, daremnie, jak dwa ptaki rozkochane w słońcu, uciec pragnęli z pod ciężkich i ciemnych chmur. Chmury leciały za nimi, krzyki i płacze

tragedyi wdzierały się w ich sielankę; nie byli snadź z tych, którzy długo usypiać mogą na kwiatach rozkoszy, wśród błędzących dokoła widm zagłady i nieszczęść.

— Pójdę już... — wstając, rzekła Mirtala. I, obie ręce ku głowie podnosząc, jakby sennym głosem mówić zaczęła:

— Niech zlituje się nade mną Przedwieczny! Kiedy tam jestem, umieram, że tu być nie mogę. Tu będąc, tam lecieć pragnę. Dwa potężne anioły rozrywają mi serce... cóż uczynię?

Wyraz niewymownej męki okrył zbladłe jęć rysy, ale wnet, jakby na własne pytanie odpowiadając, szepnęła:

— Pójdę...

— Dokąd? — zapytał Artemidor.

— Do możnego Pretora przyszedłem, aby go o ratunek błagać... i... nieszczęsna, zapomniałam!

Artemidor, z gorzkim na ustach uśmiechem, powstał także.

— Do możnego Pretora po ratunek przyszedłeś... albowiem dla niego samego jest ratunek jaki? Kimże on jest sam, jeśli nie skazańcem, po którym wkrótce łzami żalu i wściekłości zaleją się oczy wszystkich go kochających?

W tej chwili za rozmawiającymi ozwał się głos męzki, pogodny i prawie wesoly.

— Kto rozmawia tu o Pretorze i wszelkię już odmawia mu mocy? Tyś to, Artemidorze? i ty także, wdzięczna dziewczeczko? Czego żądacie ode mnie? Czém będę jutro? Nie wiem... Ale dziś jeszcze Pretorem Rzymu jestem. Kogo ratować mam i od czego? Czy ciebie, Artemidorze, od strzał Kupidyna? Czy ciebie, dziewczeczko, od żaru, którym płoną oczy tego ulubieńca muz?

Ścieżką, wijącą się wśród bukszpanowych krzewów, Helwidyusz zbliżał się ku młodej parze, w sposób powyższy przemawiając do niej. Obok niego postępował Muzoniusz, z pogodnym także uśmiechem na ustach. Za nimi z blizka szła Fania i mały Helwidyusz, który, ujrawszy Mirtalę, poskoczył, z krzykiem radości zawiesił się u jej szyi i szczebiotać zaczął o tém: że tak długo bawić się z nim nie przychodziła; że nie widziała jeszcze jaskółki jego, że stali i srebra zrobionej, a która, byle ją puścić w powietrze, latała jak żywa... jak żywa...; że niedawno było mu bardzo smutno, bo ojciec jego z młodym Cezarem rozmawiał tak dziwnie jakoś, tak straszno... a matka, w głąb' domu odszedłszy, daremnie ukryć chciała łzy, które on zobaczył i z twarzy jej zcałował; ale teraz znowu wesolo, wesolo mu bardzo; wszystko, jak zwykle; zaraz pobiegnie po jaskółkę swoją, którą z Mirtalą puszczać będą w powietrze, aby leciała wysoko, po-nad bukszpany i mirty, het, nad palmy może...

Istotnie, wszystko w tym domu było, jak zwykle, a pogoda, rozlana na twarzach mieszkańców jego, nie pozwoliła-by odgadnąć nikomu tego, co było z nimi przed godziną i być miało jutro. Na śmiałym i energicznym obliczu



Pretora nie było już i śladu tego zakłócenia duszy, na które skarżył się przed swym mistrzem. Dalej nieco, w pobliżu fontanny, kwiecistymi tunikami migotała na słońcu gromadka młodych ludzi, a gwar rozmowy ich i ożywione giesta napełniały ogród życiem i ruchem. Jedna tylko Fania cicha była i blada; głowę swą, w której czarnych warkoczach rubiny drżały, jak krople krwi, oparła na ramieniu męża i tak do niego cała przyłgnęła, jakby lękała się, że wnet, wnet z nim rozłączoną zostanie. Patrząc na uczipionego wciąż do sukni Mirtali i rozgłosnie szczebioczącego syna, szepnęła:

— Sierota!

Pretor dosłyszał zapewne, bo kibić jej ściślej otoczył ramieniem, ale nie rzekł nic. Uważnie słuchał Artemidora, który z cicha mówił mu coś o Mirtali, rodzinie jej i zagrożonym ludzie. Muzoniusz słuchał także i rzekł coś o scenach, które dziś rozegrywały się na Forum. Gdy skończyli, Helwidysz zwrócił się ku obecnym:

— W altanie zastawione oczekuje nas *prandium* (podweczorek). Proszę was, drodzy, abyście ze mną zasiedli do stołu. Tam wysłuchamy żądań dzieweczki i po raz ostatni zapewne wspólnie wylejemy czarę wina do stóp Jowisza wyzwalającego...

W altanie, przed półokrągłą ławą, *hemicyclum* zwaną, a z kunsztownie rzeźbionych marmurów złożoną, na wielkim stole, wspierającym się na potężnych słoniowych nogach, stały w srebrnych naczyniach świeże i woniejące owoce, złociste *kratery* napełnione winem, ciasta, rozlewające zapach attyckiego miodu, kryształowe czary z zamrożonym mlekiem, barweny (ryby) osypane zielenią oliwek. Trzej młodzi chłopcy, z włosami rozpuszczonymi na barwiste suknie, o palmy wsparci, oczekiwali przybycia b:esiadników, aby ze stóp ich pozdejmować sandały i ze smukłych amfor do czar ich nalewać różane i fijołkowe płyny.

Ale Helwidysz mileżącym gościem oddalić się im rozkazał, i wraz z rodziną i gośćmi swymi na *hemicyclum* zasiadł. Mirtala u wejścia do altany stanęła. Tuż przy niej, u wejścia do altany także, wznosił się potężny, mistrzowską ręką wykonany posąg Jowisza — nie tego, który groźby i gromy w dłoniach swych dzierżył, lecz tego, który z ucisku i krzywd wyzwał. Nieśmiałość i wzruszenie chyliły nisko zarumienione jej czoło, nad którym płonął wieniec z róż, przez Artemidora spleciony. Chwilę nieruchoma i milcząca stała; przypominała sobie, że kiedyś ukochane usta mówiły jej ustęp z poematu greckiego, w którym gość błagający klękał u gościnnego ogniska. Uklękła więc i, oczy łzami zaszele wznosząc ku twarzy Pretora, ramionami objęła marmurowe stopy boga wolności...

## X.

Dzień chylił się ku końcowi. Uliczne wrzaski ludu, pijanego winem i wzbudzonemi namiętnościami, były ku niebu, ciemniejącemu dziś wcześniej, niż zwykle. Ciemniało dziś ono wcześniej, niż zwykle, dlatego, że gotowała się pod niem jedna z tych burz groźnych i niszczących, których zbliżanie się napelniało tłumy trwogą, w części płynącą z przewidywań słusznych, więcej jeszcze przesadzoną, bo przesadną. Po wystawach osobliwości wszelkich, którym przez dzień cały przypatrywał się lud, niebo samo zdawało się chcieć go zadziwić wystawą rzeźb i blasków swoich. Rzeźby te i blaski potężne były i, w nieporównanej świetności swój, ponure. Nad brzegiem Tybru, wielki rynek rybi i parę sąsiednich ulic zalegały gęste tłumy, pstre od różnobarwnój odzieży, nieruchome od przerażenia, z jakim przyglądały się prologowi zbliżającego się dramatu natury.

Za Janikulskiemi wzgórzem zachodziło słońce, lecz krwistą tarczę jego zasłaniać poczęła olbrzymia chmura, obejmująca widnokrąg czarnym półkolem. Na spotkanie jej, ze wszystkich stron widnokregu, ciągnęły ciężkie i poszarpane szufaty obłoków płowych, ekliwą bielą poplamionych, lub wzdętych żarzącą się czerwonością. Piekący, suchy *africus* dał z południa; od strony morza zalały słońce powiewy, w których czuć było nawałnicę deszczową. Przez wiatry roznoszone wonie róż, łącząc się w powietrzu z zapachami ostrych korzeni i rozlanych win, tworzyły w dusznej spiecu atmosferę ciężką i odurzającą, od której schły podniebienia i gorzały głowy.

Głębią półkolistej chmury, podnoszącej się z nad zatybrzańskich wzgórz, słońce rozpalalo tysiącem kolorów i ogni, budując z niej zarazem wypukłe i jaskrawo pomalowane góry, lasy, gmachy, zwierzęce i roślinne potwory. Snopy światła jaskrawych i mętnych błędziły w przestrzeni. Górząca nad



stolicą, kapitolinińska świątynia Jowisza piorunującego, stała w krwistej niby poźodze. Półokrągłe szczyty bram i łuków gorzały także. Wzamian, pałace Palatynu i Kwirynału mgliły się, jak uciekające w dal mary, płowem i mętnem światłem oblane. Nad Marsowem Polem tumany kurzu i porwanej z wodotrysków wody wichur skręcał w złotawe słupy, które z szumem przelatywały przez rzekę i, niby strachem gnane potwory, sunęły nad szerokimi drogami. Ciemne ogrody szumiały jak lasy; pod żółtymi falami Tybru, obrębionymi białawą pianą, słychać było głuche warczenie wzdymających się wód. Deszcz przecież nie padał jeszcze; grzmotów, ani błyskawic nie było. Owszem; wichry same ucichały czasem, opadały niesione przez nie słupy kurzawy, ogrody przestawały kołysać się i szumić, a w uciszonej przestrzeni Tybr tylko warczał i pod niebem chmury sunęły wciąż ku sobie, zwolna, ciężko, jasność dzienną coraz szybciej zmieniając w mrok, oświetlony przykremi blaskami.

Nad brzegiem Tybru zgromadzone tłumy, w pół tylko trzeźwe, upajały się do reszty grozą nadprzyrodzoności, którą w rozpalone ich głowy leli obficie gminni wieszczbiarze i gwieździarze. W ciężkie i poważne, acz nieraz podarte i brudne, płaszcze owinięci, uroczystym krokiem od gromady do gromady przechodzący, wskazywali oni ludowi to, czego-by może nie ujrzali własne jego oczy. Słynni z odgadywania znaczeń i wróżb, zawartych w zjawiskach przyrody, w poufnym stosunku zostający z gwiazdami i całym obszarem nieba, przenikać umiejący gniew i łaskę bogów, nietylko wskazywali oni rzeźby te i malowidła, jakimi chmury okrywały niebo, ale i tłómaczyli je także. Jedni z nich mieli oczy przebiegłe i chytre; snadź w dokonywaniu czynności swęj widzieli własne cele i korzyści. Na twarzach innych rozlewał się wyraz mistycznej ekstazy; wierzyli sami w to, co mówili. Mówili na punktach różnych; wszędzie pożerano ich słowa. Wskazywali i tłómaczyli, podnosili twarze wysoko i wyciągali ku niebu wskazujące palce.

— Patrzcie, Kwiryeci! gdy na niebie ukaże się taka struga krwi, jak ta, która tam za ogród Cezara ścieka, bogowie tworzą straszne dla ludzi zamiary...

— *Eheu!* wołał drugi;— widzicie te dwa ogniste, skrzyżowane miecze? Znak to niemylny, że Apollo, za znieważenie święta swego, {wzywa Jowisza, aby gromy swe spuścił na was...

— Eskulapie! Eskulapie!—wołał gdzieindziej głos, nabrzmiały trwogą;— spuść znowu na oczy moje łuski te, które zdjąłeś z nich niegdyś! Niech znowu oślepną raczej, niż patrzeć mam na te czarne tarcze, z których środka sączy się krew... Gdy tarcze te uderzą o siebie i jedna drugą zetrze, biada Rzymowi! Czy widzicie tarcze te, Kwiryeci? czy je widzicie?

Wszystko widzieli: strugę krwi, ogniste miecze skrzyżowane, tarcze żelazne, sączące z siebie krew. Wszystko to widzieli i daleko więcej jeszcze, bo istotnie, z fantazyą niedoścignioną, przyroda malowała i rzeźbiła dziś nie-

bo. W największej z chmur przez chwilę ścierały się z sobą dwa hufce rycerskie, i potem szybko przelały się w dwie chymery, trzęsące lwiami grzywami, a rzucające za siebie ogony płowych węzów. Z za chimer wysunął się Satyr, śmiejący się i rogaty, a z innej strony płynęła ku niemu rozwiewna girlanda białawych nimf. W tém, chimery, satyr, nimfy i otaczające je mętne wianki lasów—zniknęły, a cielsko chmury zbiło się w jedną olbrzymią górę, z której wyłobionego szczytu buchnęły krwiste, z fioletem i białą zmieszane, płomienie. Podobnym to było do wybuchającego wulkanu.

— Gore!—krzyknęło kilkadziesiąt głosów, w których czuć było najsroższą ze wszystkich obaw Rzymian—obawę pożogi.

Jednocześnie rozległ się w powietrzu pojedynczy, przeciągły, metaliczny dźwięk. Zkąd on pochodził? Z prostego wypadku zapewne, zaszłego w jednym z pobliskich domówstw, albo w jednej z zatybrzańskich fabryk. Ale tysiąc ludzi z krzykiem na klęczki upadło i ramiona ku niebu wzniosło. Jeden z wieszczbiarzy głośno i dobitnie, wśród powszechnego milczenia, tłómaczył, że dźwięk usłyszany pochodził od tarcz podniebnych, które, niewidzialne w tej chwili, bo wulkanem tym osłonięte, uderzyły o siebie.

W pobladłym tłumie rozległy się wołania:

— Wielka Junono, któraś dobrowolnie z Wejów do Rzymu przybyła i wierzchołka Awentynu strzeżesz, obroń swe miasto!

— Najświętsza Izydo egipska, słabych niewiast opiekunko, ulituj się nad nami!

— Apollinie! łaskawy patronie pasterzy, nie daj zginąć biednemu ludowi!

Rodzinne uczucia mocno i trwoźnie zakolały w piersiach.

— Ojcie! ojcie! gdzie jesteś? — wołał głos pacholęcy i łzawy.

— Balbio! szukam cię! Kędy-żeś mi przepadła?

— O! dzieci moje! biegnę do dzieci moich, pozostałych tam... na Suburze!

— Nie pójdę z tobą, matko... nie opuszczę Klaudyusza mego, którego kocham!

Sylwiusz, haftarz z Awentynu, przytomny zupełnie, skeptycznie uśmiechał się z rozpraw wieszczbiarzy, przebiegłe wejrzenia rzucał dokoła i ramieniem obejmował szyję Wenturego, którego szczupłe i wypieszczone ciało drżało, jak w febrze.

— O, Sylwiuszu!—szeptał—kiedy lękam się tak, jak teraz, chciał-bym, aby mię matka nie urodziła!

— Głupiś, jak tylko-co urodzone dziecko! — Sarknął haftarz, lecz, mimo to, czulej i silniej drżącego przyjaciela ramieniem ogarnął.

Wentury wytrzeszczonemi oczyma na chmury patrzył.

— Patrz, Sylwiuszu, patrz! niech mię bogowie opuszczą, jeżeli nad głowami naszymi nie widzę stada słoni!



— Głupiś, jak pusta amfora! — powtórzył Sylwiusz i, korzystając z pomysłu przyjaciela, wskazujący palec ku obłokom wyciągnął.

— Stado słoni! — krzyknął, — niech mię bogowie opuszczą, jeśli to nie jest stado słoni. Będzie nam dobrze, Kwiryści, jak bestye te na głowy nasze hrymną! Jeżeli ślepyimi nie jesteście, widzicie sami, z której strony one lecą. Ze Wschodu lecą! przeklęty Wschód! przekłęci przybysze ze Wschodu, którzy gniew bogów na nas ściągają!

Ścisk zwiększał spiekę i potęgował wrażenia. Tu i owdzie opowiadano dziwne wypadki, świeżo zaszłe, a najwyraźniej zwiastujące zbliżanie się wielkich klęsk. Wszyscy słyszeli, a teraz opowiadali o tém, jako, niedawno temu, w Apulii urodziło się cielę z głową u lędźwi. W Arretium spadł deszcz kamieni. Straszniejszym jęszcze zjawiskiem bogowie nawiedzili Samnium. Spadł tam deszcz także, ale z poszarpanych kawałów mięsa. W Etruryi sześciomiesięczne dziecko zawołało u łona matki: biada! W Apulii dwie gorejące pochodnie, w biały dzień, przeleciały nad lanem i żniwiarzami.

Pedanus, żołnierz zasłużony i nieporównanego na wojnie męztwa, w tej chwili pobladł i ze zmaconym wzrokiem, donośnie zawołał:

— W rodzinném mejm Bruttium podobno babie jakiejś kłosy pszeniczne wyrosły z nosa...

Cud ten, przez Pedanusa ogłoszony, śmiechu nie obudził. Dziś z rana jęszcze, najłatwowierniejsi nawet śmieli-by się z tego pewno; ale teraz, jedni nie byli już zdolni wątpić o czémkolwiek, inni, mniej liczni, wątpliwości objawiać nie śmieli. Nikt zresztą nie wątpił o prawdziwości słów Pudensa, któremu nocą dzisiejszej ukazał się we śnie siostrzeniec jego, Priskus, i z płaczem wyrzucał niepomszczoną śmierć swoją. Pudensowi istotnie śnić się to musiało, bo, rozpowiadając o tém, usta krzywił żałością, a w oczach mu pałała wściekła żądza pomsty.

Lecz straszniejszymi nad wszystkie cuda i sny były wywoływane wciąż wspomnienia wydarzeń rzeczywistych a niedawnych. Niedawno, bo u końca panowania Nerona, bogowie nawiedzili Rzym burzą, przedtém niewidzianą. W okolicach Rzymu szalała trąba powietrzna, niszcząc domy, zboża, winnice i lasy. Ziemia zatrzęsała się, morze wystąpiło z łożyska swego i wzburzonemi bałwanami zrywało i unosiło wszystko, co znalazło się na ich drodze. W Rzymie samym pioruny strzaskały mnóstwo posągów i zabiły mnóstwo ludzi. Tybr rozlał i rzucił na miasto ogromną ilość syczących i zjadliwych gadów...

Był to zapewne skutek wichru, który zadał znowu, ale na wszystkich głowach zjeżyły się włosy. Pomimo spieki, zimny pot zraszał wiele skroni. W dali, w dali, płynąc poczęły dźwięki chóralnej, przeciągłej pieśni. Co to było? W stronie, z której zazwyczaj przybywały z Ostyi ładowne statki, po warczących i białą pianą poplamionych falach Tybru, pod czarną chmurą, płynęła ciężka, duża galera. Wzdęty jej żagiel, naksztalt skrzydlatego skie-

letu, sunał po szarzej przestrzeni; brzegi jój we dwa rzędy obsiadali ludzie, których wiosła z rytmicznym pluskiem opadały na wodę. Wioślarze, zbliżając się do portu, śpiewali, a przewlekła pieśń ich bezbrzeżną melancholią płynęła w burzliwej ciszy. Zagłuszył ją wnet i pochłonął daleki jeszcze turkot pierwszego grzmotu.

Pośrodku niebieskiego sklepienia, wązki tylko pas błękitu widzialnym pozostał; zresztą, zagasłe już, czarne i rude chmury, ujmować zdawały się świat w dwie olbrzymie skorupy, które wkrótce zewrzeć się z sobą miały. Jedna z nich powitała drugą dalekim jeszcze grzmotem. Błyskawicy nie widział nikt. Ktoś, wieszczek jakiś, krzyknął, że nie był to weale grzmot, ale odgłos bębnow, które na ścianach świątyni Marsa, jak to nieraz już bywało, same przez się zahuczały, wróżąc tém klęskę. Tłumy, zalegające wybrzeże Tybru, szalały. Poblądle usta, bezprzestannie, namiętnie, dopytywały się o możliwą przyczynę wyraźnego gniewu bogów. Szczękające zęby i szeroko otwarte oczy rzucały na twarze ludzkie wyraz zwierzęcy. Ażeby nie zostać zmiażdżonymi, zapragnęły zmiażdżyć kogoś. Kogo?

W gromadach tych, kto i pod wpływem jakich pobudek, czy uczuć, zagadał o morderstwach? Tonem recytatywa, donośnie rozlegającego się wśród chwilowej ciszy, basowy głos jakiś prawil:

— W Cezarei wymordowano ich 20,000... W Antyochii, Grecy i Syryjczycy, wszystkie ich domy zamienili w perzynę. W Egipcie, z rozkazu Cezara, świątynią ich, na wzór jerozolimskiej zbudowaną, zniesiono ze szczętem.

Na punkcie innym, ktoś, zdyszany i od strachu czy wściekłości krztuszącym się głosem, podjął:

— Śmieli oni odgrażać się, że w czasie igrzysk spalą amfiteatr, z czterdziestu tysiącami widzów. W Alexandryi to było. Świadków postawić mogą.

Sylwiusz zaczął:

— Gdybyśmy na wzór Cezarei i Antyochii...

A ktoś inny podchwycił:

— Chóry niepokalanych dziewic, śpiewając święte hymny, wodą poświęconą skrapiały-by Rzym...

— Skoro czei nie oddają ani Cezarowi, ani bogom... komuż więc?

— Duchom podziemnym...

— Pryskusie mój! niechaj w tój chwili głowa Gorgony w kamień nię zamieni, jeżeli dziś śmierci twój nie pomszczę...

Wszyscy razem mówili, podniecając się wzajem, modląc się i złorzecząc zarazem...

Czy to, tak strasznie szumiące w tój chwili, wybrzeże Tybru, zalaném było samemi tylko podłemi i okrutnemi duszami? Jak tkliwie jednak i mocno mężowie, bledzi sami, cisnęli tam do piersi przerażone małżonki i drżące córki, które z kolei wyciągały ramiona ku ukochanym swym,



jakby pragnęły choćby zginać, lecz z nimi. Byli tam przyjaciele, obejmujący się ramionami, jakby jeden drugiego przed niebezpieczeństwem osłaniać zamierzał, i wrogowie, którzy, w uroczystej chwili, giestem zgody podawali sobie dłonie. Byli też tacy, którzy gorąco, szczerze, wzywali pomocy swych Larów domowych, ślubując im sute ofiary. *Collegia* rzemieślnicze, wspólnością pracy złączone, tłoczyły się w spójne gromady, a niewolnicy i najemnicy tulić się zdawali pod opiekuńcze skrzydła panów swych lub patronów, którzy pobłażliwie znosili ocieranie się ramion ich o swe ramiona, a kiedy niekiedy rzucali im nawet życzliwe słowa. Więc cóż? Dlaczego?...

W tém ktoś zawołał:— Uciszcie się! patrzcie! oto bogowie zsyłają nam wróżbę: z nad Kapitolu zerwały się kruki!...

Z nad Kapitolińskiej świątyni, która teraz ciemna i olbrzymia górowała nad miastem, zerwało się istotnie stado czarnych ptaków i, ciężkim lotem, z krakaniem głośnym i żalonym, ciągnęło w mrocznym przedstworzu. Wszakże lot ptaków, to jedna z najświętszych dla Rzymian wróżb i wskazówek. W którą stronę zwrócą się kruki i gdzie opadną? Nad Awentynem zniżyły lot. Osiądą może na świątyni Junony i wskażą przez to, że ta-to bogini ofiar i błagań od ludu żąda. Nie; to tylko burzą nabrzmiałe powietrze ociaża ich skrzydła. Wzbiły się znowu wyżej... lecą... Na wybrzeżu grobowa cisza zastąpiła uprzednie kipienie. Tysiące bladych, lub rozpalonych twarzy wznosiły się w górę; usta szeptały modlitwy, płaczące się z przekleństwami. Kruki, krakając wciąż, zawisły nad łukiem Germanikusa, lecz ciężkie skrzydła ich musnęły tylko półkolisty szczyt jego. Na wybrzeżu zahuczał krótki krzyk:

— Za Tybr poleca!

I znowu zapanowała tam cisza. Kruki leciały nad Tybrem, nisko; słychać było monotony łoskot ich skrzydeł, który jednak umilkł wkrótce. Jakby jednomyślnie, w linii pionowej, opadły one na syryjsko-żydowską dzielnicę i pośród płaskich domów jój — zniknęły.

Nad Janikulskiem wzgórzem błysnęło... Wnet potem na wybrzeżu wybuchnął olbrzymi krzyk:

— Za Tybr! za Tybr! za Tybr!

Po chwili, z pod łuku Germanikusa wypływało morze ludzi zdyszanych, giestykulujących, potem oblanych i, pokrywając most, grzmiało:

— Za Tybr! za Tybr!

Jednocześnie, naprzeciw mostu rozwarły się na oścież drzwi wielkiej oberży i buchnęło z nich na zewnątrz jaskrawe światło palących się w jój wnętrzu pochodni. W świetle tém, banda syryjskich tragarzy, lektykarzy i łotrzyków wirowała i szumiała, naksztalt roju pszczół, aż także, niby na spotkanie tłumu przebywającego most, puściła się w pochód. Pijani i rozhułkani, ogromny Balas w zielonym wieńcu i wpólnaga Chromia z rozwianymi włosy, szli przodem. On do Satyra, ona do Bachantki podobna, trzymali się za ręce, tańcząc w takt muzyki syryjskich flocistek, które, w kraciastych



NA JEDNYM SZCZEGÓLNIJ Z RYNKÓW TOCZYŁY SIĘ NAJZACIĘTSZE NAPADY  
I WALKI.





sukniach i z błyszczącymi tyrami na głowach, wydymając policzki, dmuchały we flety, albo, podnosząc nagie ramiona, klekotały metalowemi *sistrami* (rodzaj kastanietów). Silas, w czerwonej bluzie, dokoła flicetek tańczący, podobnym był z dala do rudego kozła; bezzębna Charopia, z chustą opadłą na plecy a siwemi włosami na wyżółklej twarzy, skakała także, z czerwonej czary rozlewając wino. Za nimi cisnęło się mnóstwo rozhukanych postaci: ręce klaskały, głowy, w zwiędłą zielen przybrane, kołysały się w pijanym szale. *Taberna meritoria* wyrzucała na świat napelniającą ją zwykle pianę. Tu już nie lękano się burzy, ani myślano o bogach; czułych nawoływań rodzinnych, ani nawet przesądnych modlitw, nie było na ustach żadnych.

Tłum, zbiegający z mostu, i zgraja, wybuchająca z oberży, spotkały się i zmieszały z sobą. Wściekle krzyki zjednoczyły się z rykami śmiechów i przesywającemi tonami fletów. Dzielnicę, mrowiącą się u stóp Janikulskiego wzgórza, pokryły naraz dwie ludności: jedna ruchomą i burzącą lawą opłynęła uliczki i rynki; druga, z jękami kobiet, płaczem dzieci i ramionami wyciągającemi się ku niebu, okryła płaskie dachy.

Co tam działo się, w tej nawałnicy ludzkiej? Czy i jak bronili się napastowani? Z czyich piersi wybuchały jęki te przesywające, przekleństwa straszne, śmiechy, zmieszane z łkaniami, które tam utworzyły zgiełk wielojęzyczny, zagłuszający szum wichru i rzeki? Co oznaczały, wpadające w zgiełk ten, stuki, brzęki, trzaski? Jakie hasła roznosiły przenikliwe tony fletów, które od chwili do chwili, jak strzały świszczące, zgiełk przesywały? Wszystko to tajemnicą nieprzenikloną pokrywał niezmierny, na ciasnych przestrzeniach wirujący odmet ciał i głosów ludzkich, i zmrok coraz gęstszy, zaciągany nad światem przez dwie olbrzymie, czarne skorupy chmur.

Na jednym szczególniej z rynków, tym właśnie, gdzie stały domy Sary i Goryasza, toczyły się najzaciętsze napady i walki. Sylwiusz z haftarzami i Wentury z perfumiarzami swymi, czynili zadość nakipiałym w nich oddawna gniewom i zawiściom; we wnętrzach domów rozlegały się trzaski łamanych skrzyń i brzęki rozbijanych naczyń. Z jednej strony, szmaty materyi, ciężkich od okrywających je haftów, spadały na głowy i oplątywały stopy ludzi; z inną, rozlane wonności napełniały powietrze zaduchem ostrym i odurzającym. Pedanus i Pudens, z gromadą ludzi różnego stanu, szukali tam także człowieka, nad którym pomścić się rozkazywały im cienie zabitego na wojnie Pruskusa. Gromada Syryjczyków, od bandy swój oderwana, ciągnęła ku poblizkiej oberży krzyczącą i wydzierającą się im Miryam, najmłodszą córkę Sary. Za nimi, przysadzista i otyła Sara, zapominając o pustoszonem domowstwie swém, jak ciężki ptak z rozpostartemi skrzydłami, leciała, krzycząc. Kilku młodych ludzi, pośród których rzymskim ubiorem swym wyróżniał się Justus, walczyło przed domem Goryasza. Jeden z nich upadł; porwał go i w ramionach, rozszalały rozpaczą, unosił Goryasz, ten łagodny Hillelista, który teraz, z oczyma, świecącemi jak u wilka, krzyczał:



— Przebacz, Symeonie! przebaczcie mędrzy w Jabue, żem wam zaprzeczał! Zemsty! zemsty!

W tém, w miejscu jedném, dał się uczuć ruch taki, jakby świeżo przybyła gromada ludzi rozepchnąć tłum i drogę sobie pośród niego torować usiłowała. Przybysze ci przedzierali się wyraźnie ku domom, dokoła których najżarliwiej krzyczeli i uwijali się haftarze i perfumiarze. Głosy jakieś poważne, dźwięczące mową wytworną, wyróżniać się zaczęły z pomiędzy grubijańskiej i wielojęzycznej wrzawy. Wyraźnym stawało się, że wszczynał się tam spór, a raczej zawiązywała się rozmowa jakaś dziwna, co chwila urywana, której początek niewiedzieć jak i gdzie się zawiązał, w której, z jednej strony, czuć było wielkie wysilenie głosów, rozkazujących coś, proszących o coś, twierdzących o czémś, z innej — rozlegać się poczęły grube żarty i śmiechy. Haftarze przecież i perfumiarze zaczęli już uspakajać się nieco. Przeciwnie strona rynku kipiała wrzawą wielką, lecz tu podobnym już stało się dosłyszeć głos donośny, spokojny, lecz w spokoju swym nakazujący, który kędyś, w głębi tłumy, przemawiał:

— Spór macie z mieszkańcami domów tych. Dobrze. Ale dwa są sposoby roztrzymania sporów: jeden przez rozum, drugi przez siłę... Pierwszy ludzkim jest, drugi zwierzęcym... Jesteście stadem bydła?

Kilka głosów zaśmiało się chórem. Jeden z nich, podobny do głosu Pedanusa, zawołał:

— I tu także wleźć musiałeś, filozofie!... Skorzystasz tyle, ileś skorzystał, kiedyś naprzeciw wojsk Witelusa, Rzym oblegających, wyszedł i paplał im, że wojna zbrodnią jest a pokój — rozkoszą...

— Mówiłem im i wam mówię teraz, — ciągnął w tłumie spokojny, lecz nakazujący głos; — mówiłem im i wam mówię: precz z gniewem! Nie on sprawiedliwego nie zrządzi, a niema dobra, jeno to, co sprawiedliwe...

W tej chwili, szeroką piersią, jak taranem, drogę sobie otwierając, człowiek, który wszczął dziwną tę sprzeczkę, wybił się z pomiędzy tłumy i u drzwi domu Sary na wyniesieniu jakimś stanął. Na kruchem i pod stopami jego trzeszczącym, bo z rozbitych skrzyń i sprzętów złożonym, wyniesieniu tém, postać jego zarysowała się wysoka, barczysta, w fałdzisty płaszcz owinięta, lecz rysów rozpoznać w zmroku nie było można. Znali go jednak i poznali tu wszyscy. Z wnętrza domu, przez okno, z którego szybę z pęcherza wyrzucano, wychylił się Sylwiusz, tak zmęczony, że togę swą zdjąć musiał, spocony, zziąjany, wściekły na tego, który mu w drogę wlaził.

— Niech cię Hades pochłonie, papugo Minerwy! — krzyknął; — pocios tu przyszedł, aby klekotać nam nad głowami swoje wieczne: Niema dobra, jeno to, niema zła, jeno tamto...

Ale inni w weselsze, niż Sylwiusz, usposobienie wpadli.

— Spać idź, Muzoniuszu! dobrej nocy ci, mało bogów!

On, nie na ludzi, lecz w daleką, burzliwą przestrzeń patrząc, mówił:

— Społeczność ludzka trwa tylko przez sprawiedliwość, zginęła-by, jeżeli-by jej członkowie nastawiali wzajem na życie swe i zdrowie...

Otaczający zaczęli bawić się na dobre.

— Słuchajmy go! — wołano, — niech papla...

Wentury cienkim swym głosem prawil:

— W głowach własnych dosyć mądrości mamy. Co nam przyjdzie z przywidzeń chorego twego mózgu?

Członek szewckiego *collegium*, wypadkiem pomiędzy haftarzy zaplątany, przybliżył się do filozofa i, ręce za plecy zakładając, a wzrok ku twarzy jego podnosząc, z dumą zadowolonego z siebie szewca przemówił:

— Dlaczego, Muzoniuszu, taki blady jesteś i pomarszczony? Widać po tobie, że fortuna wyciąć ci musiała nie jeden tęgi policzek. Nacóż więc przydały ci się uczone twe wywody?

— Przydały mu się one na to, — odpowiedział ktoś inny—aby ujmował się za cudzoziemcami, obrzydłymi Cezarowi i bogom...

Muzoniusz odpowiedział:

— Nie rozumiecie mię i drwicie ze mnie, ja jednak mówić nie przestanę.

Podniósł głos:

— Jaką jest natura człowieka? Czy każe mu ona dobrze czynić, a gdy nie już innego nie może, dobrze życzyć...

Z tłumu, wybuchającego śmiechem, młody człowiek ze wschodnimi rysy, a w rzymskiem ubraniu, donośnie zawołał:

— Nie taką jest, Muzoniuszu, natura ludzka, nie taką jest ona, jak mniemasz, i w tém omyłka twoja! Mędrca z tłuszczą dzielią przepaści, których nie zapełnią wieki!

Muzoniusz, usiłując wzrokiem przebić zmrok i tłum, odpowiedział:

— Usłyszałem duszę, która myśli! Kimkolwiek jesteś, wiesz, że stoik nie cofa się przed pośmiewiskiem tłuszczy, ani groźbami możnych. Nie rozkazuję mieczem i nie balamucę cudami. Dziś więc nie zrzadzę nic. Ale przeszłość — moja. Przy zasadach stoję.

— Stój sobie, stój! — wołano; — nie ujmie nam to z garnka ani jednego ziarnka fasoli. Sam sobie wrogiem jesteś, bo słyhać jakoś, że lada dzień Cezar z Rzymu cię wygna. A może zarzucą ci sznur na szyję i do więzienia pociągą... Cóż ci pomogą wtedy twoje zasady?

Pedanus wystąpił z tłumu. Z rubasznym więcęj, niż złośliwym, śmiechem na twarzy, olbrzymie pięści swe ukazywał.

— Kto z nas silniejszy, filozofie! kto z nas silniejszy? Mądrym jesteś, a ja cię przecież jednym pstryczkiem z nóg zwalę. Nie potrzebuję mądrości twojej, wolę swoją siłę.

Trefniś jakiś zawołał:

— Filozofie! kto z nas więcęj śmiał się w życiu? ty, czy ja?



Szewe podjął:

— Kto dłużej żyć będzie: szewe, czy filozof?

Gruby pasożyt, z trudnością wyciskając się z tłumu, śmiał się:

— Czyj brzuch pełniejszy, Muzoniuszu? mój, czy twój?

Mnóstwo ludzi z konwulsji gniewu i strachu wpadło w konwulsje śmiechu. Gniewu, ani chęci waleczenia z nim stoik w nich nie budził. Prostu, wyśmiewali go. Gruby śmiech ten huczał pośród płaczków, jęków, łajania i przekleństw, rozlegających się dokoła. Blisko kędyś, w uliczce, wypływającej z rynku, ozwało się urywanemi tony parę fletów i zapalczywy głos jakiś krzyknął:

— Pedanusie! Pedanusie! śpieszcie! Syryjczycy znaleźli człowieka, którego szukacie! Oto prowadzą go i z nim razem czeczotkę jakąś!

W tej samej przeciw chwili, z oddalonym a nieustannym hukiem grzmotu mieszał się turkot kół i tentent koni, a most, łączący Awentyn z Zatybrzem, rozległ się pochodniami, w których czerwonym świetle biegł raczej, niż szedł, długi orszak ludzi. Ktoś możny i licznym poczem otoczony śpiesznie przybywał. Kto? poco?

— Liktorowie! na Herkulesa! Są to liktorowie! poprzedzają bogaty wóz jakiś! Konie jak orły! Patrycyusz jakiś na wozie stoi... drugi wodze trzyma! Usuwajcie się! zmykajcie! z drogi! z drogi!

Sznur biało ubranych liktorów, z toporami w rękach, biegnąc, rozpedzał tłum i torował drogę dwukonnemu wozowi, otoczonemu mnóstwem pieszych ludzi, z których ilość pewna niosła palące się pochodnie. Szybkim pędem przebywszy most, na rynku, napelnionym ludzką ciżbą, orszak ten zwolnił kroku. Na wozie stali istotnie dwaj ludzie: jeden rosły i silny, wspaniałą togą białą, złotemi palmami usianą, opłynięty, dłoń wspierał na berle ze srebrnym orłem; drugi, młody i wysmukły, ze srebrną opaską na kruczych włosach, w białych rękach trzymał szkarłatne wodze. Do poręczy woza uczepione, u boku pięknego woźnicy, w postawie ptaka zrywającego się do lotu, siedziało śliczne chłopię, z greekim profilem i długimi włosami, rozsypanemi po ametystowym chitonie.

— Pretor! pretor! — zaszumiał tłum i nagle umilkł. Nie powitali go urągowskimi, jak Muzoniusza. W świetle pochodni wóz jego błyszczał bogactwem ozdób, hiszpańskie konie postępowały dumnie, a wodze ich trzymał malarz słynny... Władzy, bogaetwu i sławie któż mógł urągać? Nie ci zapewne, do których teraz przemawiał Helwidyusz.

Kto wie, czy nie dlatego przeważnie przybywał on tutaj, aby po raz ostatni przemówić do rzymskiego ludu. Wkrótce zapewne usta jego zamkną się na wieki. Teraz więc serce jego wybuchało... Wybuchało ono grozą, oburzeniem i niezmiernym żalem. Sniada i śmiała twarz jego w czerwonym świetle pochodni gorzała; z pod czarnych ściągniętych brwi, oczy ciskały błyskawice bólu. Nie był to tak, jak Muzoniusz, człowiek samotnych i głębokich

dumań, ale mąż czynu i boju. Głos jego, tłumiony z razu przez głuche łaskoty grzmotów, ale potężny i do szerokich przestrzeni przywykły, rozlegał się po rynku. Słowa jego padały na głowy ludzkie z siłą ciskanych kamieni. Mężem stanu był i patriotą. Ludowi, który oniemiał i znieruchomiał, przypominał wielką i wolną przeszłość jego. Z przesywającym szyderstwem zapypywał go: czy nie już więcej do czynienia nie ma, prócz opychania brzuchów swych, upajania się trunkiem, drżenia przed bezmyślnymi baśniami i napastowania bezbronnych?

Przez chwilę głos jego pochłonęły znowu szumy wiatru, ogrodów i rzeki, aż znowu wybił się on z nich piorunujący:

— Za forum — cyrk, za trybunów — histryonów wam dano, z miejsca obrad i wyborów zrobiono miejsce igrzysk, rynek obywatelski zmieniono w rynek świni. „Chleba i igrzysk!“ wołacie i psiemu języki liżecie rękę, sypiąca na was jedyne te dobra, których pragnąć umieją ciemne wasze głowy! Krwi jeszcze pragniecie, choćby niewinnę, a łaskę waszą posiadają ci właśnie, którzy z was czynią bezmyślną i okrutną trzodę...

W tłumie rozległy się sarkania:

— Obelgi ciskasz! obelgi na biedny lud ciskasz, dumny patrycyuszu!

— Patrz, patrz! — wołał Sylwiusz — abyś ze słów swych dla szyi swój nie kuł topora...

Niezmaconém spojrzeniem objął Helwidysz morze głów ludzkich, wóz jego otaczające, i bólem wielkim drgnęły śmiałe usta jego.

— Nie możnym i wielkim urodziłem się — odpowiedział — ale wiele wam blizkim, synem setnika... Nie urodzeniem tedy dumnym, lecz prawością. Nie obelgi rzucam, ale ostatnie wezwania... Kto mi groził toporem?... Wiem, wiem o nim, Rzymianie! Nie straciłem rozumu i wiem, co czynię. Liktorowie moi i wezwana przeze mnie straż miejska rozpędzi was ztąd do domów, jak pijaną i bezmyślną zgraję... Nie przerobię was przecie i weźśnie umrę, ale w dziejach ojczyzny zapiszą jedno jeszcze imię, nieskalane służalczą wzięciem purpury, ani wzięciem błota!

Tu jedna z uliczek, wypływających z rynku, buchnęła muzyką i śmiechami, dziko mieszającemi się z przeraźliwym kobiecym krzykiem. Na odgłos krzyku tego, w dłoniach Artemidora zadrzały wodze. Rzucił je w ręce Heliasa, zeskoczył z woza i zbladłą twarzą do pretora zwrócił.

— Pozwól mi, panie, wraz z liktorami twymi tam pośpieszyć... Głos ten poznałem... O, mściwi bogowie!

Nie skończył jeszcze, gdy na rynek wpadły: Chromia, Charopia, kilka innych podobnych im kobiet i dwie flectki, z wydętymi policzkami dmące w swe flety. Rozzochrana i rozogniona banda ta, do chóru furji czy jędz podobna, ciągnęła za ramiona i podartą odzież szczupłą i wyrwijącą się im dziewczynę. Na widok zbliżających się liktorów pierzchnęły. Dziewczyna w podartej odzieży, z rozpostartemi ramionami i nieprzytomnym wzro-



kciem, przypadła do wozu Pretora i, na klęczki padając, czołem uderzyła o rzeźbioną oś jego koła.

— Przyjaciele! — do orszaku swego zawołał Helwidysus — niech kilku z was do domu mego uprowadzi dziewczeczkę! Zemdlą, powiadacie? Wnieś ją więc na wóz mój, Artemidorze.

Omdlewającą objęły giętkie ramiona, a nad uchem jęj schylone usta namiętnie szepnęły:

— Kochanko moja!

Otworzyła osłupiałe oczy, i gdy poznała chylącą się nad sobą twarz malarza, uśmiech niewymownego szczęścia przewinał się po zbiegających jęj ustach. A w tęg chwili, przed wozem Pretora zjawila się postać inna. Wyciskającą się z uliczki ciżbę ludzką, z Syryjczyków, setników i żołnierzy złożoną, wyprzedzał żyd stary, bosy, w podartęg sukni, z turbanem zsuwającym się na plecy i odkrywającym siwe, rozczochrane włosy. Biegł zdyszany, wołając:

— Tam przyjechał pan możny... sam Pretor... on sprawiedliwość uczyni... On wam powię, że kłamacie, jak psy... że to nie on, ale ja... ja... Menochim...

Zatrzymał się przed stojącym na wozie Pretorem i schylił się uklonem prędkim, a tak giętkim i niskim, że czołem prawie ziemi dotknął. Wyprostował się również prędko, i śpiesznie, zanosząc się, z językiem płaczącym się w ustach, mówić zaczął:

— Nie wierz im, najdostojniejszy! zlituj się i nie wierz im, o możny! Łgą oni! On nie nie winien. On nigdzie nie był i nie wam złęgo nie robił... w domu zawsze siedział i tkał sobie! On tkacz... spokojny taki. . Jagnię od niego łagodniejszym nie jest. Gdzie jemu do wojowania i podnoszenia buntów i do bluźnienia w amfiteatrze wielkości waszęg i cesarzy waszych... On-by nawet nie potrafił tego... taki łagodny... I rozumu na to potrzeba, a on głupi sobie... Zwyczajnie tkacz prosty... cha, cha, cha, cha!..

Śmiał się, śmiał się. Bose nogi jego dreptały po piasku, całe ciało wyłamywało się w dziwne sposoby, a z oczu, obłąkanych rozpaczą, strumieniem lały się łzy. Przyskoczył do wozu, wspiął się na palce i usiłował do ust swych ponieść skraj tęg Pretora.

— Powiem ci prawdę, najdostojniejszy — mówił — błagam cię, abyś mi wierzył. Wielki! mięg litość i uwierz w to, co ci powiem... On, to jest syn mój... to jest ten Jonatan, którego Syryjczycy z domu wyciągnęli, a setnicy przed oblicze twoje wiodą, nigdzie nie był i nie nie robił... To jest wielka omyłka... Za mnie go wzięto... Ja to chodziłem do Judei na wojnę przeciw wam... ja biłem się z wami u boku Jana z Giszali... ja w Egipcie bunt podniosłem, ja w amfiteatrze... Wszystko ja... ja... Menochim! A on nie! do niego to czysta przyczepka! Błagam cię, potęgny, abyś wierzył... Ale jakże tu nie wierzyć, kiedy to czysta prawda... Rozkaż liktorom, aby

mię skępowali, a setnikom, aby puścili jego... Więźniem swym uczynił mię, zamiast niego, a jak pies u stóp twych czolgać się będę, dopóki nie skonam... Dlaczegoż nie rozkazujeś liktorom wiązać mnie? Wrogiem waszym całe życie byłem... Ach! ile ja tam w Judei żołnierzy waszych pozabijałem!.. jak ja w amfiteatrze głośno krzychałem! A wy myślicie, że to on... ten niewinny... co zawsze w domu siedział i tkał sobie... cha, cha, cha, cha! Dlaczegoż, najpotężniejszy, nie rozkazujeś jeszcze wiązać mnie? Nie wierzysz mi? Liktorowie! wiążcie mię! litości! litości! wiążcie mię, liktorowie!

Bose stopy jego dreptały wciąż i podskakiwały; biegał od jednej osi woza do drugiej; złożone, gotowe niby do sznurów, ręce ku liktorom wyciągał. Podarta suknia obnażyła mu w kilku miejscach chude ramiona, światła pochołdni migotały po twarzy jego, zmiętej i zalananej brylantową rosą. Nagle umilkł i, z oschłemi, osłupiałemi oczyma, trzęsąc się jak w febrze, u jednego z kół wozu na ziemi przysiadł. Przed wozem, Pedanus i Pudens, za oba ramiona trzymając, postawili Jonatana. Przytém mówili, gdzie widywali go i co uczynił. Z za potężnych ich pleców co chwila wyskakiwał Silas, wołając, że on-to go wynalazł i władzom rzymskim teraz wydaje. Wtórował mu grubym głosem Babas, i Chromia, przyskoczywszy, z żywą gestykulacją ramion, srebrnymi obręczami świecących, potwierdzała słowa przyjaciół swoich.

— Liktorowie!—Na Syryjczyków wskazując, zawołał Pretor,—rozpędźcie mi te gady! Wy, sesetnicy, pozostańcie...

A do Jonatana krótko i ciszej, niż mawiał zwykle, rzekł:

— Mów, Judejczyku!

Nigdy przedtém niewidywany u niego spokój oblewał postawę i twarz Jonatana. Jak nie wyrwał się przedtém z dłoni setników, tak teraz, z podniesioną nieco głową, oko w oko na Pretora patrzył. Na mgnienie oka w kruczym zaroście jego błysnęły białe zęby, co rzuciło mu na twarz wyraz dzikięj nienawiści, lecz wnet potém spokojnym głosem zaczął:

— Starzec ten kłamał przed tobą, Pretorze, bo kocha mię bardzo. Wszystko zaś, co setnicy mówią ci o mnie, prawdą jest. Imię moje—Jonatan. Walczyłem z wami na wojnie; lżyłem was w amfiteatrze; nienawidzę was w sercu swojém. Gdyby mi Przedwieczny sto razy żyć pozwolił, sto razy czynił-bym tak, jako czyniłem. Oto wszystko. Każ ludziom swoim, aby prowadzili mię na śmierć.

Jakże podobnemi, jak dziwnie podobnemi z sobą były losy dwu tych ludzi: tego, który, stojąc na bogatym wozie, dłoń wspierał na berle i wyrok wydawać miał, i tego, który w podartej odzieży, nędzny i schwytny, wyroku oczekiwał! Nie dziw też, że Helwidysz stał chwilę zamyślony, ze spuszczonej powiekami i skamieniałemi rysy, i że ręka jego, na srebrnym orle wsparta, podniosłszy się z wolna, opadła na niego znowu. Do przyjaciół swych, którzy z blizka go otaczali, rzekł z cicha:



— Starca i dziewczeczkę uprowadźcie do domu mego... Niech nie widzą...

Lecz ta, którą troszczył się, szept jego dosłyszała i, wyrwijąc się z obejmujących ją, ukochanych ramion, ku Jonatanowi poskoczyła.

— Ja z nim! — krzyknęła.

Ogromne włosy swe, od świateł pochodni złote, obu dłońmi zgarniała z twarzy, po której ciekły potoki łez. Piers i ramiona jej z za podartej sukni świeciły bielą marmuru. Ku ciemnej ludności, która w zgnębionych lub błagających postawach, ze szmerem tłumionych płaczków, obsiadywała rynek i tarasy domów, ręce wyciągnęła.

— Z tobą nieszczęsny ludu mój—ja z tobą!...

Grube, rzadkie krople deszczu padać zaczęły i przyćmiewały światło pochodni. Wicher zaszumił i kędyś, blisko już, nad Janikulskiemi wzgórzem, ogłuszająco zaturkotał grzmot. Z ucichającego grzmotu wyłonił się donośny i rozkazujący, lecz na dnie piersi drżący, głos Pretora :

— Liktorowie! więźcie człowieka tego!

Nie wymówił jeszcze słów tych, gdy Mirtala skokiem sarny rzuciła się ku pojmanemu i, szyję jego obejmując, na pierś mu upadła.

— Ja z nim!—krzyknęła znowu.

Ale tym razem poskoczyło za nią kilku ludzi i młody Rzymianin, ze srebrną opaską we włosach, już, już kibici jej dotykał, gdy w rękę Jonatana błysnęła stal... Było to jedno mgnienie oka. Wzrok topiąc w twarzy Artemidora, Jonatan znowu w dzikim uśmiechu ukazał białe zęby i głucho wymówił:

— Jutro zamordujecie mię... nie odejdę bez niej... Nie będziesz jej miał, Rzymianinie!

O! dziwna genealogio szalów z nieszczęść i zbrodni z krzywd ludzkich! Miecz bohatera sprawiedliwości utonął w piersi niewinnej, bezbronnej dziewczyny.

W tej chwili na środku nieba, olbrzymie skorupy chmur zwarły się z sobą szczelnie i uczyniły świat podobnym do ściśle zasklepionego, dusznego garnka. Płomienie pochodni, gęstym dymem otoczone, chyliły się ku ziemi; wiatr niemi miotał i przygaszały je ciężkie krople deszczu. Wzamian niebo całe zapłonęło błyskawicami. Tysiące ognistych węzłów nieustannie wilo się po czarnych, wydętych chmurach, oślepiające blaski lejąc na ziemię. W blaskach tych, zatybrzański rynek przedstawiał widok tłumny, lecz cichy, jak grób. Most na Tybrze okrywała, rozkazów oczekująca, zbrojna kalwata żołnierzy. Groza, ohyda, żalność, strach, zawarły usta tłumów, które, jak mur nieruchomy, stały na rynku i klęczały na płaskich dachach. Wyosobniony nieco, na niewielkiem wyniesieniu stał Muzoniusz. Kolana jego obejmował i twarz swą w płaszczu jego ukrywał wysmukły młodzieniec w białej tunice. Można-by rzec, że, gromem życia rażony, przypadł on do stóp filo-



ŚWIATŁA NIEBIESKIE! CZY TAM NAD WAMI NIEMA NIKOGO, KTOBY LITOŚĆ  
CZUŁ NAD BIEDNĄ LUDZKOŚCIĄ?





zofii, od niej wzywając ukojenia i mocy. Stoik, wśród szalejących burz niebieskich i ziemskich sam jeden spokojny, czoło jednak miał bardzo blade i oczy pełne bezbrzeżnego smutku. Twarz i ramiona powolnym gicstem wznosząc w górę, zawołał:

— Światła niebieskie! czy tam nad wami niema nikogo, ktoby litość uczuł nad biedną ludzkością? Długoż, długoż jeszcze, obrazom takim przyświecać będziecie?

Z przeraźliwym trzaskiem grom uderzył w wody Tybru i po wzburzonych falach potężny grzmot toczył się długo...

K O N I E C.















F. 1240

F. 2545